

A woman with long, dark hair is shown in profile on the left side of the frame, blowing a dandelion seed head. The dandelion is positioned in the lower right quadrant, with its seeds blowing away. The background is a clear, bright blue sky. The overall mood is serene and contemplative.

**Janusz Gołda**

# ZNAKI CZASU

## Nie płacz, kochana

Ognisko pali się od godziny, lecz ludzi przy nim niewiele. Przyszli na razie ci, którzy nie opuszczają żadnej imprezy organizowanej przez Dom Pomocy Społecznej w Moczarach. Miejsce na ognisko wybrano nad stawem, kilkadziesiąt kroków od zabudowań ośrodka. Kto z pensjonariuszy nie będzie mógł przyjść o własnych siłach, temu pomożę pielęgniarki.

Dyr. Ośrodka, Staszek Leszega, włącza magnetofon. Oberek frunie między blokami, obja się o ich ściany, puka do okien. Trzeba chwycić się różnych sposobów, mówi Leszega. Jest pewny, że muzyką skusi tych, którzy się wahają. Ma rację. Po chwili na ścieżce prowadzącej do stawu pojawia się kilkanaście osób.

Koczarowa na ognisko nie idzie. Muzykę lubi. Szczególnie ludową. Wychowała się na niej. Dzisiaj jednak skusić się nie da. Zapowiedziała to dyrektorowi z samego rana. Chodził za nią pół dnia, prosił ją, przekonywał, namawiał. Bez rezultatu. Uparła się. Nie pójdzie i koniec. I wcale nie dlatego, że ma żal, iż mówią o niej, że śpi z motyką. To wierutne kłamstwo. Motykę trzyma pod łóżkiem ze względów praktycznych. Wstaje razem ze słońcem. Do śniadania daleko, więc bierze motykę, idzie do ogrodu, okopuje grządki, pieli je i czuje, że żyje.

Dyrektor próbował ją hamować. Perswadował, że chora, że od tego jest personel itd. itd. Przytakiwała mu grzecznie, przyznawała rację i obiecywała, że od jutra koniec. Kiedy przychodziło jutro, wstawiała cichutko z łóżka, brała motykę i szła do ogrodu. Taka już jest. Nie potrafi, nie umie, nie może i nie chce siedzieć beczynnienie. Kiedy nic nie robi, natychmiast zaczyna ją nosić. Wtedy bierze motykę i idzie do ogrodu. Ten ogród, to jej zapomnienie.

— Jak nie mam roboty, wszystko mnie denerwuje, wszystko boli, każda kosteczka. Trudno wtedy ze mną wytrzymać — tłumaczy. — To, co robię w ogrodzie, to przecież żadna praca. Takie tam, grzebanie motyczką w ziemi — wzrusza ramionami.

Koczarowa ma 56 lat. W Moczarach jest od roku. Skierowanie miała wcześniej, lecz z podjęciem ostatecznej decyzji o przyjeździe tutaj zastanawiała się cztery lata. Całe życie spędziła na wsi, w Zarszynie. Od rodzinnej miejscowości dzieli ją siedemdziesiąt kilka kilometrów. Tak blisko, mówi, a tak daleko. Do przeszłości wraca niechętnie. A o czym tu opowiadać, bagatelizuje. Jedno nieszczęście ją opuszczało, zwałało się na nią drugie. Prawie całą wojnę przepracowała z mężem w Niemczech na robotach przymusowych. Za tamte lata mordęgi i upokorzeń dostała po długich zabiegach 13 milionów<sup>1</sup> złotych odszkodowania — zwyczajny ochłap. Niemiec dorobił się na jej pracy majątku i brzucha, ona nieuleczalnej choroby kręgosłupa.

Tak już ten świat jest urządzony, mówi, że jeden żyje kosztem drugiego i nic się na to nie poradzi. Jak ją czasem najdzie dumka, przysiądzie sobie gdzieś w kąciku, z dala od ludzkich oczu, powspomina w samotności, popłacze się i od razu robi się jej lżej na duszy. Przy ludziach swoich słabości nie okazuje. Stara się być twarda jak skała. Chociaż, prawdę mówiąc, nie ma tutaj, w Moczarach, takiego, komu lży nie mgliłyby świata. Wszystko można przewyciężyć z wyjątkiem tęsknoty za domem i najbliższymi. Co prawda nie zapominają o niej. Przyjeżdżają, kiedy tylko mogą. Ale to nie to samo. Przyjeżdżają i odjeżdżają. To już nie domownicy. To goście.

W Moczarach znalazła się z własnego wyboru. Nikt jej do tego nie przymuszał. Mąż zmarł dziesięć lat temu. Mieszkała z córką, która samotnie wychowywała dwoje dzieci. Dom mały, drewniany, zawilgocony, nieremontowa-

---

1   obecnie 1300 zł

ny popadał w ruinę. Pieniądze z renty nie wystarczały nawet na opłaty za gaz i elektryczność. Trudno było związać koniec z końcem. Tutaj, w Moczarach, jest jej dobrze. Niczego jej nie brakuje. Oby tylko ze zdrowiem się nie pogorszyło. Co miesiąc odkłada parę złotych z kieszonkowego i posyła córce. Do Zarszyna nie wróci. Już się z tym pogodziła. Tam teraz jest inny, obcy świat, obce życie. Ona do tego świata i życia już nie pasuje.

W holu, nazywanym potocznie trójką, stoi kobieta i płacze. Ma około pięćdziesięciu lat: twarz okrągła, napuchnięta, oczy wypełnione strachem, zamglone, niewidzące. Ubrana w długą nocną koszulę, bosa, bezradna jak dziecko. Łzy ciekną jej po policzkach. Spazmując, tłumaczy coś nieporadnie Koczwarowej o ognisku, o sukience, że brudna, że brzydka, po chwili, że ją ukradli. Koczwarowa pociesza ją, uspokaja.

Zjawia się pielęgniarka.

— Nie płacz, kochana — perswaduje łagodnie — nie płacz. Zaraz coś znajdziemy — podchodzi do szafy, która stoi we wnęcie korytarza, otwiera ją. Na półkach leżą stopy używanej odzieży.

Kobieta pochlupuje, wybiera sukienki, przymierza je. Ta za wąska, tamta za szeroka. Ta brzydka, bo w paski. Tamta niedobra, bo ma długie rękawy. Bluzki nie chce. Spódnicy też nie. Musi być sukienka. Koniecznie w duże kolorowe kwiaty. W końcu znajduje, jaką chciała. Ubiera ją, przygląda się sobie, kryguje się, śmieje, klaszcze w dłonie.

— Ładna jestem? — przymila się do pielęgniarki. — Ładna?

— Ładna, kochana, bardzo ładna.

— Ładna, jak kto? Powiedz? No, kto? — nalega.

— Jak królewna.

— A widzisz? — śmieje się kobieta. — Widzisz?

Klementyna Sowa leciałaby nad staw jak na skrzydłach. Ej, wzdycha, zahulałabym, gdyby nie te moje nogi. Kiedy

słyszy sztajerka, dusza w niej aż skuczy. W tym roku kończy 80 lat. Pochodzi z Wójtowej. W Moczarach przebywa od trzech lat. Cierpi na zanik śluzówek, natomiast niedowład nóg jest przyczyną jej fizycznego upośledzenia. Całe życie była w ruchu. Nie potrafiła usiedzieć w jednym miejscu. Dzisiaj, żeby dojść do ubikacji, musi trzymać się ściany lub prosić o pomoc współlokatorki. I z tym właśnie najtrudniej jej się pogodzić.

— Póki byłam zdrowa, było mi bardzo dobrze, jak w raj — opowiada. — Żadne wesele, żadne chrzciny nie mogły się beze mnie obejść. Starostowałam i kumowałam pół świata. Samych chrzestnych mam ponad trzydziestu.

Dzieciństwo miała ciężkie, tragiczne. Ojciec zmarł osierocając ją i siedmioro jej rodzeństwa. Kiedy skończyła szesnaście lat, bracia wydali ją za męż. Wspólne życie zaczęli z mężem od gospodarowania na trzech hektarach. Byli małżeństwem bezdzietnym, szybko dorobili się znacznego majątku. Kilkanaście lat po zakończeniu wojny kupili dom i przenieśli się do Biecza. Powodziło im się dobrze. Mąż dostał państwową posadę, prowadzili także dochodowe gospodarstwo.

— Kiedy kończy się zdrowie, kończy się również dobre życie — mówi ze smutkiem. — Przepływa jak woda w potoku.

Mąż zapadł na chorobę Parkinsona. On chory, ona chora, a na dodatek na progu ich domu rozsiadła się starość. Za opiekę nad sobą oferowali cały dorobek życia. Z najbliższej rodziny nikt nie dał się skusić. Wzięli obcych ludzi. Przeżyli z nimi gehennę. Dwa lata procesowali się o unieważnienie zapisu. Po szczęśliwym zakończeniu rozprawy i korzystnym wyroku postanowili oddać gospodarstwo komuś z dalszej rodziny, sami zaś zaczęli starania o przyjęcie ich do Domu Starców w Dębowcu. Nie wyszło. Klementyna Sowa uważa to za szczęśliwe zrządzenie losu. Przynajmniej mąż umarł, jak człowiek, we własnym domu. Po jego

śmierci została sama jak palec. Jej choroba nasiliła się. Zaczęły się niekończące wędrówki po szpitalach.

— Kiedy przyjechałam do Moczar — wspomina — byłam trupem. Przez miesiąc leżałam na kroplówkach w łóżku jak kamień. Dla mnie tutaj jest niebo — mówi. — Tutaj przywrócili mnie do życia i nikt mi nie wymawia, że jem darmowy chleb, że już dawno powinnam umrzeć.

Chwilę później wpada w pesymizm. Swoje już przeżyła. Czas jej na tamten świat. Pragnienie ma tylko jedno – chce umrzeć wśród swoich. Tęskni za rodziną, sąsiadami, znajomymi. Przyjeżdżają do niej, to prawda. Nie ma miesiąca, żeby ktoś do niej nie zaglądnął. Ale to nie to samo, co w normalnym świecie. Przyjeżdżają i odjeżdżają, a ona zostaje tutaj sam na sam ze swoimi myślami. I wtedy jest źle. Bardzo źle. Nie do wytrzymania. Właśnie w takich chwilach nachodzi ją pragnienie szybkiej śmierci. Kiedy przegoni czarne myśli i przestanie oglądać się za siebie, świat i życie natychmiast pięknieją.

— Taka już całkiem do niczego nie jestem. Chłopom się podobam — dowcipkuje. — Jest taki jeden w Dębowcu, co ostrzy sobie na mnie zęby i nie daje mi spokoju. Stary, bo stary, ale zawsze chłop, no nie? Pisze, że ma piętrową kamienicę, kilkadziesiąt milionów<sup>1</sup> na książeczce i niczego mu nie brakuje, oprócz żony. Mieć takie szczęście i wybierać się na tamten świat? O nie. Nigdy. Będę żyła na przekór wszystkiemu i do oporu — zarzeka się.

Maria Grabas na ognisko również nie idzie. Ma dzisiaj dołek. Nie potrafi się cieszyć i uśmiechać, ani rozmawiać o byle czym. Iść do ludzi ze świadomością, że można im popsuć zabawę? – zastanawia się. Nie. Lepiej będzie, jak zostanie w pokoju. Coś poczyta, poogląda telewizję, potem odwiedzi swojego ucznia, Janka Bładę.

Grabas jest w Moczarach piąty rok. O tym, że znalazła się tutaj, zdecydował przypadek. Jest nauczycielką. Miesz-

---

<sup>1</sup> obecnie kilka tysięcy

kała w Świdnicy. Przez trzydzieści lat pracowała w różnych szkołach, od podstawówki po studium nauczycielskie. Nieudane małżeństwo, konflikty z mężem, samotność i różne okropne przeżycia, wpędziły ją w depresję, a później w ciężką nerwicę. Chorobę udało się powstrzymać i podleczyć. Jednak z pracy w szkole musiała zrezygnować i przejść na wcześniejszą emeryturę.

— Życie bez pracy to nie jest życie — tłumaczy. — Nie chcę tak żyć. Cały czas modlę się o śmierć, chociaż nie jest mi tutaj źle. Chciałabym jeszcze kiedyś pracować. Boże — wzdycha — jak ja lubiałam pracę w szkole.

Zastanawia się, co w Ośrodku jest do zrobienia i co mogłaby zrobić, żeby być użyteczną. Bardzo lubi teatr. Przydałby się w Moczarach. Wybrałaby repertuar, dobrała ludzi, stworzyła zespół i ruszyliby w objazd po innych placówkach. Zastanawia się nad obsadą, scenografią, rekwizytami. Planuje, buduje, roztacza wizje i nagle się zniechęca.

— Nic z tego — mówi. — Szkoda mojego zachodu. Gdyby byli tutaj odpowiedni ludzie — przerywa, zastanawia się, po czym rozkłada ręce. — Ale ich nie ma.

Tak więc teatru w Moczarach nie będzie. Po czym zastrzega, że na razie. Być może, że kiedyś się zdecyduje. Teraz jednak boi się brać na siebie dodatkowy obowiązek, bo jeżeli nie podoła, jeżeli zawiedzie ludzi, to co wtedy? I co z lekcjami, które prowadzi z Bładą od wielu miesięcy? W końcu dochodzi do wniosku, że Błada jest ważniejszy od teatru.

Jan Błada siedzi na łóżku. Na lewej nodze, amputowanej tuż nad kolanem, trzyma „Elementarz” Falskiego. Wskazujący palec wędruje po tekście. Błada z wielkim trudem, litera po literze, składa jeden wyraz. Kiedy odczytuje cztery, nie umie ułożyć z nich zdania. Gdy trafia na zdanie złożone, zapomina jego początek i w żaden sposób nie potrafi powtórzyć go z pamięci. Denerwuje się, poci, ale się nie zniechęca. Jest uparty i zaczyna wszystko jeszcze raz, od

początku. Sytuacja powtarza się. Błada jednak nie rezygnuje.

— Powolutku, panie Janku — hamuje go Garbas i każe mu kilka razy powtarzać każdy wyraz, potem dodać następny, potem po dwa, trzy, wreszcie całe zdanie.

Udaje się. Błada jest szczęśliwy. Powtarza zdanie raz po raz i cieszy się jak dziecko.

Garbas uśmiecha się niepewnie, trochę jakby z zażenowaniem. Uczy Bładę od trzech lat, dzień w dzień, przez godzinę, czasem dłużej. Szmata czasu. Ale warto, bo jak mówi, są to lekcje uczące ją pokory wobec drugiego człowieka.

Błada ma 53 lata. Błada jest przystojny, czarujący, pogodny, życzliwy, otwarty i skazany na dożgonne cierpienie. Ale o tym wszystkim Błada nie wie, ponieważ patrzy na świat oczami dziecka. Bo Bładę dopadło złe i podzieliło go na dwie połowy. Prawą, która żyje od stopy po głowę. I lewą, sparaliżowaną, która dla prawej jest ciężarem nie do udźwignięcia. Ale Błada tego ciężaru nie czuje. Kiedy powtarza przeczytane zdanie jest mu lekko, leciutko i dlatego jest taki radosny. Dlatego się uśmiecha.

— Jutro przeczytam gazetę — mówi z pełnym przekonaniem.

Samodzielne czytanie gazety to jego marzenie, siła sprawcza pobudzająca go do działania ku wytkniętemu celowi. Grabas wie, że to mrzonka.

— Co było dzisiaj na obiad? — pyta Bładę.

— Ryba.

— Kotlet. Ryba była wczoraj.

— Ryba była wczoraj — powtarza Błada i natychmiast zmienia temat. — Jutro przeczytam gazetę.

— Jutro nie. Pojutrze.

— Dobrze — zgadza się — pojutrze.

Stefania Brzoza wróciła do swojego pokoju z córką Beą dosłownie przed minutą. Były w kaplicy na nabożeństwie. Na ognisko nie pójdzie.



— Mnie już żadna zabawa nie ucieszy — mówi.

Do kaplicy chodzi codziennie. Przygotowuje się do przejścia na drugi brzeg życia. Ma 83 lata. Pochodzi ze Stanisławowa. Do wybuchu wojny wiodła dostanie, pozbawione trosk życie. Mąż kupiec, absolwent Akademii Handlowej, prowadził doskonałe interesy. Dom mieli duży, zamożny – jak to na Kresach – i syna jedynaka. Ale fortuna kołem się toczy. Po zajęciu Galicji przez bolszewików, żeby uniknąć wywózki na Syberię, uciekli do Kałusza. Po wojnie, w 1945 roku, przesiedlono ich do Gorzowa Wielkopolskiego. Podczas repatriacji, w wagonie, przyszła na świat Beata. Niebawem okazało się, że jest upośledzona. Pierwsze lata w kraju to nieustająca wędrówka z jednego krańca Polski na drugi. W 1956 roku osiedlili się w Korczyniu. Tu przeżyli trzydzieści spokojnych lat. Mąż Stefanii pracował w miejscowej spółdzielni jako księgowy, jej syn ukończył studia i usamodzielniał się. W domu pozostała Beata wymagająca dozoru i opieki.

Nieszczęścia zwały się na rodzinę Stefanii dziesięć lat temu. Najpierw zmarł na raka syn, krótko po nim mąż. Stefania zrozumiała, że nie podoła obowiązkowi, jakie na nią spadły.

— Gdyby nie Beata, zostałabym w swoim domu do śmierci — wyznaje. — Ponieważ nikt z mojej rodziny nie żył, postanowiłam iść do zakładu razem z nią. Przez kilka lat pozna otoczenie, przywyknę do warunków, stanie się samodzielna, myślałam i tak zrobiłam.

Dom w Korczyniu sprzedała. Część pieniędzy poszło na koszty spadkowe, resztę umieściła w banku na koncie Beaty. W Moczarach przebywa pięć lat. Zna wszystkich, lecz z nikim nie utrzymuje kontaktów. Cały dzień zajmuje się córką. O sobie nie myśli. Dla takich jak my, mówi, Moczary to bardzo dobry kąć.

Dom Opieki Społecznej w Moczarach powstał w 1987 roku na miejscu zlikwidowanego ośrodka pracy przymuso-

wej. Założony został przez wojewodę krośnieńskiego. Początkowo podlegał Ministerstwu Zdrowia, trzy lata później przejęty został przez Ministerstwo Pracy i Polityki Socjalnej. Decyzja ta sprawiła, że przestał być kulą u nogi ZOZ-ów i jego sytuacja finansowa radykalnie się odmieniła. Przebywa w nim 110 pensjonariuszy. Większość stanowią ludzie starzy, samotni, schorowani. Są również pacjenci z upośledzeniami psychicznymi oraz alkoholicy.

Dyr. Stanisław Leszega, rocznik 62, plastyk z wykształcenia, zarządza nim drugi rok.

— Nie skusiła mnie posada — tłumaczy. — Wiedziałem, co na siebie biorę. Praca jest ciężka, trudna, nie na godziny, ale ja lubię trudności. Im trudniej, tym większą mam motywację do działania.

Leszega zrewolucjonizował organizację ośrodka porzucając od metod zarządzania po działalność statutową i finansową. Dotychczasową opiekę szpitalną przekształcił w opiekuńczą i leczniczo-rehabilitacyjną. Chce dla wszystkich pensjonariuszy stworzyć w Moczarach warunki i atmosferę rodzinnego życia.

— Musimy im oddać to, co im zabrano — mówi. — To jest nasz moralny obowiązek.

## Pan na Wzdowie

Uniwersytet Ludowy we Wzdowie jest niepubliczną placówką oświatową. Kształci animatorów kultury, rękodzielników tkactwa artystycznego, haftu i koronkarstwa. W programie nauczania są również zajęcia dodatkowe z rzeźby, malarstwa, wikliny. Nauka, prowadzona w systemie stacjonarnym i zaocznym, trwa dwa lata i wzbogacona jest o etnografię, historię sztuki, pedagogikę, psychologię i animację społeczno-kulturalną. Po jej ukończeniu absolwenci UL zdają egzamin państwowy i otrzymują uprawnienia do podjęcia pracy w placówkach upowszechniania kultury. Mogą również ubiegać się o uprawnienia czeladnicze w wybranych dziedzinach rękodziela artystycznego.

— Problemu z naborem nie mamy — mówi dyr. Andrzej Kijowski. — Warunkiem przyjęcia są zdolności plastyczne kandydata i pozytywny wynik rozmowy kwalifikacyjnej.

Andrzej Kijowski jest absolwentem Uniwersytetu Śląskiego. Kilka lat uczył wychowania plastycznego w szkołach podstawowych. Potem związał się z Uniwersytetem Ludowym we Wzdowie, na którym od siedmiu lat prowadzi zajęcia z malarstwa, plastyki, fotografii i historii sztuki. Od ubiegłego roku jest jego dyrektorem. Dyrektorowanie traktuje jako wyzwanie. Jego pasją, można nawet powiedzieć powołaniem, jest malarstwo, film dokumentalny i fotografika. Dwie ostatnie dyscypliny zarzucił i zaniedbał z różnych przyczyn. Natomiast malarstwo traktuje jako formę samorealizacji i sposób zaspokajania swoich duchowych potrzeb. Uprawia go profesjonalnie od dwunastu lat i jest na tutejszym rynku sztuki znany jako autor niekonwencjonalnych rozwiązań artystycznych. Tworzy obrazy-reliefy o zróżnicowanej fakturze. Jego prace znajdują się w prywatnych kolekcjach, pokazywane są na wystawach indywidualnych i zbiorowych. Właściciele galerii na Rzeszowszczyż-

nie mówią, że obrazy Andrzeja Kijowskiego sprzedają się szybko i dobrze. On o swojej twórczości mówi skromnie: „*Maluję dla siebie*”. Jest w tym stwierdzeniu dużo prawdy, bo swoich prac wyzbywa się z oporami. „*Właściwie trzeba mu je wydzierać*” – powiedział jeden z jego znajomych zajmujący się sprzedażą obrazów.

Dyrektorski gabinet Kijowskiego, mały i ciasny, zagraczony jest sprzętem elektronicznym i różnorodnymi pomocami naukowymi. Na ścianach wiszą obrazy, makaty, tkaniny. Pod nimi, na podłodze, rzeźby. Prace absolwentów ostatnich lat. Przyszli, zawiesili, postawili mówiąc, że to dla pamięci, że tutaj byli – taki ich znak osobistego potwierdzenia. Nie odmawiał im, przyjmował. Dzisiaj miejsca w gabinecie tyle, że trzeba się przeciskać między pomocami i eksponatami. Ale Kijowski nie narzeka. Ma swoje chwile satysfakcji, kiedy widzi reakcje wchodzących do gabinetu gości.

Nie inaczej jest dzisiaj. Kaśka Cholewa i Anka Gunia przyjechały z Rzeszowa. Chcą zapisać się na pierwszy rok zajęć stacjonarnych. Siedzą przy stoliku, naprzeciw dyr. Kijowskiego, wypytują go o szczegóły, słuchają jego wyjaśnień i ukradkiem spoglądają po ścianach gabinetu. Obie ukończyły liceum plastyczne, zdawały na ASP, lecz nie dostały się na studia z powodu braku miejsc. Kaśka zdawała na Uniwersytet Łódzki, na etnografię. Niestety, z podobnym skutkiem. Nie są zniechęcone czy chociażby rozgoryczone. Porażkę przyjęły normalnie. Anka twierdzi, że dyplom uczelni artystycznej z człowieka artysty nie czyni.

O Uniwersytecie we Wzdowie dowiedziały się od znajomych, którzy ukończyli go kilka lat temu. Decyzji o nauce tutaj nie podjęły pochopnie. Dwieście złotych czesnego miesięcznie, za które będą miały zapewniony pokój, wyżywienie i naukę, nie jest dla nich dużym obciążeniem. Ankę ucieszyła wiadomość, że będzie mogła zająć się rzeźbą i malarstwem. Kaśka nie kryje zadowolenia, że będzie mia-

ła zajęcia z etnografii. Obie zapewniają dyr. Kijowskiego, że ich decyzja o podjęciu nauki we Wzdowie jest ostateczna. Co będą robić po ukończeniu nauki? Kaśka rozkłada ręce: „*Nie wiem. Trudno mi tak, na oczekaniu i bez zastanowienia się powiedzieć.*” Anka: „*Może znowu ASP, a może wywietrzeje mi z głowy i dam sobie spokój*”.

Po wyjściu dziewczyn Andrzej Kijowski nie kryje zadowolenia. Na pierwszy rok może przyjąć trzydzieści pięć osób. Dla tyłu jest w stanie zapewnić zakwaterowanie. Rekrutacja dopiero się zaczęła, będzie trwała do końca września, a on już ma osiemnastu chętnych, i to zdeklarowanych. Większość wśród nich stanowią absolwenci liceów plastycznych. Stąd jego radość. W ubiegłych latach zgłaszała się młodzież po liceach plastycznych, ogólnokształcących, technikach mechanicznych, krawieckich, a nawet budowlanych.

— To już na samym starcie dawało różny poziom — mówi — bowiem kontakt tych ostatnich z plastyką skończył się w podstawówce, więc trzeba było indywidualizować nauczanie. Miało to swoje minusy, lecz z drugiej strony pozwalało na bliski kontakt z wychowankiem, rozwijanie jego zdolności, osobowości twórczej i tym podobnie.

Uniwersytet Ludowy we Wzdowie realizuje trzy zadania. Pierwszym jest nauczanie. Drugim – promowanie sztuki i kultury ludowej. Trzecim – stworzenie we Wzdowie centrum kultury w znaczeniu szerszym, nie tylko folklorystycznym. Temu celowi służą wystawy, spotkania z twórcami, prezentacje rękodzieła na zewnątrz, plenery artystów profesjonalnych, malarzy i rzeźbiarzy mających znaczny dorobek twórczy. Oprócz tego stały kontakt z młodzieżą podkarpackich szkół podstawowych. Dla niej organizowane są warsztaty tkackie, wikliniarskie, plenery malarstwa i rzeźby.

— W tym roku — mówi dyr. Kijowski — brało w nim udział sto pięćdziesięcioro dzieci, a kontakt bezpośredni miało z nami ponad ośmiuset uczniów.

Prowadzona jest także działalność terapeutyczna przez sztukę wśród dorosłych, ze szczególnym uwzględnieniem domów opieki społecznej, domów samotnej starości, więzień. Sponsorami tych przedsięwzięć jest Ministerstwo Kultury i Sztuki, wojewoda, firmy, osoby prywatne. Z namawianiem do finansowania imprez Andrzej Kijowski problemu nie ma. Na Podkarpaciu panuje przekonanie, że Kijowskiemu się nie odmawia.

— Zmieniały się czasy, zmieniało się oblicze naszej szkoły i profil kształcenia — mówi Kijowski. — W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych prowadzono krótkoterminowe kursy animatorów życia kulturalnego na wsi, szkolenie kinooperatorów, instruktorów teatralnych, nawet traktorzystów. Był okres, kiedy naszą placówkę nazywano żartobliwie „szkołą żon”, ponieważ przygotowywała młode kobiety do życia rodzinnego. W latach siedemdziesiątych kształcono animatorów życia społeczno-kulturalnego, bibliotekarzy i szefów wiejskich ośrodków kultury. Wielu z nich pracuje do dzisiaj z dobrym skutkiem nie tylko na wsi, gdzie prowadzą Wiejskie Ośrodki Kultury, zespoły muzyczne, teatralne, folklorystyczne, lecz także w dużych ośrodkach miejskich. Niektórzy z naszych wychowanków wybili się ponad twórczą przeciętność i stali się znanymi artystami. Stan Borys, Piotr Woroniec to są nazwiska, którymi się szycimy.

Były czasy, gdy zdobywane we Wzdowie wykształcenie honorowano, jako wyższe niepełne. Takich uprawnień dzisiejszy UL już nie ma.

— Niektóre uczelnie uznają program wykładanej u nas psychologii i pedagogiki — mówi dyrektor. — Dla przykładu w ubiegłym roku na UMCS zaliczono naszym absolwentom te przedmioty od ręki.

Drogi życiowe absolwentów Uniwersytetu Ludowego ułożyły się różnie. Znaczna ich część pracuje w domach kultury. Część odeszła od swoich zainteresowań, z którymi do Wzdowa przysła i które tutaj rozwijała. Są tacy, którzy uczynili z rękodzieła artystycznego swój zawód, uprawiają je i ciągną z tego znaczne dochody. Mieszkają przeważnie na Śląsku, w zachodnich regionach przygranicznych. Kijowski sądzi, że ich powodzeniu sprzyja bliskość Niemiec, wyższy poziom życia za Odrą i duże zainteresowanie rękodziełem. Jedna z absolwentek, która osiedliła się w Berlinie, żyje tam i tworzy, a jej prace cieszą się wielkim uznaniem wśród koneserów tkaniny artystycznej.

O czym marzy Andrzej Kijowski?

— Żeby kładąc się wieczorem do łóżka zasypiać w błogim przeświadczeniu, że jutro będzie normalnie. Że nie obudzi mnie o trzeciej nad ranem palacz, bo pękł piec CO, rozsadziło rury i nie ma wody, albo oberwało rynny i leje się do środka.

Uniwersytet mieści się w dawnym pałacu Ostaszewskich. Otacza go kilkudziesięciohektarowy park – kilkusetletnie czerwone dęby, rozłożyste klony, strzeliste tuje, grabowe alejki, leszczynowe zagajniki. I dwa niewielkie stawy. Urokliwe, mickiewiczowskie. Piękne z daleka. W rzeczywistości kłopotliwe jak cały park wymagający nieustannej pielęgnacji a tym samym dużych nakładów finansowych. Kłopotliwe, bo bezrybne, zapuszczone, zanieczyszczone ściekami i na dodatek groźne. Na ich zamulonych dnach spoczywają pozostałości ostatniej wojny: pociski, miny, bomby. Żadna firma nie podejmie się oczyszczenia stawów, dopóki saperzy nie wydobędą z nich niewypałów.

— Pałac też potrzebuje remontu, i to generalnego — wyjaśnia dyr. Kijowski. — Remontujemy go wprawdzie, co roku, powoli, na miarę naszych skromnych środków, jakie otrzymujemy, ale to jest wszystko o wiele za mało. Spodziewam się w tym roku poważniejszych kwot od woje-

wódzkiego konserwatora zabytków, być może kapnie nam także coś z centrali.

Pałac wzniesiony został około 1794 roku. Na zewnątrz wygląda skromnie, można nawet powiedzieć, surowo. Brakuje wielu dawnych zdobiących go elementów architektonicznych. Zniszczone zostały bezpowrotnie otaczające pałac arkady. Z czterech okrągłych baszt do naszych czasów przetrwała jedna. Pomimo tego pałac zachwyca swoją urodą. Zawdzięcza ją ostatniemu właścicielowi, Adamowi Ostoi-Ostaszewskiemu, który był człowiekiem niezwykłym. Władał biegle kilkunastoma językami, pisał wiersze i utwory dramatyczne, tłumaczył poezję. Na siedem lat przed odkryciem Roentgena stwierdził istnienie promieni przenikliwych. W 1881 r. skonstruował model samochodu. W 1908 opatentował w Anglii zabawkę – maszynę latającą. Rok później zbudował i oblatął we Francji dwupłatowiec „*Ost-1*”, był twórcą pionowzlotu (dzisiejszy helikopter) „*Stibor*”. Ostatnie chwile życia spędził w Krakowie. Porzucił Wzdów na zawsze zabierając do stolicy Galicji całe wyposażenie pałacu. Zmarł w roku 1934. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Jasionowie, obok swojej żony.

Adam Ostoja-Ostaszewski nie był jedynym niezwykłym przedstawicielem rodu Ostaszewskich. W przeszłości Wzdów promieniował kulturą, nauką i obyczajem na całą ówczesną ziemię sanocką. Bywali we Wzdowie Staszic, Kołłataj, Pol, Goslar i dziesiątki innych znakomitości. Przodek Adama, Wojciech Teofil Ostaszewski, wszedł do annałów historii jako ten, który pierwszy zniósł w swoim majątku pańszczyznę i to jeszcze przed 1846 rokiem.

Kiedy Adam Ostoja-Ostaszewski opuścił Wzdów na zawsze, jego posiadłość i majątek przechodziły różne koleje. W okresie międzywojennym zarządzał nimi dzierżawca, w czasie wojny Niemcy, krótko po niej Rosjanie. Po reformie rolnej ziemię rozparcelowano, zaś sam pałac przeszedł na własność państwa. Działała w nim szkoła rolnicza, słu-



żył jako dom poprawczy, a od 1959 roku stał się na długie lata siedzibą Uniwersytetu Ludowego. Kiedy uczelnię tę powoływano do istnienia, w kraju działało już kilkanaście podobnych placówek. Pierwsze, wzorowane na duńskich, powstały w okolicach Krakowa i Tarnowa. Do najbardziej znanych należał stworzony przez Solorzów Uniwersytet Ludowy w Gaci Przeworskiej. Szkolono w nich mieszkańców wsi na krótkich, ogólnodostępnych kursach. Nie stawiano kandydatom specjalnych wymogów, co do ich wykształcenia. Zdarzało się, i to nie rzadko, że uczestnikami byli absolwenci szkół elementarnych i gimnazjów. Regułą natomiast było ich wiejskie pochodzenie. Zasada ta obowiązywała do końca lat siedemdziesiątych również we Wzdowie.

Tak jak majątek ziemski Ostaszewskich przechodził różne koleje losu, tak i sam pałac zmieniał właścicieli stosownie od okoliczności i zawirowań politycznych. Zarządzały nim kuratorium, Ministerstwo Oświaty, Związek Młodzieży Wiejskiej i różne jego przybudówki. W końcu dostał się w ręce Stowarzyszenia Uniwersytetów Ludowych i pozostawał w nim do 1995 roku. Rok później stał się jednostką samodzielną i przeszedł pod zarząd Stowarzyszenia „Małopolski Uniwersytet Ludowy” z siedzibą we Wzdowie. Jego działalność finansowana jest z różnych źródeł i wspomagana przez budżet państwa, natomiast nadzór finansowy i pedagogiczny sprawuje krośnieńskie kuratorium.

— Jesteśmy jedyną tego rodzaju placówką oświatową w Polsce — podkreśla z dumą dyr. Kijowski prowadząc skrót, przez park, na niewielkie wzniesienie nazywane umownie „na cyrku”.

Kiedyś na wzniesieniu stało obserwatorium astronomiczne Adama Ostoi-Ostaszewskiego. Dzisiaj roztacza się stąd malowniczy widok na rozległą dolinę Wisłoka i Pielni, usianą gęsto, aż po horyzont, zabudowaniami podkarpackich wiosek. Tuż u podnóża wzniesienia, na którym roz-

siadł się Wzdów, leży Turze Pole – rodzinna miejscowość profesora Pañki. Obok Jasionów Mariana Koniecznego. Paręset metrów dalej, przy tej samej szosie, Trześniów generała Prugara. Jeszcze dalej, na południowy zachód niewidoczna, bo przysłonięta krągłymi jak kopki siana pagórkami, Kombornia profesora Pigoń, Żarnowiec Marii Konopnickiej i Odrzykoń Aleksandra Fredry. Zaś na wschód od Wzdowa, stolica tej ziemi – Sanok. Sanok dawny i obecny. Sanok profesora Juliusza Krzyżanowskiego i Adama Fastnachta, Mariana Pankowskiego i Zdzisława Beksińskiego. Ziemia urodzajna wielkimi nazwiskami. Tych, którzy byli. Tych, którzy już są, jak też tych, którzy dopiero przyjdą. A przyjdą na pewno. Bo nie może być tak, żeby ta hojna ziemia przestała takich właśnie ludzi na świat wydawać.

## Ogród zakłęty

Miejscowi nazywają je mamunami. Mówią, że można na nie popatrzeć, nawet je pooglądać, byleby z daleka, z bezpiecznej odległości. Najlepiej z drogi, która biegnie wzdłuż ogrodu oddzielona od niego drewnianym płotem. Z drogi widać je doskonale. Stoją nieruchome, milczące, zadumane nad swoim losem. Największe z nich przewyższają rosnące w ogrodzie trzymetrowe jałowce. Inne, wielkości człowieka, kryją się między młodymi świerkami i modrzewiami. Jeszcze inne, te najmniejsze, przycupnęły pod jabłonkami albo w wysokiej do kolan, niekoszonej trawie. Wszystkie przygarbione, zgięte pod ciężarem nieszczęść. Kto tych nieszczęść ciekawy, niech wejdzie do zakłętego ogrodu w towarzystwie Bogusława Iwanowskiego – człowieka, który ten ogród stworzył.

Iwanowski ma pięćdziesiąt dziewięć lat. Mieszka w Tyrawie Wołoskiej, niewielkiej wsi w Górach Słonnych przy ruchliwej szosie Sanok – Przemyśl. Jest właścicielem i autorem plenerowej galerii rzeźby „*Quo vadis*.” Pomysł założenia galerii zrodził się kilkanaście lat temu, kiedy Iwanowski przyjechał w te strony ze szczecińskiego. Pierwsze rzeźby, które stanęły w przydomowym ogródku pośród kapusty i ogórków, wzbudziły wśród mieszkańców Tyrawy nie lada sensację. Szczególnie pierwsza rzeźba Iwanowskiego – zwrócony do drogi czterometrowy chłop z zakłopotaną twarzą, ściskający w garści czapkę i kłaniający się uprzejmie przechodniom. Niejeden rowerzysta, zagapiwszy się na niego, odkrywał głębokość przydrożnego rowu. Dzisiaj ekspozycja nie budzi już wśród mieszkańców wsi takich emocji, chociaż liczy ponad sześćdziesiąt rzeźb. Zakłęci w drewnie ludzie zagarnęli dla siebie nieomal cały ogród. Uchowała się jedynie kapusta i dwa rządki bujnego kopru.

Wystawa składa się z kilku części. Najstarszą, o tematyce ludowej, stanowią czterometrowe, monumentalne postacie kobiet i mężczyzn. Z ich pochylonych ciał, z twarzy poranych bruzdami przebija wyraźny, choć skrętnie ukrywany ból. Wśród tych rzeźb Iwanowski ma swoją ulubioną – włóczęgę z kosturem w dłoni i żebraczą torbą na ramieniu. Zrobił ją ku przestrodze.

— Żebyś nie był zarozumiały i pyszny, kiedy wszystko idzie ci jak z płatka — mówi — bo ty też możesz się nim stać, jeżeli los tak zrządzi.

Bogusław Iwanowski urodził się w Dorguniu na Grodzieńszczyźnie, którą po II wojnie światowej przyłączono do Związku Radzieckiego. Wie, co to głód. Przeżył go dwa razy. Żeby przetrwać, sadzili z matką na podwórku kartofle. Ziemi już nie mieli. Odebrała im ją władza radziecka. Ojca ta sama władza wsadziła do więzienia za odmowę przystąpienia do kolchozu. Legionista, odznaczony Krzyżem Walecznych, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, zmarł wkrótce po wyjściu na wolność. Starszego brata, Jana, żołnierza AK, powiesiło na rynku w Białymstoku UB. Miał wtedy osiemnaście lat. Po szesnastoletniego Bogusława NKWD przyszło do szkoły. Zabrali go z klasy na oczach innych dzieci. Wyrok zapadł w trybie obostrzonym, stosowanym wobec „wrogów ludu”. Ponieważ był niepełnoletni i takiemu rygorowi kary nie podlegał, dopisano mu do metryki pięć lat. Część wyroku odsiedział na dalekiej północy, gdzie pracował przy wyrębie tajgi, resztę przy budowie kujbyszewskiej elektrowni.

— Ja się za tamto na nikim nie zemściłem, nawet nikogo nie umiałem znieawidzić — tłumaczy, jakby się usprawiedliwiał. — To były okrutne czasy. Mordowali naszych, mordowali swoich i co zrobić? — wzdycha.

Tragiczną przeszłość swoją i innych, dramatyczne przeżycia utrwalił w rzeźbie. Pokazał los zesłańców, narodowy exodus, prześladowania, Katyń, odwołał się do symboliki

narodowej, do znaczących w dziejach Polski postaci. Osobny cykl poświęcił marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu.

— Ja wierzę — mówi — że dzięki niemu mamy państwo, granice, język, że gdyby nie on, to podzielilibyśmy los Kurdystanu czy Białorusi.

Tych rzeźb Iwanowski nie wystawia w ogrodzie. Trzyma je w domu. Stoją w kuchni na podłodze, na przypiecku, kuchennym blacie. Podobnie jest w innych pomieszczeniach. Cały dom wypełniony jest rzeźbami. Są wszędzie. Patrzą ze ścian, półek i półeczek. W sieniach i na ganku podobny rozgardiasz: figury, figurki, sceny zbiorowe realistyczne, religijne, baśniowe w różnych pozach. Postacie sięgające do kolan i te całkiem małe, wręcz miniaturowe. Wśród nich kilkadziesiąt płaskorzeźb. I duża szachownica z figurkami wojów, konnych, łuczników, sług i królów.

— Pierwsze i ostatnie — zarzeka się Iwanowski — więcej już nie będzie.

Przy szachach musi się powtarzać, powielać formę. To go nuży, nie sprawia mu radości, nie daje twórczej satysfakcji. Woli robić takie, jak w ogrodzie. Powstają na podstawie obserwacji świata. Nimi może opowiadać o ludzkich słabościach, przywarach, charakterach, o niegodziwości i przemożnej chęci dominowania jednego człowieka nad drugim.

— Całe zło, jakie jest na ziemi, rodzi się w ludzkiej głowie — mówi Iwanowski i prowadzi do rzeźby przedstawiającej ludzką głowę, z której przez oczodół wypęłza żmija i skrada się do gniazda z piskletami.

Iwanowski jest samoukiem. Zdolności plastyczne przejawiał od dziecka, lecz nie mógł ich rozwijać. Szansa pojawiła się dopiero po jego powrocie do Polski. Był już jednak w wieku, w którym do szkoły posyła się własne dzieci. Mimo to swoich zainteresowań nie porzucił. Całą duszą oddał się rzeźbie, poświęcając jej swoje życie osobiste. Pracował nad sobą nieustannie, podglądał innych, doskonalił

swoje umiejętności, wystawiał prace w kraju i poza granicami.

Po powrocie do Polski zamieszkał w Szczecinie. Wielkie miasto męczyło go. Długo szukał nowego, spokojnego miejsca do życia z dala od cywilizacji i wielkomiejskiego zgiełku. Zupełnym przypadkiem trafił w Góry Słonne. Był właśnie maj – słoneczny, kwietny i miodny. Nawet się nie zastanawiał. I żadnych, ale to absolutnie żadnych wątpliwości. Kupił drewniany domek z ogródkiem.

— Ja tutaj nie zamieszkałem — mówi. — Ja się w tym domu, w tym ogródku zasadziłem tak, jak sadi się jabłonek, z myślą, żeby rosła, kwitła i owocowała. Jestem szczęśliwy, bo wszystko tutaj prawie takie jak w przedwojennym Dorguniu — tłumaczy. — Spokój, cisza, nieskażona natura, życzliwi ludzie. Żyję sobie tutaj jak u Pana Boga za piecem.

Iwanowski mówi, że jest pracoholikiem. Dzień bez dłuta jest dla niego dniem straconym. Kilka miesięcy temu postanowił, że w dowód wdzięczności za przyjęcie go do miejscowej społeczności i przeżywane tutaj szczęśliwe lata zostawi Tyravianom po sobie pamiątkę. Wyrzeźbi posągi trzech najwybitniejszych Polaków: marszałka Piłsudskiego, kardynała Wyszyńskiego i papieża Jana Pawła II. Będą miały pięć metrów wysokości. Staną w środku wsi, przy szosie z Sanoka do Przemyśla, żeby przyciągać sobą uwagę podróżnych.

Iwanowski pamięta również o najmłodszych. Utrzymuje kontakty z miejscową szkołą, przekazuje swoją wiedzę, umiejętności i doświadczenie dzieciom, które interesują się rzeźbą. Właśnie z myślą o nich wykonał kilkanaście dużych postaci inspirowanych legendami i baśniami polskimi. *Wy-rwidąb* i *Waligóra*, *Duch Lasu* i paktująca z diabłem *Kramarnica*, czy wreszcie *Dobra Baba Jaga* należą do tych, które na dzieciach robią największe wrażenie. Nie budzą u nich lęku, czy strachu, ponieważ są sympatyczne, dobre, trochę jakby zagubione i nieporadne.

— Zrobiłem je takimi rozmyślnie — tłumaczy Iwanowski — żeby przyciągały do mojego ogrodu dzieci.

Galerię Iwanowskiego zamyka symboliczny pochód pątników gromadzących się wokół ukrzyżowanego Chrystusa. Idą na kolanach, czołgają się, pełzną do Niego ze wszystkich stron wznosząc ku Niemu ręce w rozpaczliwych prośbach i błaganiach.

— Idą z nadzieją, że uwolni ich od cierpień i weźmie je na siebie — mówi Iwanowski.

Bogusław Iwanowski wypowiada się w swoich rzeźbach na różne tematy. Nie stroni także od ekologicznych. Do najciekawszych jego prac należy *Matka Natura* – kobieta, która jedną ręką pokazuje ziemię, drugą niebo.

— Stamtąd przyjdzie zagłada naszego świata, jeżeli się nie opamiętamy — tłumaczy Iwanowski.

W otwartej, w naturalny sposób, piersi kobiety, piersi jaśkiny, umieścił trzepoczące skrzydełkami nagie pisklę. To nadzieja – nieodłączny symbol i atrybut wielu rzeźb Bogusława Iwanowskiego, który pomimo tragicznych przeżyć nigdy nie utracił wiary, że światem rządzi dobro.

## Życie z bagażem czasu

Andrzej Burghardt zbierał materiały na symposium naukowe poświęcone Aleksandrowi Fredrze. Kierując się wskazówkami, jakie autor „*Trzy po trzy*” zawarł w swoim pamiętniku, Burghardt odwiedzał miejsca, w których znakomity komediopisarz bywał, lub mógł bywać. Przemierzając Bieszczady, zatrzymał się w Hoczwi. Tu trafił do Zdzisława Pękalskiego. Jak się później okazało, lepiej trafić nie mógł.

Pękalski miał kilka pamiątek po Fredrach, które znaleziono na strychu miejscowej plebanii podczas jej remontu. Nie ma w tym fakcie niczego nadzwyczajnego, bowiem Fredrowie posiadali w Bieszczadach swoje majątki. Ponadto ojciec Aleksandra, Jacek, urodził się w Hoczwi i przez pewien czas w niej mieszkał. Dzisiaj po dworze Fredrów nie ma w Hoczwi śladu, zachowała się jedynie stara fotografia dawnej siedziby rodu. Wśród odnalezionych na plebanii dokumentów był rękopis utworu literackiego. Pękalski nabrał z czasem przekonania, że jest to dzieło Aleksandra Fredry. Rękopis, dzięki Burghardtowi, trafił w ręce prof. Zakrzewskiego, literaturoznawcy Uniwersytetu Wrocławskiego.

Odkrycie Zdzisława Pękalskiego wzbudziło poruszenie wśród historyków literatury. Ostatnia wiadomość od profesora Zakrzewskiego zdaje się potwierdzać tezę Pękalskiego, chociaż, jak sam profesor zastrzega, są jeszcze drobne wątpliwości. Zdaniem Pękalskiego, wszystkie okoliczności przemawiają za autorstwem Aleksandra Fredry. Dwudziesto dwu stroficzny wiersz jest satyrą na pijaństwo szlachty, która przyjeżdża do Hoczwi i zamiast iść na nabożeństwo do kościoła, udaje się do miejscowej karczmy. Bohaterem utworu jest pan Piotr, właściciel jednego z okolicznych majątków, stały bywalec karczmy. Stała ona w owym czasie



przy szlaku handlowym, który prowadził z Małopolski na Węgry. Karczma stoi w tym miejscu do dzisiaj. Jej zewnętrzna bryła niewiele zmieniła się przez ostatnie stulecie. Nieremontowana popada w ruinę. Jej los wydaje się być przesądzony. Wątpliwe, żeby znalazł się ktoś, kto uratuje ją od zagłady.

— Kilka lat temu czyniłem takie starania. Niestety bez rezultatu — mówi Pękalski. — Bywał w niej Fredro, Wincenty Pol i zapewne dziesiątki innych znamienitych Polaków. Żal, że niszczeje, bowiem jest to część naszej narodowej przeszłości na tych terenach. Naród, który nie dba o własną przeszłość, nie zasługuje na przychyłność historii.

Pękalski prowadzi dom otwarty. Bywają u niego ludzie nauki, teatru, literatury. Z atencją opowiada o swoich kontaktach z Wojciechem Siemionem, Ryszardą Hanin, Jerzym Schrammem – synem etnografa Witolda Schramma, dawnego właściciela Olchowy, archeologami: Michałem Parczewskim i Józefem Janowskim, ks. dr Wilhelmem Gaj-Piotrowskim, czy wreszcie Wiktorynem Grąbczewskim. Są to znajomości wieloletnie, trwałe, owocujące odkryciami na terenie Bieszczadów w etnografii, historii, archeologii. Przez dom Pękalskiego przewinęło się wiele znanych postaci polskiej kultury. Poświadczają to dziesiątki wizytówek, listów, niejednokrotnie serdecznych i bardzo osobistych.

Pękalski ma szerokie zainteresowania. Jest malarzem, rzeźbiarzem, archeologiem, etnografem, poetą i historykiem. Jego rodzice pochodzą z Lwowa. Po 1945 roku zmuszeni byli przenieść się do Przemyśla. Uzdolniony plastycznie syn ukończył studia nauczycielskie i coś go podkuśiło, żeby wyjechać w Bieszczady.

— Ot, na rok, najwyżej dwa — tłumaczy Pękalski swoją decyzję — a potem miałem wrócić do miasta i próbować robić karierę artystyczną.

W 1963 roku znalazł się Hoczwi i podjął pracę w miejscowej szkole. Kiedy dowiedział się, że Hoczew jest jedną

z najstarszych miejscowości w Bieszczadach, że był tutaj niegdyś gród, że wieś związana jest ze znanymi rodami Bałłów i Fredrów, nic więcej nie potrzeba mu było do szczęścia. Etnografia i archeologia fascynowały Pękalskiego od lat szczeniących. Od zawsze uczulony był na rzeczy i przedmioty, które miały багаż czasu. Zbierał je systematycznie i chomikował w domu. Kiedy uzbierało się tego sporo, postanowił pokazać je mieszkańcom Hoczwi na specjalnej wystawie.

— Był rok siedemdziesiąty ósmy — wspomina. — Ludzie wyszli po sumie z kościoła i wiedzeni zwyczajną ciekawością udali się do budynku starej gminy, gdzie zorganizowałem ekspozycję.

Zaskoczenie było ogromne. Stare niechciane rzeczy, przedmioty, które wyrzucali na śmietnik, palili, ponieważ się ich niejednokrotnie wstydziło, znalazły się, jak to wtedy określili, w ich muzeum. Ludzie zrozumieli, że przeszłość jest równie ważna jak teraźniejszość i przyszłość. Wystawa zjednała Pękalskiemu sympatię i życzliwość. Odtąd przy okazji każdego znaleziska padało sakramentalne: „*zanieś to Pękalskiemu.*” W 1985 r. otwarta została w Hoczwi izba regionalna. Równocześnie z jej organizacją trwały prace archeologiczne typu powierzchniowego.

— Dzieci włączyły się automatycznie — wspomina Pękalski. — Szczere, spontaniczne, są wprost stworzone do tego rodzaju działań.

Prace prowadzono przez kilka lat pod fachowym okiem archeologów. Efekty przeszły najśmielsze oczekiwania. Znaleziono wiele eksponatów z wczesnego średniowiecza. Najcenniejsza ich część trafiła do muzeum państwowego, reszta do hoczewskiej Izby Pamięci. Znaleziono naczynia, narzędzia żelazne, przęśliki, paciorki z bursztynu, fragment rzymskiego naczynka na wonności. Ponadto ustalony został topograficzny zasięg osad położonych wzdłuż Sanu i Hoczewki, oraz pobliskie grodzisko z IX-XI w.

Nabyte doświadczenie i umiejętności doprowadziły do wykopalisk z udziałem dzieci. Każdy wykop, choćby pod fundament nowego domu, był przez nie szczegółowo penetrowany.

— W trakcie budowy hotelu dokonałem niezwykłego znaleziska — mówi Pękalski. — Prowadzone później w tym miejscu badania odkryły ślady średniowiecznej chaty o planie półowalnym, tzw. półziemianki z paleniskiem w centrum i dobrze zachowanymi naczyniami. Głębiej były ślady jeszcze wcześniejsze. Odkryte zostały narzędzia krzemienne, co potwierdziło hipotezę, że Hoczew istniała od bardzo dawna.

Stanowisko nie zostało przeszukane ze względu na brak funduszy. Podobnych miejsc, czekających na przekopanie, jest w Hoczwi i jej najbliższej okolicy wiele. Historia tej najstarszej bieszczadzkiej miejscowości łączy się także z miejscowym kościołem, najważniejszym jej zabytkiem. Istniejący obecnie, barokowy, zbudowany został przez Fredrów w 1745 roku.

— Wszystko cokolwiek działo się przez ostatnie lata w kościele, działo się w mojej obecności i przy moim udziale — opowiada Pękalski. — Byłem również obecny przy jego ostatniej renowacji. Kiedy zdjęliśmy dębową podłogę, położoną przed pierwszą wojną światową i usunęliśmy żwir, zobaczyliśmy pierwotną kamienną posadzkę, a przy prezbiterium wielką płytę z licowanego piaskowca. Gdy ją oczyściliśmy, pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to nazwisko Bala, herb rodu i inskrypcja informująca, że jest to grób zmarłego w 1575 roku Mathiasa Bala. Był on synem Michała Bala, prawdopodobnego fundatora kościoła w 1510 roku. W owym czasie była to druga po Lesku parafia rzymskokatolicka na terenie dzisiejszych Bieszczadów.

Płytę wmurowano w wewnętrzną ścianę kościoła, chociaż wielu chciało ją ze świątyni wywieźć. Pękalski uparł się, że płyta musi zostać w kościele i nie ustąpił. Gdyby

uległ, płyta niszczała by na zewnątrz porośnięta zielskiem, porzucona i zapomniana. Dzisiaj stanowi jeszcze jedno świadectwo bogatej przeszłości wsi.

Prace remontowe przy fundamentach kościoła, potwierdziły istnienie dawnego cmentarza. Znaleziono ludzkie kości i dwie monety, tzw. boratynki z okresu panowania króla Jana Kazimierza. Wkładano je zmarłym w usta lub kieszenie odzienia. Wedle pogańskiego obyczaju były zapłatą za wejście do świata cieni. Odkrycie boratynek poświadcza, że zwyczaj ten kultywowany był przez mieszkańców Hoczwi i okolicznych osad, pomimo ich wielusetletniej chrystianizacji.

Pękalski ma 53 lata. Jest na emeryturze. Przebyty zawał sprawił, że musiał zwolnić dotychczasowe tempo życia. Nie oznacza to jednak, że wyrzekł się tego, co robił przez ponad trzydzieści lat. Nadal maluje, rzeźbi, wystawia swoje prace, pisze wiersze i zbiera pamiątki.

## Gombrowicz, konie, podróże i przyjaciele

Anna Taworska widziała swojego ojca ostatni raz latem 1937 roku. Pamięta tamten dzień doskonale. Wysoki, postawny mężczyzna stoi na nabrzeżu portowym z ręką uniesioną do góry w pożegnalnym geście. Ona z matką i młodszym bratem Tadeuszem patrzą na niego z wysokości okrętowego pokładu. Opuszczają Argentynę i płyną do Polski. Wróć, gdy Anna ukończy w rodzinnym Sanoku żeńskie gimnazjum. Żadnemu z nich nawet przez myśl nie przejdzie, że rozstają się na zawsze.

Taworscy mieszkali w Buenos Aires od 1930 roku. Ojciec Anny, Włodzimierz, przyjechał do Argentyny cztery lata wcześniej. Jest dziennikarzem, biegle włada kilkoma językami. Po przyjeździe do Argentyny pracuje krótko w poselstwie RP, potem zostaje korespondentem „*Ilustrowanego Kuriera Codziennego*.” Jego artykuły i reportaże z Ameryki Południowej przynoszą mu wśród czytelników krakowskiego dziennika wielkie uznanie. On, sam wydaje w Argentynie dla miejscowej Polonii dwa czasopisma oraz bardzo mocno angażuje się w akcję osadniczą.

— Pogodny, z dużym poczuciem humoru, lubiany przez otoczenie i niesamowicie pracowity — wspomina ojca pani Anna. — Takim go właśnie zapamiętałam. Często nie było go w domu, bo wyjeżdżał zbierać materiały do tych swoich reportaży. Zdarzało się, co strasznie niepokoiło mamę, że nie dawał znaku życia przez miesiąc, dwa, a potem zjawiał się i pisał, pisał, pisał. Charakterystyczny stukot maszyny, który budził mnie wtedy po nocach, pamiętam do dzisiaj.

Włodzimierz Taworski cieszył się wśród argentyńskiej Polonii znacznym autorytetem. Wspomagał materialnie i wspierał duchowo wielu rodaków przybywających do Argentyny. W marcu 1942 roku los zetknął go z Witoldem Gombrowiczem.

— Sytuacja Gombrowicza była tragiczna — opowiada pani Anna. — Był bez grosza przy duszy, nie miał pracy, nie znał języka, a na dodatek wyrzucono go z mieszkania, bo zalegał z czynszem.

Na zdesperowanego, siedzącego na chodniku pisarza, natknął się Taworski, przygarnął go oferując mu schronienie w wili w Moron, pod Buenos Aires. Przeżyli tam wspólnie sześć miesięcy.

Po latach okazało się, że był to bardzo ciężki okres również dla Taworskiego, który musiał się ukrywać. Ciężył na nim wyrok w zawieszeniu za agitację i werbunek do polskiego wojska walczącego na Zachodzie z Niemcami. *„Taworski, człek zacny, opiekował się mną jak ojciec, jadaliśmy wyłącznie wędzonkę i kukurydzę, którą pitrasił na cały tydzień”* – wspomina Gombrowicz w swoim „*Dzienniku*”, gdzie zresztą opisuje dokładnie pierwsze spotkanie z ojcem pani Anny oraz ich późniejsze kontakty.

— Jak się one układały, tego nie wiem — wyjaśnia pani Anna — bo w pewnym momencie moja korespondencja z ojcem urwała się zupełnie, chociaż jeszcze na początku wojny starał się ściągnąć mnie do siebie przez argentyńską ambasadę.

Mieszkała wtedy u swojej babci w Sanoku, oddzielona także od matki, która z synem Tadeuszem znalazła się pod sowiecką okupacją.

Co działo się z ojcem w Argentynie, kiedy zmarł i w jakich okolicznościach, pani Anna dowiedziała się okrężnymi drogami dopiero kilkanaście lat po wojnie. W tym czasie ukończyła gimnazjum, zdała maturę i, jak mówi, ruszyła szukać swojego uniwersytetu. Tradycja rodzinna zobowiązywała ją do podjęcia studiów weterynaryjnych, o których zresztą marzyła od dziecka.

— To było u nas jakieś dziedziczne obciążenie — żartuje. — Ze strony mojego ojca wszyscy wujowie, stryjowie byli weterynarzami, no i mój mąż, i teść także, chociaż to

już późniejsza sprawa — dodaje. — Gdyby doliczyć do tego jeszcze kuzynów i kuzynki, byłoby nas dobrze ponad dwadzieścia osób.

Z podjęciem studiów weterynaryjnych tuż po wojnie kłopot był nie lada. W Lublinie przyjmowali tylko wojskowych. Warszawa była w ruinie. Podobnie Wrocław. Taworska zaczęła się na rok w Poznaniu na medycynie, by po upływie tego czasu przenieść się do Wrocławia, gdzie właśnie otwarto weterynarię. Tutaj poznała swojego przyszłego męża, żołnierza „Cichociemnych”, kresowiaka, Andrzeja Strzeleckiego. Wrócił niedawno do Polski z Zachodu, z Bolonii, gdzie studiował na pierwszym roku weterynarii.

— Ujrzałam go w prosektorium, przy zwłokach psa — uśmiecha się pani Anna — a serce buch, buch, buch... Był w andersowskim mundurze, z Virttuti na szerokiej piersi, przystojny, szarmancki... Czego trzeba było więcej młodej dziewczynie?

Studia ukończyli oboje z wyróżnieniem, pobrali się, odpracowali nakaz pracy w lecznicy w Lesku, po czym przenieśli się do stadniny koni w Mosznej.

— Było najcudowniej jak tylko można sobie to wyobrazić — podkreśla pani Anna.

Była jedyną lekarką weterynarii, którą dopuszczono do leczenia i opieki nad rodowodowymi końmi w upaństwowionych stadninach. W Mosznej pracowała siedemnaście lat. Był to czas jej największych zawodowych osiągnięć i życiowych satysfakcji. Przeprowadzała skomplikowane zabiegi, leczenia, cesarskie cięcia, które u koni wykonuje się bardzo rzadko, bowiem kończą się zwykle upadkiem klaczy.

— Mnie się udawało. Miałam fart — śmieje się pani Anna. — No i otaczali mnie wspaniali ludzie, jak chociażby Poźniak, Byszewski, Babirecki. Koniarze pełną gębą, ludzie o niewiarygodnej wprost wiedzy teoretycznej i praktyce, jakich dzisiaj spotyka się niezwykle rzadko. Stajenni i

masztalercze zakochani w koniach i swojej pracy, znający od icks pokoleń prowadzoną linię hodowlaną koni na pamięć. Poźniak, dyrektor stadniny, był bardzo wymagający wobec siebie i swoich podwładnych. Pracował 24 godziny na dobę. Dałby się zabić za każdy koński ogon. Podobnie By-szewski, przedwojenny jeździec i olimpijczyk. Nie ustępo-wał im Marian Babirecki, medalista olimpijski w WKKW<sup>1</sup>, najlepszy z najlepszych, a przy tym człowiek nie-pokorny, pyskаты, potrafiący się postawić każdej zwierzch-ności. Zwabiony przez Fidela Castro do prowadzenia stadniny na Kubie, zginął tam w tajemniczych okolicznościach.

Swoje życie doktor Taworska podporządkowała realiza-cji dwóch pasji: koniom i podróżom. Poświęciła się im rów-no, po połowie i z oddaniem. Realizując je, znalazła jeszcze czas na dziennikarstwo, literaturę i fotografię. Pracując w stadninie w Mosznej nawiązała współpracę z kilkoma pismami, między innymi z „Przekrojem” oraz wychodzą-cym w Argentynie periodykiem przyrodniczym. W ilustro-wanym tygodniku „Zwierciadło” miała stałą rubrykę, w której przez kilka lat udzielała porad miłośnikom domo-wych czworonogów. Cyklicznie, raz w miesiącu, publiko-wała opowiadania kryminalne pod literackim pseudonimem Rudolf Walsh. Ponieważ biegle włada niemieckim, francu-skim i hiszpańskim zajmowała się także tłumaczeniami. Przekładała teksty polskich sztuk teatralnych dla zespołów udających się na tournée po krajach Europy Zachodniej, szczególnie do Hiszpanii. W swoim dorobku ma także pu-blikacje naukowe w różnych pismach przyrodniczych i we-teryaryjnych.

— To wszystko dokonało się jakby samoistnie, niezależ-nie ode mnie, niejako przy okazji — mówi pani Anna. — Moją pasją, prawdziwą i nieokiełznaną były zawsze, są i będą, podróże. Europę zaliczyłam prawie w całości, tak wschodnią jak i zachodnią, oprócz Szwecji i Norwegii.

---

1 Wszechstronny Konkurs Konia Wierzchowego



Hiszpanię kilkakrotnie, no i całą Polskę, nie wyłączając Pustyni Błędowskiej. Bakcyl taki we mnie jest od urodzenia — tłumaczy — potrzeba, którą muszę zaspokoić. Przychodzi na mnie taka chwila, rzucam wszystko i wyjeżdżam.

— No to, jadę do... Portugalii.

— Tak się to odbywa, dokładnie — zgadza się bez sprzeciwu.

Teraz jest trudniej. Gdyby nie choroba męża i potrzeba ciągłej nad nim opieki, decyzję o wyjeździe gdzieś tam, po coś, co kusi i wabi, pani Anna podjęłaby w kilka sekund. Mam to po ojcu, mówi.

Spotkała ludzi, z którymi nawiązała interesujące znajomości i przyjaźnie. Bo przyjaciół pani Anna ma wszędzie: od Lwowa i Kartua po Granadę i Dubrownik. Te, które nawiązały się podczas jej pierwszych podróży, jak z profesorem konserwatorium w Sewilli, dyrektorem orkiestry narodowej w Madrycie, czy chociażby Czechem, kolegą po fachu Strizem, oparły się próbie czasu i przetrwały do dzisiaj.

— Europa mi się opatrzyła, spowszedniała — zwierza się pani Anna. — Co prawda słabo znam Rosję i Ukrainę, bo byłam tam tylko raz, ale jakoś mnie do nich nie ciągnie. Jedyne głód niezaspokojony, który ciągle mi doskwiera, to Ameryka Południowa. Ameryka! — wzdycha. — Ech! Ameryka! — powtarza, zamyśla się i patrzy tęsknym wzrokiem za okno, przez które widać szary, mokry, polski listopad.

## Łowca fal

Jan Świtalski szuka brulionu z wpisami ostatniego nasłuchu. Uparł się, że go pokaże i nic go od tego postanowienia nie odwiedzie. Przegląda książki na regałach, przerzuca leżące na stoliku gazety, grzebie w pękatyh skoroszytach i teczkach. W biblioteczce, za szklaną witryną, podobnych zeszytów leży kilkadziesiąt. Cóż z tego, skoro tego właściwego wśród nich również nie ma. W końcu Świtalski odnajduje zgubę. Była tam, gdzie powinna. W szufladzie stolika, na którym stoi krótkofalówka. Świtalski uśmiecha się zażenowany, otwiera odnaleziony kajet, siada przy stoliku, włącza nasłuch krótkofalówki i stroi odbiór. Migocze zielone oko radiowej diody. Czarna strzałka sunie powoli, prawie niedostrzegalnie, po białej okrągłej tarczy. Z głośnika płyną zgrzyty, piski i trzaski. Pan Jan kręci gałką potencjometru, wycisza je.

— Kiedy żyła moja żona, mogłem krótkofalarstwu poświęcać wiele czasu. Nic mnie w domu nie obchodziło — opowiada nie odrywając oczu od wędrującej po tarczy strzałki. — Teraz do odbiornika siadam coraz rzadziej, bo ani czasu nie mam, ani sił takich jak dawniej.

Jan Świtalski ma 85 lat. Należy do nestorów krajowego krótkofalarstwa. Jest najstarszym członkiem Polskiego Związku Krótkofalowców.

— Czynnym — podnosi palec w górę — póki mnie jeszcze nogi noszą — dodaje.

Radiotechniką zaczął się interesować bardzo wcześnie, w czasach gimnazjalnych, a więc w latach trzydziestych dwudziestego wieku. W okresie studenckim fascynacja Świtalskiego przerodziła się w życiową pasję, ta z kolei w sport wyczynowy, bowiem za takie krótkofalarstwo w tamtych czasach powszechnie uważano. Swój pierwszy odbiornik Świtalski zbudował korzystając z opisu w mie-

sięczniku „Radio”. Posługiwał się nim przy nasłuchu stacji radiofonicznych. Wtedy o krótkofalarstwie wiedział jeszcze niewiele. Pierwszy nasłuch miał z nadającej z Bydgoszczy stacji SPIES (Europa, Syberia). W 1934 roku został członkiem Lwowskiego Instytutu Krótkofalowców. Rok później otrzymał licencję nasłuchową, zaś trzy lata potem licencję i znak nadawczy: SP1MJ. Pracował głównie w CW<sup>1</sup>, używając sprzętu austriackiej produkcji o mocy 200 watów. Do chwili wybuchu II wojny światowej przeprowadził ponad 3000 QSO<sup>2</sup> z 80 krajami. Były to na tamte czasy osiągnięcia znakomite, wzięwszy pod uwagę, że w światowej organizacji krótkofalarskiej zrzeszonych było niewiele ponad 100 państw. Ostatnią swoją łączność przeprowadził ze stacją szwajcarską w 1939 roku, tuż przed kapitulacją Lwowa.

Krótkofalarstwo w naszym kraju liczy sobie ponad 70 lat. Powstało przed 1925 rokiem i zrzesza dwie kategorie krótkofalowców: nasłuchowców oraz nadawców. Nasłuchowcy nie mają prawa nadawania, mogą jedynie wysyłać potwierdzenia swojego nasłuchu tzw. karty QSO. Po zdaniu odpowiedniego egzaminu otrzymują licencję, ministerstwo łączności przyznaje im pasmo nadawania, znak wywoławczy i dopiero wtedy stają się pełnoprawnymi krótkofalowcami.

— Dzisiaj pracuje się na sprzęcie wysokiej klasy o niewiarygodnych wprost możliwościach — mówi Jan Świtalski. — Przed wojną prawie nikt nie posiadał urządzeń fabrycznych. Krótkofalowiec musiał być konstruktorem, znać tajniki radiotechniki, przepisy międzynarodowej łączności, kody, władać biegle językami obcymi, w tym obowiązkowo angielskim. Ten, kto języków obcych nie znał, posługiwał się obowiązującymi skrótami, lecz dogadać się przy ich pomocy nie było łatwo.

---

<sup>1</sup> fala radiowa do transmisji alfabetem Morse`a

<sup>2</sup> rozmowa z innym krótkofalowcem

W czasie okupacji Świtalski pracował w instytucie prof. Weigla. Oficjalnie zatrudniony był w dziale obsługi urządzeń elektrycznych. Naprawdę zajmował się projektowaniem, montowaniem i testowaniem radiostacji przeznaczonych dla AK. Pod koniec wojny przejął obowiązki radiotelegrafisty Okręgu Lwów AK. Ostatnią depeszę nadał 13 marca 1945 roku o godzinie 21.00. Dwie godziny później przyszło po niego NKWD. Po przesłuchaniu przewieziono go samolotem do Moskwy i osadzono na Łubiance. Jak się później okazało, to nadzwyczajne traktowanie miało swoje uzasadnienie. Sowieci chcieli użyć go jako świadka koronnego w procesie członków polskiego ruchu podziemnego, znanym jako „Proces szesnastu”. Ostatecznie, z powodów do dzisiaj nieznanych, oskarżenie zrezygnowało ze Świtalskiego i użyło do tego celu kobiety, radiotelegrafistki AK Okręgu Wilno. Po procesie, Jana Świtalskiego przewieziono na powrót do lwowskiego więzienia, po czym sąd wojskowy skazał go za przynależność i działalność w Armii Krajowej na 10 lat obozu pracy przymusowej. Z tego samego paragrafu na 7 lat ciężkich robót skazano jego żonę oraz na 6 lat jego brata.

— Mamę zwolnili po kilku miesiącach — opowiada — bośmy solidarnie mówili, że ona nie wiedziała, że jesteśmy akowcami.

Wyrok, podobnie jak jego żona, Jan Świtalski odsiedział w łagrach za Uralem. Po odbyciu kary Świtalscy wrócili do Polski i osiedli w Sanoku, rodzinnym mieście żony Jana Świtalskiego. Ze względu na swoją konspiracyjną działalność pan Jan nie mógł uzyskać licencji nadawczej. Nie mógł również pracować w swoim zawodzie, jako prawnik. Nie mógł i nie chciał.

— W kraju bezprawia, jako prawnik? – zżyma się na samo wspomnienie.

Został technikiem dyżurnym w sanockim radiowęźle, później, do emerytury, pracował w Zakładzie Usług Radio-

wych i Telewizyjnych. Do krótkofalarstwa powrócił po 1956 roku. Dawni koledzy i przyjaciele pomogli mu uzyskać licencję i znak: SP8MJ. Swoj pierwszy powojenny nadajnik zbudował ze skonstruowanego wcześniej, w tajemnicy, odbiornika nasłuchowego 1V1. Przez lata doskonalił go, modernizował tak, że w końcu dysponował nadajnikiem o bardzo dużych możliwościach i mocy 0,5 kW. Dzisiaj korzysta z nowoczesnej stacji japońskiej o czterokrotnie większej mocy, lecz mniejszych gabarytach i doskonałym odbiorze.

W krótkofalarstwie istnieją różne specjalności. Świtalski wyspecjalizował się w zdobywaniu dyplomów w różnych konkurencjach. Przez kilkadziesiąt lat zdobył ich ponad 700, co dało mu miejsce w pierwszej dziesiątce krótkofalowców świata. Zdobywał je za potwierdzone kontakty z innymi stacjami w zawodach międzynarodowych, mistrzostwach kontynentalnych, świata, Ameryki Północnej i Europy.

Krótkofalarstwo to nie tylko wyczyn sportowy, pasja, czy hobby. Dzięki niemu nawiązują się znajomości, przyjaźnie, niesiona jest pomoc potrzebującym, gdy ważą się niejednokrotnie losy ludzkiego życia, kiedy zagrożenie dotyczy setek, tysięcy ludzi z powodu różnych kataklizmów.

— Przed wojną rozmawiałem z pewnym amerykańskim krótkofalowcem — wspomina Świtalski — i okazało się, że to Polak, Dawidowski. Później były następne rozmowy, korespondencja i wieloletnia serdeczna przyjaźń. Byliśmy z moją żoną u niego w Stanach, a oni u nas w Polsce. Nasze kontakty przerwała jego śmierć.

Wśród pucharów, medali i dyplomów Jan Świtalski najbardziej ceni sobie dyplom A1OP. Nie można zdobyć go w sportowej rywalizacji krótkofalarskiej. Przyznawany jest przez komisję za osiągnięcia na światowym poziomie. Jego posiadanie oznacza, iż właściciel dyplomu należy do światowej elity krótkofalowców. Na ten zaszczyt Jan Świtalski

pracował kilkadziesiąt lat. W swoim dorobku ma potwierdzoną łączność z 280 krajami. Wynik ten osiągnął w niezwykle trudnej kategorii, jaką jest QSO i to tylko w CW.

— Wszystkich krajów zarejestrowanych w tej kategorii jest ponad 330 — tłumaczy. — W Polsce jest tylko dwóch krótkofalowców, którzy nawiązali łączność ze wszystkimi. Ja się o to już nie staram. Nie mam szans na taki wyczyn ze względu na swój wiek.

Jan Świtalski jest posiadaczem jednej z największych kolekcji dyplomów krótkofalarskich na świecie. Odebrał ponad 80 tys. rozmów poświadczonych wpisami w kilkudziesięciu brulionach i kartami liczonymi na kilogramy. Zwyciężał w zawodach krajowych i zagranicznych. W grudniu ubiegłego roku zajął pierwsze miejsce w Mistrzostwach Polski w łączności dwugodzinnej. Pokonał wielu młodszych od siebie, sprawniejszych fizycznie, wytrzymałszy rywali. Jest mistrzem w wielu kategoriach, m.in. w All Asia. Zajmował miejsca w pierwszej trójce na mistrzostwach świata. Przez 25 lat prowadził biuro okręgu SP8 (w Polsce działa ich 9). Jest założycielem Bieszczadzkiego Klubu Krótkofalowców, posiada członkostwo honorowe PZK, wychował kilkudziesięciu krótkofalowców.

Krótkofalowcami są ludzie różnych profesji. Są wśród nich uczeni, lekarze, znani artyści, osobistości świata polityki, biznesu, nawet monarchowie, jak chociażby zagorzały pasjonat krótkofalarstwa, król Jordanii, Husajn.

— Rozmawiał pan z nim?

— Niestety nie, ponieważ preferuję łączność telegraficzną, a Husajn kontaktuje się fonicznie.

— Czy to oznacza, że nie mógł pan nawiązać z nim kontaktu?

— Mogłem, ale mnie ta forma krótkofalarstwa nie pasjonuje.

— A co jest pasjonującego w tej, którą pan uprawia? Przecież przyjemniej jest rozmawiać bezpośrednio, przez

mikrofon, słyszeć głos swojego rozmówcy, niż prowadzić rozmowę alfabetem Morse'a.

— Jeżeli ktoś, tak jak ja, ma ambicje sportowe, ten musi nawiązać jak największą liczbę kontaktów, a to może osiągnąć jedynie dzięki łączności telegraficznej. Fonia dzisiaj to zabawa, pójdzie na łatwiznę. Mnie zawsze interesowało łowienie fal w eterze.

## Odrodzenie Łemków

Kiedy Michał Sandowicz w swoim wierszu *Łemkowyna* – *Ridna maty*, pisze: „*Łemkowyna, Łemkowyna/ Moja lubow Szczyra/ Ja sie werna z kińca świta/ Ty je moja wira...*” nie składa deklaracji wyłącznie poetyckiej. On już wrócił i nawołuje do powrotu swoich ziomeków rozproszonych po całym świecie.

Wracają. Jeśli nie do swojej ziemi, to przynajmniej do łemkowskiej kultury, sztuki, obyczaju. Przybywają tłumnie na łemkowską „Watę” i zyndranowskie rizdwo (święto) „Od Rusal do Jana”. Przychodzą licznie na przeglądy swoich zespołów, na spotkania ze swoimi poetami, na wystawy swoich malarzy i rzeźbiarzy.

John Gocz, którego przygnało z Kanady do Zyndranowej po dwudziestu latach nieobecności, jest inżynierem metalurgiem. W swoim zawodzie już nie pracuje. Zajmuje się muzyką, komponuje, pisze teksty. Kiedy był młody i samotny, ciągnęło go do Zyndranowej okrutnie. Przyjechał, pochodził po polach i lasach, nacieszył się zielonymi łąkami, szerokimi przestrzeniami, przegadał z bratem Teodorem parę nocy, powspominali dawne czasy i mijało mu jak ręką odjął. Potem przyszła żona, dom, wychowywanie własnych dzieci i Zyndranowa oddaliła się. Odeszła w zapomnienie. Zobojętniała. Dwudziestoletnia nieobecność sprawiła, że John patrzy dzisiaj na Zyndranową inaczej.

— To moje gniazdo, które ja nigdy nie zapomne — wyznaje. — Ja lubie tu przyjechacz, nakochacz się tom przyrodom, spotkacz ludzie, które żyjom tu, ale ja by tu już nie został, jak przedtem nieraz myślał. Moje życie jest tam, w Kanada. Tam się chował, kształcił, tam moje dzieci.

Ojciec Goczów wyemigrował do Ameryki w okresie międzywojennym. Przez kilka lat czynił starania, żeby sięgnąć do siebie swoich najbliższych. W końcu udało mu się



spełnić wymagania władz emigracyjnych. Zgodę na połączenie z rodziną otrzymał wiosną 1939 roku.

— Już my byli spakowane, prawie gotowe, kiedy zaszła wojna — opowiada John. — Udało się dopiero po wojnie i w czterdziestym szóstym roku ja z matką wyjechał do ojca.

Kiedy piętnastoletni John opuszczał Polskę, jego starszy o rok brat Teodor odsiadywał ośmioletni wyrok w więzieniu w Wiśniczu.

— Przyszło do wsi wojsko, frontowcy i zaczęli wysiedlać — wspomina tamten dramatyczny czas Teodor Gocz. — Próżne tłumaczenia. Nie było zmiłuj się. Traktowali nas jak bandytów. Każdy, kto tutaj mieszkał, był dla nich banderowcem. Zabrali z Zyndranowej i okolicznych wiosek wielu, prosto z chałup, pod byle pretekstem. Zawieźli nas do Jasła, poobwieszali różną bronią, taśmami z amunicją i prowadzili ulicami miasta. Ludzie stali na chodnikach, wyzywali nas od morderców, obrzucali kamieniami, pluli — przerywa, chwilę milczy zamyślony, potem rzuca retoryczne pytanie: — Co ja byłem im winien, synek taki, ledwie szesnastoletni? Z bandami nie miałem żadnej styczności. Jak wygląda prawdziwy upowiec, zobaczyłem dopiero w więzieniu śledczym w Rzeszowie.

Teodor opuścił więzienie w Wiśniczu po czterech latach i sześciu miesiącach. Wrócił do swoich, ale już ich w Zyndranowej nie zastał. Przedwojenna ludna i gwarna wieś, zamieszkała przez 180 rodzin, zamieniła się w pustkowie. W 1944 r. wysiedlono na wschód w okolice Kujbyszewa około 130 rodzin. Trzy lata później, w ramach akcji „Wiśła”, prawie całą resztę. Na miejscu zostały cztery rodziny.

Teodor Petryk był 5 lat w Dachau<sup>1</sup>. Kiedy po wyzwoleniu wrócił do Zyndranowej, jego najbliższych już w niej nie było. Nawet nie wiedział, gdzie ich szukać. W czasie wysiedlania na Ziemię Zachodnie pokazał papiery z obozu.

---

<sup>1</sup> niemiecki obóz koncentracyjny

Zostawili go w spokoju. Skolimowski wrócił z Niemiec z robót przymusowych. Już tam ożenił się ze swoją, z Łemkinią. Przed wywózką uratowała go kościelna metryka. Tak samo uratowały się dwie rodziny Dudzików, którym podobne dokumenty wystawił ksiądz z Lubatowej. Żadnych kłopotów z pozostaniem w Zyndranowej nie miał Wanio Gubik, przedwojenny członek KPP i powojenny sołtys Zyndranowej. Został także pradziadek Gocza, Teodor Kukiela, który przez 40 lat był pisarzem gminnym i mówił płynnie piękną polszczyzną. Miał 80 lat. Wyciągnął polski order, podsunął go oficerowi pod oczy i powiedział: *„Służyłem Polsce jak jej najlepsi synowie, żadnemu Polakowi nie wyrzuciłem najmniejszej krzywdy. Jeżeli chcecie mnie stąd wywieźć, to musicie mnie najpierw zastrzelić.”* Oficer spojrział na dziadka, potem na jego odznaczenie i Kukiela został w Zyndranowej.

— Po wyjściu z więzienia miałem do kogo wrócić, ale długo u dziadka miejsca nie zagrzałem — wspomina Teodor — raptem pięć miesięcy.

Pracował w lesie, w sklepie i w spółdzielni rolniczej do czasu, aż przyszło powołanie do wojska. Po przeszkoleniu i złożeniu przysięgi, jako element wrogi Polsce, choć w polskim mundurze i czapce z orzełkiem, skierowany został do batalionów górniczych. Dwa lata kopał węgiel w wałbrzyskich kopalniach. Po wojsku próbował ponownie zacząć nowe życie w Zyndranowej. Długo jednak tutaj nie wytrzymał.

Pojechał za krajanami w Zielonogórskie. Pracował w zakładzie krawieckim, działał aktywnie na niwie kulturalnej zakładając łemkowski zespół folklorystyczny. Dał się poznać, jako dobry organizator i pomysłowy działacz, dlatego Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne wysłało go na kurs animatorów sztuki w Jadwisinie. Po jego zakończeniu wrócił do Zyndranowej, tym razem już legalnie,

na stałe. Przejął gospodarstwo po pradziadku, ożenił się i zaczął nowe życie.

— Było tutaj w tamtym czasie osiemnaście rodzin łemkowskich, które wróciły z Ziemi Zachodnich za zezwoleniem władz — opowiada Gocz. — Życie odradzało się powoli, z oporami.

Kłopotów nie brakowało. Walila się drewniana unicka cerkiew. Trzeba było ją ratować, ale mieszkańcy Zyndranowej byli biedni.

— Stwórzmy zespół, pójdźmy z koncertami do ludzi, zarobimy parę złotych, to chociaż dziury w dachu załatamy — odpowiedziały Teodorowi kobiety.

Gocz przemyślał propozycję i założył teatr pod egidą spółdzielni produkcyjnej. Władza nie oponowała. Przygotowali *Wesele łemkowskie* i ruszyli z nim po wsiach. Przedstawienie odbywało się w plenerze, z wykorzystaniem cerkwi, domów, obejść gospodarskich. Powodzenie miało znaczne. Zostało nawet nagrane w całości przez rzeszowską kronikę TV. Dali kilka koncertów i nagle władze nakazały im zawiesić działalność. Dwie kobiety z zespołu sąd skazał na sześciomiesięczne więzienie. Ukarano je za żebractwo. Pretekstem było zbieranie w trakcie przedstawień datków na odbudowę cerkwi.

— I tak nasza cerkiewka padła — uśmiecha się z goryczą Gocz. — Jednak siła Boża sprawiła, że postawiliśmy potem nową.

Budowali ją dwa lata. Pierwsze nabożeństwo o. Andrzej Popławski odprawił w niej w 1986 roku. Dotychczasowe odbywały się po domach lub na miejscowym cmentarzu. Na zezwolenie budowlane czekali dwanaście lat. Władze w końcu się zgodziły, lecz postawiły im jeden warunek: może być kościół katolicki albo cerkiew prawosławna, w żadnym wypadku grekokatolicka.

— Zeszły się chłopcy i zaczęliśmy radzić — mówi Gocz.

Wszyscy byli za unicką, jak przed wojną. Do prawosławnej przekonywał Wanio Gubik, przedwojenny komuni-  
sta i powojenny sołtys Zyndranowej. Była cerkiew, niech  
będzie cerkiew, a czy ona grekokatolicka, czy prawosławna,  
wszystko jedno. Byleby mieli my gdzie się po naszymu  
modlić. Obrządek ten sam. Przemyśleli sprawę i przyznali  
Gubikowi rację.

Po cerkwi przyszedł czas na Muzeum Kultury Łemkow-  
skiej. Stworzył je, jak wszystko, co w dzisiejszej Zyndrano-  
wej łemkowskiej, Teodor Gocz. Pomagali mu w tym przed-  
sięwzięciu Michał Doński i Paweł Stefański. Obecne mu-  
zeum jest rodzajem małego skansenu. Składa się z chyży  
(dom mieszkalny) oraz budynków gospodarczych o różnym  
przeznaczeniu. W całości stanowi autentyczną zagrodę łem-  
kowską z drugiej połowy XIX wieku. Wnętrza, wyposaże-  
nie, meble, stroje, sprzęty gospodarskie, narzędzia i  
maszyny rolnicze, wyroby rękodzielnictwa i rzemiosła,  
unickie i prawosławne sakralia mają dużą wartość etnogra-  
ficzną oraz historyczną. Wynajdywane na strychach, wycią-  
gane z różnych zakamarków, darowane, wykupione lub  
wręcz wyłagane od dawnych właścicieli, gromadzone były  
całymi latami.

— Kiedy w latach sześćdziesiątych Stefański zakładał  
zespół, a ja robiłem łemkowskie wesele, okazało się, że bar-  
dzo trudno jest o stroje — wyjaśnia Gocz. — Stąd wzięło  
się to nasze zbieractwo.

Oficjalne otwarcie zyndranowskiego skansenu odbyło  
się w sierpniu 1968 roku. Wcześniej Gocz, Doński i Stefań-  
ski powołali w ramach Ukraińskiego Towarzystwa sekcję  
łemkowską. Wielu swoich uznało ich za separatystów. Za-  
niepokojone były także najwyższe władze państwowe  
i partyjne. Wezwano całą trójkę do KC PZPR, oskarżono  
ich o propagowanie szowinizmu, straszono konsekwencja-  
mi, próbowano wymóc wycofanie się z pomysłu.

— My żadnej polityki nie robimy — odparli. — Chcemy jedynie bronić naszej łemkowskiej kultury, nic więcej. Jeżeli pozwolimy jej zaginać, zginą także Łemki.

Władza pogroziła im dobrotliwie, po ojcowsku, udzieliła reprimendy i jak sądził Gocz z wspierającymi go krajana-  
mi, na tym miało się zakończyć. Pomylili się. I to grubo. Dopiero teraz się zaczęło.

— Polecono Czajkowskiemu, dyrektorowi sanockiego skansenu, żeby odkupił nasze obiekty — opowiada Gocz — a mnie za wyrażenie na to zgody, obiecano wielkie pieniądze. Do czego to zmierzało, uświadomili nam nasi przyjaciele, Polacy. Chłopy, powiedzieli nam, jak to im oddacie, to już więcej tego nie ujrzycie.

Odmówili. Niedługo potem otrzymali inną propozycję. Stworzy się w Zyndranowej oddział muzealnictwa ludowego, Gocza zrobi się dyrektorem, lecz pod warunkiem, że Sanok przejmie zbiory i nieruchomości na własność. „Ty nie masz studiów etnograficznych — ostrzegli Gocza polscy przyjaciele. — Minie dwa miesiące, Czajkowskiego odwołają, ciebie zwolnią i wezmą wszystko jak swoje.”

Nie udało się i tym razem. Spróbowali jeszcze inaczej. Przy bramie wejściowej do skansenu stał pomnik poświęcony żołnierzom walczącym o wyzwolenie tych ziem. Kamienny obelisk z pięcioramienną gwiazdą na szczycie był, zdaniem Gocza, jak na tamte czasy ideowo bez zarzutu. Oprócz roli czysto politycznej, spełniał jeszcze jedną, ważniejszą. Chronił etnograficzno – wystawienniczą część skansenu oraz kulturotwórcze działania Łemków w Zyndranowej.

— Stałby zapewne do dzisiaj, gdyby na pamiątkowej tablicy nie było napisu, że ufundowali go Łemkowie — twierdzi Gocz. — Przyjechali saperzy i pomnik wyleciał w powietrze.

Oficjalnie, przyczyną zburzenia pomnika były łuski i armatnie gily, które stanowiły element uzupełniający wy-

strój pomnika. Podobno zagrażały bezpieczeństwu zwiedzających.

— Trzy lata później przyjechały dwa autobusy oficerów — opowiada Gocz — przyszli do mnie, dali pamiątkowy puchar i najwyższy rangą, pułkownik, przeprosił za to, co wtedy zrobili jego koledzy. Przeprosiny przyjąłem, bo Bóg nakazał wybaczać każdemu, nawet wrogowi. Ja kiedyś nośłem taki sam mundur jak ten pułkownik.

Żeby zabezpieczyć się na przyszłość, utworzyli radę muzealną uzyskując tym sposobem prawną samodzielność.

— Wszystko jednak dalej pozostaje na moich plecach — żali się żartobliwie Gocz — bo jeden doradca mieszka w Krynicy, inny w Hańczowej, jeszcze inny w Rzeszowie i trudno jest się nam skrzyknąć.

Co roku u schyłku czerwca Gocz organizuje w Zydranowej cykliczną imprezę, „Od Rusal do Jana.” Obecna była jubileuszowym, piątym spotkaniem Łemków z Polski, Słowacji, Ukrainy. Nie brakowało na niej również Polaków i turystów z Europy Zachodniej. Gościom pokazano dawne obrzędy okresu wiosennego, narodowe i religijne, odbywające się w Beskidzie od zielonych świąt do św. Jana. Wystąpiła także słynna „*Lemkowyna*” oraz łemkowsko-cygańska kapela ze Słowacji „*Lemko-Roma*”. W skansenie oddano do zwiedzania nowy obiekt – chałupę żydowską. Przed wojną w Zydranowej mieszkały trzy rodziny żydowskie zajmujące się, podobnie jak Łemkowie, rolnictwem. Otwarta została nowa wystawa rzeźby, a łemkowscy poeci spotkali się ze swoimi czytelnikami. Dwudniowe świętowanie rozpoczęła konferencja popularnonaukowa, zakończył je wspólny wieczór spędzony przy ognisku.

Teodor Gocz jest usatysfakcjonowany i zadowolony, bo-wiem udało się zrealizować tegoroczne plany. Jego Zydranowskie „rizdwo” zdobywa sobie coraz większe uznanie. Wśród wspierających je finansowo jest wiele instytucji, począwszy od Ministerstwa Kultury i Sztuki, Towarzystwa

Karpackiego, a skończywszy na władzach gminy Dukla. Życzliwych ludzi też nie brakuje. Gocz czuje się trochę zmęczony i świętowaniem, i przygotowaniem do niego, ale o odpoczynku, czy chociażby zwolnieniu tempa, ani myśli. Wydawanie folderów, kwartalnika „Zahoroda”, spotkania z łemkowskimi działaczami, przygotowanie innych imprez, sympozja, korespondencja z Łemkami z całego świata, utrzymującymi stały, listowy kontakt z muzeum, wreszcie zbliżająca się doroczna „Watra” nie pozwalają mu na bezczynność. Pogodny, wyrozumiały dla cudzych słabości i błędów, życzliwie usposobiony do wszystkiego i wszystkich. Jedyne, do czego czuje awersję i wstręt, to politykierstwo. Na temat obecnej sytuacji w Zjednoczeniu Łemków, niesnasek wśród jego działaczy, Gocz ma wyrobione zdanie.

— Czy on nazywa siebie Rusin, czy Łemko, czy Ukraińiec, mnie to nie obchodzi — wyjaśnia. — Czy on jest grekokatolik, czy prawosławny, też mnie to nie obchodzi. Mnie idzie o jedno, szczoby my, Łemki, ne propały. Mamy bronić swojej kultury, odrębności, a przez to własnego istnienia, jako narodu. Mamy razem domagać się wyrównania krzywd, zwrotu zrabowanego majątku, stworzenia możliwości powrotu tym, którzy chcą na swoją ojcowiznę wrócić. Ja też tworzyłem Zjednoczenie Łemków, ale nie po to, by ono nas dzieliło. Jeżeli będziemy się dzielić, za kilkadziesiąt lat nie będzie po nas śladu.

Łemkowie – mniejszość narodowa pochodzenia ruskiego. Nazwa „Łemko” wywodzi się od słowackiego słowa „łem” – „tylko, albo”. Używała go w mowie potocznej ludność zamieszkująca Beskid Niski i część Zachodniego. Śmieszyło to jej wschodnich sąsiadów, Bojków. Właśnie oni nadali jej nazwę Łemków. Z czasem określenie to rozszerzyło się na całą grupę górali ruskich. Łemkowie tworzyli przez wieki zwartą grupę narodowościową. Granica

terytorialna pomiędzy nimi a ludnością polską utrzymywała się niezmiennie do ostatnich lat II Wojny Światowej. Łemkowszczyzna rozciągała się od Popradu na zachodzie po Solinkę na wschodzie. Według danych polskich u schyłku II Rzeczypospolitej ziemie te zamieszkiwało ok. 130 tys. Łemków. Wedle źródeł ukraińskich, było ich ok. 250 tys. Około 30% Łemków wyemigrowało w okresie międzywojennym za pracą do Ameryki i nigdy już stamtąd nie powróciło. W latach 1944-46 na mocy porozumienia rządu PKWN i chruszczowskiej Ukrainy wywieziono na Ukrainę ok. 80% całej populacji Łemków. W 1947 roku, w czasie akcji „Wisła”, przesiedlono przymusowo na tzw. ziemie odzyskane i północne pozostałych. Wysiedleni Łemkowie pobyt na tych ziemiach uważali za tymczasowy. Byli przekonani, że za kilka lat władze PRL pozwolą im wrócić w rodzinne strony. Pierwsze zezwolenia na powrót otrzymali po 1956 r. Przez dwa lata powróciło ich ok. 2 tys. Nie mogli jednak wracać tam, gdzie osiedlili się polscy osadnicy. Musieli odkupować od nich swoje domy i ziemię. Nie otrzymywali zezwoleń na budowę domów mieszkalnych ani budynków gospodarczych. Dane oficjalne mówią, że wróciło ich ok. 8 tys. Inne źródła podają, że ok. 25 tys. Faktem jest, iż wiele dawnych wsi łemkowskich stało się na powrót czysto łemkowskimi. Zalicza się do nich m.in. Bartne, Kunkową, Bielankę czy Zyndranową, w której mieszka obecnie 28 rodzin.



## Wszyscy ludzie Kaszuby

Zbyszka Kaszuby w obozowisku na Hyrczy nie ma. Poszedł do bazy studenckiej SGGW w Łopience. Po południu jedzie w ważnej sprawie do Warszawy. Wróci do Łopienki w drugiej połowie września. Kaszuby nie ma, ale są jego ludzie. Agnieszka Bernacka pichci coś na ognisku.

— Dla chłopaków — tłumaczy — bo jeszcze nie jedli śniadania.

Chłopaki – Wojtek Bożek, Bogdan Wawryszczak i Andrzej Grzeszak z Baligrodu, pracują na Hyrczy od wczesnego rana. Odbudowują położoną kilkadziesiąt kroków od obozowiska murowaną kapliczkę z XVIII wieku.

— Stała przy drodze z Tyskowej do Łopienki — wyjaśnia Włodek Bayer, Wielkopolanin, emerytowany wojskowy, przewodnik PTTK, zapalony turysta. Przysiadł na ławce z olchowych okrągłaków i gasi pragnienie herbatą z dzikiej mięty. — Szli tędy pielgrzymi na łopieńskie odpusty, zatrzymywali się, odpoczywali przy kapliczce, modlili się. Takich kapliczek było wtedy w tych stronach wiele. Do naszych czasów zachowały się dwie i to zrujnowane. Jedna tutaj, na Hyrczy, druga w Studennem koło Rajskiego.

Bayer przynosi z namiotu zeszyt. Na kilku stronach Kaszuba rozrysował hycrzańską kapliczkę w różnych rzutach. Dzięki tym szkicom nie będą mieli kłopotów z odtworzeniem jej dawnego wyglądu. Prace posuwają się szybko, zgodnie z ustaleniami. Ściany kapliczki budują z łupku piaskowego łączonego glinianą zaprawą. Tak się wtedy budowało, zapewnia Wojtek Bożek. Przynoszą z odległego o kilkaset metrów strumyka wodę, a potem przygotowują razem zaprawę. Bogdan muruje. Ma chłopak wprawę, to widać. Zresztą, jakby nie było, sześć lat przepracował przy rekonstrukcji łopieńskiej cerkwi. Kiedy Kaszuba potrzebował go na Hyrczy, Andrzej i tym razem nie odmówił.

— Mam dwadzieścia trzy lata i dużo wolnego czasu — mówi. — No i nie robię tego dla pieniędzy. Żeby to było jasne — zastrzega się — bo pieniądze są żadne. Acha... już wiem — śmieje się. — Żeby kiedyś przyprowadzić tutaj swojego syna i pochwalić się, że nie stałem z boku, nie przyglądałem się, lecz brałem w tym czynny udział.

— Przyjechaliśmy w Bieszczady z Agnieszką tydzień temu — tłumaczy Wojtek — i od razu i poszliśmy do bazy na Łopienniku, ale ponieważ okazało się, że na Hyrczy jest robota, to przyszliliśmy tutaj.

— Tym razem jesteście w mocno okrojonym składzie, tylko we dwoje — wtrąca Agnieszka. — Tak jakoś wypadło. Zawsze, kiedy idziemy w Bieszczady na wędrownkę, zatrzymujemy się w Łopience, żeby popracować przy cerkwi.

Agnieszka, podobnie jak Wojtek, pochodzi z Przeworska. Jest plastykiem, pracuje w jednej z przeworskich podstawówek. Z Wojtkiem znają się od lat. Połączyło ich wędrowanie z plecakiem nieznanymi zakątkami Bieszczadów. Wyjeżdżają z Łopienki pojutrze, lecz wrócą tutaj jeszcze na parę dni we wrześniu.

Na Hyrczy zostaje Włodek Bayer z Bogdanem i Andrzejem. Oni również wkrótce stąd odejdą. Muszą jednak najpierw dokończyć budowę kapliczki. Jeżeli nie przeszkodzi im zła pogoda, prace przy niej powinni zakończyć najpóźniej za dwa tygodnie.

Nieopodal kapliczki stoi zachlapaną bieszczadzkiem błotem ciemnozieloną kia – jeep Natkańskiego.

Natkański wozi terenówką z Tyskowej kamienie, które posłużą do odbudowy kapliczki. Dzisiaj zrobił kilkanaście kursów w dolinę. Przy załadunku i wyładunku kamieni pomaga mu Tadeusz Znosko. Obydwaj są przyjaciółmi Zbyszka Kaszuby i, podobnie jak on, warszawiakami.

Jerzy Natkański prowadzi w stolicy biuro turystyczne. Jest alpinistą, ma na swoim koncie udział w kilku wyprawach wysokogórskich. Znosko jest rzeźbiarzem. Wspólnie z żoną, Dorotą Brodowską, malarką, zajmują się projekto-

waniem wewnątrz. Wszyscy należą do Akademickiego Klubu Turystycznego przy SGGW, który w tym roku obchodzi okrągłą rocznicę – dwudziestolecie swojego istnienia. Bieszczady znają jak własną kieszeń. Nie zdarzyło się, żeby w trakcie swoich corocznych wędrówek nie zatrzymali się na parę dni w Łopience. Bywanie w tej najpiękniejszej dolinie świata, jak ją nazywają klubowicze, weszło im w krew, stało się dla nich nawykiem, więcej nawet, rytualną potrzebą.

— Po górach chodzę od trzydziestu lat. Po Bieszczadach trochę mniej. Z żoną i dziećmi będzie już z dziesięć — mówi Znosko. — Wędrujemy zwykle przez miesiąc, a na koniec schodzimy do Łopienki. W tym roku przeszliśmy Beskid Niski, od Krynicy, zahaczając o Zyndranową, do Komańczy. Żona wróciła do Warszawy, a ja z dziećmi przyszedłem tutaj. Dzisiaj mieliśmy wyjeżdżać, ale zostałem jeszcze na parę dni, żeby pomóc na Hyrczy.

— Przyjaźń ze Zbychem zobowiązuje. Jak trzeba coś zrobić, to się robi, choć robota, jak ta dzisiejsza, właściwie żadna — uzupełnia Natkański. — Co do Łopienki, to odczucia mam podobne jak Zbyszek. Tą doliną rządzi coś tajemniczego, nieodgadnionego. Fetysz? Metafizyka?... Przyciąga człowieka niczym magnes. Posiedzisz sobie tutaj, napatrzysz się na to uroczysko, naładujesz się jego magnetyzmem i wracasz do domu jakby nie ten. Inny, odmieniony, nowszy, młodszy.

— Myśmy chodzili na początku na Tworylne — opowiada Agnieszka. — W Łopience znaleźliśmy się raz przypadkiem i ujrzałam taką scenę. Pod ruiny cerkwi zajęchała traktorem kobieta z małą dziewczynką. Zsiadły z ciągnika, zapaliły świece, pomodliły się, wsiadły na traktor i odjechały. To było dawno. Nie potrafię tego umiejscowić w czasie, ale zapamiętałam tę scenkę na całe życie. A potem widziałam jak cerkiew się odradza, te mury, krokwie, dach, podbijanie gzymsów, wylewki... I tak rok za rokiem. Aż do dzisiaj.

Na dziedzińcu łopińskiej cerkwi siedzą młodzi ludzie z plecakami. Drogą od Bukowca ciągną grupki letników. Wchodzą na plac, oglądają odbudowywaną pieczołowicie świątynię z zewnątrz, zagląдают do środka, wpatrują się w błyszczące nowiutką blachą cebulaste kopułki, robią zdjęcia. Ruch jest znaczny. I na placu wokół cerkwi i na drodze do Bukowca. Jedni odchodzą, inni przychodzą.

Cerkiew w Łopience (z 1757 r.) była na terenie obecnych Bieszczadów pierwszą murowaną cerkwią obrządku grekokatolickiego. Słynęła z cudownego obrazu Matki Boskiej i organizowanych trzy razy w roku odpustów, na które ściągały tłumy pielgrzymów z całych Karpat. Koło świątyni stała drewniana dzwonnica, obok murowana kapliczka z rzeźbą Chrystusa Frasobliwego, zaś nieopodal, przy cudownym źródelku, małeńka kapliczka z figurką Matki Bożej. Dolina wokół cerkwi tętniła spokojnym, unormowanym życiem. Domy, budowane wzdłuż potoku, otoczone były sadami. Pola i łąki kośne leżały na okalających wieś zboczach Łopiennika, Korbani i Jam. Ten spokojny, idylliczny świat przetrwał do II wojny światowej. Zagłada przyszła w maju 1946 roku. Mieszkańcy Łopienki otrzymali dwie godziny na spakowanie dobytku, a potem polscy żołnierze doprowadzili ich siłą do granicy z ZSRR i przekazali oddziałom sowieckim.

Kilka rodzin ukryło się w lesie. Rok później wyłapano je i wysiedlono na ziemie odzyskane w ramach akcji „Wisła”. Opuszczona wieś popadała w ruinę, ginęła, zapadała się w ziemię. Domy zniknęły, porosły pokrzywami, łopianem i olszyną. Sady zdziczały. Pola i łąki zamieniły się w ugory, zarosły buczyną, olchą, brzozą, jałowcami. Naporowi czasu, szabrownikom i wandalom nie oparła się także murowana cerkiew. Wspaniała niegdyś budowla sakralna zmieniła się w rumowisko. Zdarty dach, wypłukane deszczem tynki, walące się mury porosłe wysokim, trzymetrowym zielskiem ujrzał w 1963 roku Olgierd Łotoczko, etnograf, konserwator zabytków, założyciel i kierownik studenckiego schroni-

ska w Łopience. Widok wywarł na nim przygnębiające wrażenie. Postanowił ratować cerkiew za wszelką cenę. Opracował plan jej renowacji oraz projekt utworzenia wokół niej wioski turystycznej, swoistego rodzaju skansenu.

Po kilku latach przygotowań, w 1972 r. ruszyły pierwsze prace. Cztery lata później zostały przerwane. Łotoczko zginął w Hindukuszu. Schronisko w Łopience spłonęło. Dolina znówu opustoszała. Przyjeżdżający na wypas górale z Podhala zamienili cerkiew w koszar zapędzając do niej na noc stada owiec i bydła.

W 1982 r. pojawili się ludzie z Akademickiego Klubu Turystycznego i założyli w dolinie bazę namiotową. W następnym roku przywędrował w te strony Zbigniew Kaszuba. Zobaczył cerkiew, a raczej to, co z niej zostało i postanowił ją odbudować. Co roku organizował obozy, tzw. cerkwiska, dla wszystkich, którzy chcieli pomagać w odbudowie cerkwi.

Zapleczem dla pracujących, sypialnią, magazynem sprzętu i materiałów była, i ciągle jest, baza namiotowa. W 1986 r. Kaszuba ze swoimi ludźmi oczyścił świątynię z porastającego ją zielska i krzaków. W następnych latach odwodnił teren, przebudował koronę muru, fragmenty ścian, sklepienie, wzmocnił fundamenty, położył nową płytę. W 1992 wykonał więźbę dachową. Deskowanie zakończyli w grudniu. W następnym roku pojawili się w Łopience blacharze. Trwająca wiele lat uparta, najeżona licznymi trudnościami i ustawicznym brakiem pieniędzy mozolna odbudowa zakończyła się sukcesem. Jesienią Kaszuba i jego najbliżsi przyjaciele zainstalowali na cerkwi odgromienie, a na wieży i sygnaturce zamontowali kute, żelazne krzyże. W kolejnym roku wzniesli murowaną kapliczkę, w tym pomalowali na cerkwi dach.

— Przychodzi do bazy człowiek, wita się i opowiada mi, jak on tutaj był, jak pracował, z kim — mówi Jerzy Kusiak, obecny szef bazy, nazywany przez bazowiczów „Słoniem.” Kusiak mieszka w Warszawie. Ma 26 lat, przerwane studia,

jednoosobową firmą budowlaną. Z Kaszubą zetknął się, podobnie jak inni, przy odbudowie cerkwi. — Słucham, patrzę, ale człowieka sobie nie przypominam. Bo niby i jak, skoro przez Łopienkę przewinęło się ich tysiące. Każdy z nich coś robił, każdy pomagał. To była, i jest nadal, prawdziwa armia ludzi, z których każdy, co do jednego, ciałem i duszą należy do Kaszuby.

## Leśny Dom w Komańczy

Na zboczu wzniesienia, wśród jodeł i świerków, stoi trzykondygnacyjny pensjonat. Mieszkańcy okolicznych miejscowości nazywają go klasztorem, natomiast siostry Nazaretanki, jego właścicielki i mieszkanki – Leśnym Domem. Wybudowany został w 1931 roku przy finansowym wsparciu Polonii. Zaprojektowany jako dom wypoczynkowy służyć miał sioström zakonnym, uczennicom oraz personelowi nazaretańskich szkół.

Od pierwszych dni mieszkające w pensjonacie siostry niosły pomoc pielęgniarską i lekarską miejscowej ludności, prowadziły działalność oświatową i wychowawczą. W czasie okupacji niemieckiej udzielały schronienia przesiedleńcom, prześladowanym księżom oraz Żydom. Prowadziły także punkt sanitarny nazywany przez miejscowych „ambulatorium”. Jego działalność zawieszona została w 1961 roku.

Przed kilku laty drzwi Leśnego Domu otwarte zostały dla wszystkich, którzy chcą w nim wypocząć lub go zwiedzić. Gości nie brakuje. Przyjeżdżają przez cały rok. Dwa piętra przeznaczono dla kuracjuszy, natomiast parter pozostaje w użytkowaniu sióstr zakonnych. Oprowadzająca gości siostra Krystyna twierdzi, że liczba odwiedzających klasztor osiąga rocznie kilkanaście tysięcy. Większość stanowią ci, którzy pragną zobaczyć miejsce internowania przez władze komunistyczne Ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego.

— Zwiedzanie trwa krótko. Pamiątek rzeczowych po Prymasie Tysiąclecia jest u nas niewiele. Zwiedzający są zaskoczeni, czasami nawet zawiedzeni — mówi siostra. — Ich wyobrażenia nie przystają do rzeczywistości. Wielkość rzeczy kojarzą, nie wiem czemu, z wielkością ducha. Stąd

zapewne bierze się ich zaskoczenie a nierzadko i rozczarowanie.

Zwiedzanie rozpoczyna się od pokoju prymasowskiego na parterze. Jest to pomieszczenie zastępcze. Ks. Kardynał zajmował narożny pokój na piętrze. Z udostępnienia go zwiedzającym zrezygnowano z chwilą oddania piętra kuracjom. Taką decyzję wymusiły na siostrach okoliczności. Zyski z prowadzonego ośrodka wczasowego są jedynym źródłem finansowania klasztoru.

— Nie mijamy się przez to z faktami — wyjaśnia Siostra Przełożona. — Pokój ten służył księdzu Prymasowi jako miejsce codziennej wielogodzinnej pracy. Przebywał w nim częściej niż na piętrze.

Każdy ze zgromadzonych w pokoju eksponatów jest bezcenny, jedyny w swoim rodzaju. Najciekawsze, obfitujące w szczegóły opowieści o nich, ubarwione anegdotami i dykteryjkami snuje 80-letnia Siostra Salezja. Żeby ją usłyszeć, trzeba mieć szczęście. Ze względu na wiek i stan zdrowia Siostra Salezja coraz rzadziej wychodzi do zwiedzających klasztor gości. Ekspozowanych pamiątek po Prymasie jest niewiele. Oryginalny soborowy dzwonek w kształcie stożka, którym Prymas, jako Przewodniczący, otwierał II Sobór Watykański, jest najcenniejszą pamiątką. Również strój kardynalski, którego Prymas, według zapewnień siostry, używał tylko w Watykanie. Oprócz nich mszał łaciński, przybory do pisania, ornat, w którym odprawiał Msze Św. w klasztornej kaplicy. Meble i sprzęty proste, skromne, rzec można nawet, ubogie. Żelazne łóżko, trzcinowy stolik, takież fotelik i tuzinkowa lampa naftowa dopełniają całości ekspozycji.

Do tego doliczyć trzeba kilka pamiątek prezentów. Obraz olejny Horskiego przedstawiający Prymasa z kosturem i różańcem w ręce wędrującego po bieszczadzkich górach. Jego popiersie autorstwa prof. Kosa, wiersz ks. Jana Twardowskiego z imienną dedykacją, oraz drewniany krzyż ofia-



rowany w 1982 roku przez działaczy „Solidarności” internowanych w Łupkowie. Na koniec leszczynowy kostur, świadek codziennych spacerów Prymasa po birczańskim lesie. Ów kostur, a raczej laska powierniczka, jak nazywa ją Siostra Salezja, uwieczniona na licznych fotografiach Prymasa z jego odosobnienia w Komańczy, stała się przedmiotem symbolicznym.

Po aresztowaniu 25 września 1953 roku i dwuletnim więzieniu w Rywaldzie, Stoczku oraz Prudniku, przywieziono Prymasa do Komańczy. Świadek tamtego wydarzenia, Siostra Stanisława Niemeczek, tak wspomina ten dzień: „... ukazał się Ksiądz Prymas w otoczeniu eskorty bladej, bardzo wymizerowanej i czekał cierpliwie na pojawienie się sióstr. Nadeszła Siostra Przełożona i inne. Z największym wzruszeniem i czcią witały niezłomnego człowieka, który miał odtąd być jednym z domowników. Eskortujący patrzyli na moment naszego powitania. Zrobiło mi się żal tych młodych ludzi. Chodzili niby w dzień, a tak naprawdę nigdy nie widzieli światła...”

W Leśnym Domu przebywa do dzisiaj jeszcze jeden świadek tamtych czasów. Jest nim dobiegająca dziewięćdziesiątego roku życia Siostra Edyta, która do Komańczy przybyła jesienią 1954 roku.

Wiadomość o uwięzieniu w Komańczy Prymasa rozeszła się po okolicznych wsiach lotem błyskawicy. Zarówno w niedziele, jak też w święta ludzie gromadzili się tłumnie w klasztornej kaplicy, by móc Go ujrzeć i wysłuchać. Leśny Dom stałby się bardzo szybko miejscem pielgrzymek, gdyby władze państwowe nie włączyły Komańczy w pas przygraniczny. Odtąd bez specjalnych zezwoleń i przepustek nikt do Komańczy nie mógł przyjeżdżać, ani w niej się zatrzymywać. W pobliżu klasztoru stacjonowała jednostka WOP-u.

— Żołnierze kontrolowali i zawracali każdego. W szczególnych przypadkach zezwalano na odwiedziny

niektórym dostojnikom kościoła i raz Stanisławowi Wyszynskiemu, ojcu Ks. Prymasa. Jakże radosne i jakże symboliczne było to spotkanie — opowiada Siostra Salezja. — Starzec ukląkł przed synem, dostojnikiem Kościoła, a syn, klęcząc, całował ręce ojca.

Pobyt Prymasa w Komańczy wypełniony był wytężoną pracą. Ks. Prymas odpowiadał na liczną korespondencję, bowiem stąd kierował całym Polskim Kościołem. Dużo czytał, pisał rozważania liturgiczne, czynił zapiski więzienne. Tutaj również powstała Wielka Nowenna i Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego.

Wierność ustalonemu porządkowi dnia nie pozwalała mu marnować choćby jednej minuty. Wczesnym rankiem odprawiał Mszę Św. a po niej siadał do konfesjonatu i spowiadał nierzadko po kilka godzin. Siostry nie jeden raz zastawały go leżącego krzyżem w kaplicy na chóрку, lub klęczącego długie godziny na gołej podłodze, zatopionego w modlitwie i rozmyślaniach. Ustalony porządek dnia przewidywał także codzienny spacer kończony zwykle przed figurką Matki Bożej Leśnej.

Chodził najczęściej po przyklasztornym lesie przemierzając ścieżki i dróżki z nieodłącznym kosturem w rękę, obserwowany dyskretnie przez czuwające nad jego bezpieczeństwem siostry. Chłonał piękno przyrody, zachwycał się ciszą szepcząc: „*jak cichuchno*”. Przypatrywał się pajęczynom, kropłom rosy zawieszonym na źdźbłach traw, a po powrocie dzielił się swoim zachwytem z mieszkankami Leśnego Domu.

W czas sianokosów i żniw zachodził do koszących niosąc im błogosławieństwo. Siadał przy ognisku i jadł z siostrami pieczone ziemniaki albo zakładał chustę na głowę i pomagał szatkować kapustę. Siostrze infirmerce<sup>1</sup> zbierał zioła, siostrom z pralni przynosił owoce i słodczyce, a spo-

---

1 pielęgniarka

rzządzającej kopie jego listów stawiał na stoliku przyniesione ze spacerów bukiety polnych kwiatów.

Siostry przyzwyczajone były dotąd widzieć w nim wielkiego męża stanu i Głowę Polskiego Kościoła. Jego pobyt w Komańczy i codzienne obcowanie z nim odsłoniły przed nimi jego ujmującą prostotę, zwyczajność i ojcowską życzliwość.

W piątek 26 października 1956 roku przybyli do komańczańskiego klasztoru przedstawiciele władz państwowych: Kliszko i Bieńkowski. Kiedy doniesiono mu o tym, powiedział: *„Trzy lata na nich czekałem, niech teraz poczekają na mnie”* i udał się do kaplicy. Po długiej modlitwie zszedł do rozmównicy. Rozmowa trwała ponad dwie godziny.

Prymas postawił twarde warunki. Wysłannicy skontaktowali się z Władysławem Gomółką, I sekretarzem KC PZPR. Warunki zostały przyjęte. W niedzielę, 28 października, Prymas wrócił do Warszawy w towarzystwie biskupa Choromańskiego i delegata władz państwowych. Na pożegnanie powiedział do sióstr: *„Wszystko jest łaską. Jest łaska uwięzienia i łaska wyzwolenia. Nie wiem, za którą dziękować Bogu. Wy dziękujcie ze mną za jedną i drugą”*.

Przy punkcie kontrolnym WOP pełniący służbę żołnierze zasalutowali oddając wyjeżdżającemu Prymasowi honory wojskowe. Niemal natychmiast przestały obowiązywać zakazy dotyczące Komańczy. Jednostkę WOP-u wycofano, błyskawicznie rozebrano strażnicę, zaś strefę graniczną przesunięto na dawne tereny.

Pomimo powrotu do Warszawy Prymas nie zerwał kontaktów z Komańczą. Przyjeżdżał tutaj prawie co roku na krótszy lub dłuższy odpoczynek przez dwadzieścia kolejnych lat. Ostatni jego pobyt miał miejsce w 1976 roku. Prowadził z siostrami ożywioną korespondencję. W swoich listach dzielił się spostrzeżeniami i osobistymi refleksjami w wielu sprawach, często bardzo zwyczajnych, ale odnoszących się zawsze do problemów i kłopotów prostych ludzi.

W archiwum klasztornym znajduje się wiele tego rodzaju listów. Prymas wraca w nich również do chwil spędzonych w Komańczy pisząc: „...*módlcie się za mnie, bym mógł podolać obowiązkom. Staram się być równie zebrany w spokoju wewnętrznym, jak w Komańczy. Ale nie jest to łatwe, jak wśród was...*”

Życie klasztorne w Leśnym Domu toczy się ustalonym rytmem codziennych, zwykłych obowiązków. Przebywa w nim od 18 do 20 Sióstr Zgromadzenia Najświętszej Rodziny z Nazaretu, które zajmują się prowadzeniem ośrodka wczasowego i gospodarstwem.

— Podstawowe zajęcia są zgodne z naszym wykształceniem — wyjaśnia Siostra Przełożona. — Ale robimy także to, co jest aktualnie konieczne. Idziemy na wykopki, do prac leśnych, ogrodowych, opiekujemy się kościołem parafialnym, prowadzimy katechizację w szkołach, oddajemy posługi duchowe potrzebującym.

Są na każde zawołanie. Czterdziestoletni pobyt w jednym miejscu, jak w przypadku Siostry Edyty, jest czymś wyjątkowym. Siostra Salezja jest w Zgromadzeniu od 1935 roku. Pracowała w wielu placówkach jako nauczycielka i wychowawczyni. Przez trzynaście lat prowadziła w Wadowicach Szkołę Życia dla dzieci upośledzonych. Wiek i siły u niej już nie takie, jak dawniej. Lecz jeśli może być w czymkolwiek pomocna, stara się służyć swoją osobą jak najlepiej. Służyć, na ile tylko mogę, dodaje.

## Znaki czasu

Małgorzata Rubel jest przewodniczącą Towarzystwa Pamięci Żydów Galicyjskich. Mieszka w Paryżu. Do Leska przyjechała na kilka dni, żeby otworzyć wystawę w miejscowej synagodze. Jej przyjazdy do Polski stały się ostatnio częstsze. Prawdę mówiąc, więcej czasu spędza teraz w Krakowie, Warszawie i Lesku niż w Paryżu. Pochodzi z zasymlowanej rodziny żydowskiej. Urodziła się w Krakowie. Jej ojciec był redaktorem „*Ilustrowanego Kuriera Codziennego*.” Z licznej rodziny Małgorzaty Rubel, sprzed wojny, przy życiu nie pozostał dzisiaj nikt.

— Zginęli, przepadli, nawet nie wiem gdzie — mówi. — Może w obozie w Bełżcu, może w jakimś innym. Jedno jest pewne. Zginęli śmiercią żydowską, to znaczy, okrutną i bezimienną.

Los nie oszczędził również jej. W 1968 roku musiała opuścić Polskę wskutek antysemitkiej nagonki rozpętanej przez ówczesne władze. Wiele lat mieszkała w Anglii, Holandii, Danii. Jest historykiem sztuki, architektem, posiada znaczny dorobek naukowy, wykłada w kilku zachodnich uczelniach.

Od dawna szukała miejsca, w którym, jak sama to określa, mogłaby zrobić coś, co ukazywałoby strukturę wielonarodowościową i wielowiekowy dorobek kulturowy mniejszości zamieszkujących dawną Galicję.

— Chciałam przywrócić pamięci ludzkiej chociażby w części tamten świat i jego wymiar mniejszościowy — zwierza się ze swojego pomysłu. — Choć tak naprawdę — dodaje po chwili krótkiego zastanowienia — nikt nie był w nim mniejszością. Żyły obok siebie różne grupy etniczne, tworzyły mieszanekę, która dała kulturze, literaturze, w ogóle sztuce, wielkie nazwiska. To tutaj, w Galicji spełniała się przez stulecia wielka tolerancja i integracja, prawie że mo-

delowo. Tutaj też nastąpił, nie wiadomo czemu, nagły, niespodziewany wybuch i świat ten zniknął bezpowrotnie.

Z Leskiem nie łączą jej żadne osobiste związki. Miasteczko wybrała na miejsce realizacji swojego pomysłu przez przypadek. Namawiała do wspólnego przedsięwzięcia mieszkające w Polsce mniejszości narodowe Łemków, Karaimów, Bojków i Tatarów. Nie udało się, więc postanowiła działać sama.

Początkowo swój pomysł zamierzała zrealizować w Dąbrowie Tarnowskiej. Chciała ratować przed zagładą tamtejszą synagogę. Znalazła sojuszników w miasteczku, miała również poparcie tamtejszych władz. W 1992 roku, przejeżdżając przez Bieszczady, zatrzymała się na kilka godzin w Lesku. Nie miała żadnych specjalnych intencji, nie wiązała z tym miejscem żadnych planów, lecz kiedy zobaczyła leską synagogę powiedziała sobie, że jeżeli ma coś zrobić, to właśnie tutaj.

— Co to było, nie wiem — opowiada. — Impuls? Przechucie? Czar niedzielnego popołudnia?

Bo było właśnie letnie niedzielne popołudnie. Słoneczne. Ciche. Senne. Ze snującymi się uliczkami miasteczka nielicznymi przechodniami. Takie nierealne. Nieśpieszne. I tak bardzo galicyjskie. Jakby to była niedziela 1892 roku, a nie sto lat później.

— No i właśnie ta atmosfera Leska oraz ta jego przeszłość — dodaje Rubel — którą czuje się tutaj wszędzie, gdzie by się człowiek nie ruszył sprawiła, że wybrałam Lesko zamiast Dąbrowy.

Przez kilka stuleci żyły w Lesku obok siebie trzy nacje: Polacy, Żydzi i Rusini. Ten stan utrzymywał się do dnia wybuchu II wojny światowej. Według spisu z lat trzydziestych miasteczko liczyło 3870 mieszkańców: 2338 wyznania mojżeszowego, 1080 rzymskokatolickiego, 541 grekokatolików, 1 prawosławny.

Prawie w centrum miasteczka stały świątynie trzech wyznań. Kościół parafialny od bóżnicy dzieliło dwieście kroków. Niewiele więcej bóżnicę od murowanej cerkwi, po której nie pozostał dzisiaj żaden ślad. Synagoga oparła się przeciwnościami i przetrwała.

Zbudowano ją w XVII wieku. Zniszczoną podczas II wojny światowej odrestaurowano w latach sześćdziesiątych. Obecnie mieści się w niej Galeria Bieszczadzkiego Domu Kultury. Swoją siedzibę mają w niej także PTTK, Towarzystwo Miłośników Leska i Okolic, zaś od roku Towarzystwo Pamięci Żydów Galicyjskich założone przez Małgorzatę Rubel.

Obiekt wymaga remontu. Od ostatniego minęło 30 lat. Miasto chce go ratować. Wykonano wstępne prace, zmieniono na budynku głównym oraz dobudówce dach, przebudowano attykę, wzmocniono podpory. Na dalsze prace zabrakło w miejskiej kasie pieniędzy.

Burmistrz, Stanisław Tabisz, liczy na krajowe fundacje oraz organizacje żydowskie. Być może, że znajdzie jakieś pieniądze w przyszłorocznym budżecie gminy. Tegoroczna pomoc miasta dla TPŻG ograniczy się do uporządkowania otoczenia synagogi, wykonania drobnych napraw w ramach prac interwencyjnych oraz ufundowania pamiątkowego obelisku.

— O zabytkach nie zapominamy — zapewnia burmistrz Tabisz — bo to przecież turystyczny atut Leska. Miasto chce żyć z turystów i turystyki. Musimy jednak najpierw przeprowadzić gazyfikację, usprawnić wodociągi, wybudować oczyszczalnię, żeby stworzyć przyjezdnym odpowiednie warunki wypoczynku.

Małgorzata Rubel jest zadowolona. Deklaracja, jej zdaniem, to też zobowiązanie. Nie domaga się od miasta pieniędzy. Wystarczy jej w zupełności pomoc obiecana przez burmistrza. Sojuszników dla swojej sprawy znalazła wśród członków Towarzystwa Miłośników Leska i Okolic. Wspie-

rał ją również Stanisław Salamon, nieżyjący już nauczyciel miejscowego liceum, historyk, językoznawca, człowiek cieszący się wśród leszczan ogromnym autorytetem. Wspomaga ją młody, zdolny plastyk Waldek Kordynacznny, który z grupą swoich przyjaciół przygotował obecną wystawę judaików i podjął się robienia przyszłych. Zresztą, szczególnie wśród młodych leszczan Małgorzata Rubel znalazła wielu sojuszników.

— Są otwarci na świat, na inność i odmienność, ciekawi przeszłości, wyzbyci tak zwanej interesowności, że coś za coś — mówi Rubel. — No i nie mają uprzedzeń. Nie różnią się właściwie od swoich rówieśników z Zachodu. Chociaż dużo pisze się i mówi o antysemityzmie Polaków, ja w Lesku z nim się nie spotkałam. Ludzie uśmiechnięci, życzliwi, pomocni na każdym kroku. To jest dobry znak nowego czasu — podkreśla z naciskiem.

— Nikczemność nie jest przypisana do żadnego narodu — zżyma się Mieczysław Buziewicz. — Nikczemność jest indywidualistką i przykleja się zwykle do pojedynczego człowieka.

Buziewicz jest dyrektorem leskiego BGŻ, członkiem Towarzystwa Miłośników Leska i Okolic, i od początku wspiera poczynania Małgorzaty Rubel. Wspieranie jej przedsięwzięcia uważa za swój obowiązek. Mówi żartobliwie, że takie właśnie poczucie wyssał z mlekiem matki. Brzmi to przekornie, lecz prawdziwie.

Przed wybuchem II wojny światowej Mieczysław Buziewicz mieszkał z rodzicami w Krystynopolu. Jego ojciec był sekretarzem gminy i cieszył się u miejscowych Żydów uznaniem i zaufaniem. Dowody tego Mieczysław widział setki razy w tamtych okrutnych czasach.

— Pewnie przeszło to z ojca na syna — śmieje się — więc niech tak już zostanie.

Zgodnie z planami Małgorzaty Rubel, Lesko będzie głównym ośrodkiem Towarzystwa, które swoją działalno-



ścią obejmie całą dawną Galicję, od Krakowa po Buczacz. W miasteczku organizowane będą wystawy okresowe i stałe o różnorodnej tematyce, odbywać się będą sympozja, zjazdy, odczyty, spotkania przedstawicieli wielu kultur i religii.

Małgorzata Rubel jest świadoma tego, iż obecna ekspozycja w synagodze jest skromna. To dopiero początek, tłumaczy. Na ten rok zaplanowała wystawę poświęconą Żydom lwowskim. Następna będzie o cadykach i szlacheckich dworach galicyjskich. Jeżeli uda się zrealizować te i inne przedsięwzięcia, które nosi w sobie od dawna, jest pewna, że Lesko zostanie wpisane na światową mapę zabytków kultury żydowskiej.

Dla miasteczka i jego mieszkańców byłaby to nadzwyczajna szansa. Czy tak się stanie i czy Lesko tą szansę wykorzysta, czas pokaże. Pierwszy rok działalności Towarzystwo Pamięci Żydów Galicyjskich ma już za sobą. Były małe radości, były również małe smuteczki. Jak to w życiu, podkreśla filozoficznie Rubel.

Działalność Towarzystwa finansowana jest głównie z prywatnych funduszy Małgorzaty Rubel. Żeby je zdobyć, wynajmuje swoje mieszkanie w Paryżu. W ubiegłym roku przeznaczyła na działalność Towarzystwa ponad 3 tys. \$. W bieżącym będzie zapewne podobnie, chociaż już nie w takim wymiarze. Na taką kwotę ją obecnie nie stać.

Będzie więc musiała swoje ambitne plany zweryfikować i urealnić, z kilku może nawet zrezygnować. Zabiegała o pomoc w różnych agendach i fundacjach. Zwraçała się do organizacji żydowskich w Polsce i poza jej granicami.

— Na imprezy robione w Polsce Żydzi pieniędzy dawać nie chcą — tłumaczy. — Na jakieś solidne wsparcie z ich strony nie ma co liczyć. Gdybym taką samą rzecz robiła w Izraelu, zebrałabym krocie. Poza tym, ci wielcy, patrzyli dotąd na moje poczynania nieufnie. Nie wierzyli, że mi się uda.

W tym roku sytuacja finansowa trochę się poprawiła. Towarzystwo otrzymało od osób prywatnych kilkusetzłotowe sumy. Są także deklaracje na przelewy poważniejszych kwot. Ta zmiana w myśleniu po tamtej, żydowskiej stronie, jest według Małgorzaty Rubel, również znakiem nowego czasu.

— Pytają mnie często o sens tego, co robię — mówi Rubel. — Wtedy przyprowadzam ich tutaj — prowadzi do gabloty, która stoi w rogu pomieszczenia — i pokazuję im tamtą kartkę — wskazuje palcem umieszczoną w gablocie za szybą pożąłkłą kartkę z kalendarza, chwilę milczy, a potem czyta: — Piąty styczeń tysiąc dziewięćset trzydzięści, czwartek, święto rzymskokatolickie - Telesfora. Grekokatolickie - Makarego. Mojżeszowe - czternasty, Tebet. To jest właśnie znak minionego czasu i moja, na ich pytanie, odpowiedź.

## Ludzie wolnego wyboru

Staszek Kryciński jest dzisiaj jakiś nieswój. Mówi, że to zmęczenie. Dziwne. Chłop jak dąb. Natura nie poskąpiła mu postury, obdarowała wszystkim w nadmiarze, a tutaj taka wymówka. Marta twierdzi, że jej mąż w ten sposób od-reagowuje stres. Właśnie zakończył się prowadzony przez niego kolejny obóz w ramach akcji „Nadsanie”.

Zlokalizowany w Bandrowie, podustrzyckiej wsi przy granicy z Ukrainą, kończy tegoroczny plan prac przy renowacji bieszczadzkiej nekropolii. Większość uczestników już wyjechała. Ucichła codzienna obozowa krzątanina. Miejsce opustoszało, posmutniało. Nastrój udzielił się Staszce i stąd to jego zachowanie.

Tegoroczny obóz Marta Krycińska uważa za udany. W ciągu dwóch tygodni uporządkowali cmentarze w Krywem, Tworylnem, Hulskim, Zatwarnicy, Jałowem, Moczarach i Bandrowie. Do tego trzeba doliczyć jeszcze kilka odrestaurowanych przydrożnych kapliczek, figurek i krzyży.

— Zjechali ludzie z Rzeszowa, Gliwic, Radomia, Łodzi, Sędziszowa, Hajnówki, Białegostoku — wylicza Kryciński. — Właściwie z całej Polski.

W tegorocznej akcji „Nadsanie 93” brało udział 40 osób. Ludzie w większości młodzi. Niewielu z nich przekroczyło trzydziestkę. Byli studenci i absolwenci wyższych uczelni ze specjalistycznym wykształceniem, od historyków sztuki po konserwatorów zabytków. Byli inżynierowie, chemicy, psychologowie, sławiści i romaniści, studenci z ASP i Akademii Teologii Katolickiej. Słowem, intelektualna elita.

— Taki stan rzeczy utrzymuje się od 1988 roku, czyli od drugiego obozu — podkreśla Kryciński. — Przyjeżdżają z własnej woli. Los tak zrząda, siła wyższa, przypadek? Nieważne. W każdym razie ja w ten układ nie ingerowałem.

— Tutaj działają tajemne siły kosmosu. W środku układu wiruje Staś, jego twórca, a wokół niego krążymy po swoich orbitach my — mówi Marian Ogrodnik, inżynier konstruktor, brzozowianin mieszkający od lat w Wągrowcu.

Marian, rówieśnik Staszka, należy do grona najstarszych uczestników akcji.

Kadrę obozu tworzą ludzie związani z akcją od chwili jej zaistnienia. Oprócz już wymienionych, należą do niej Monika i Piotr Szewcowie, Jacek Bruski, Katarzyna Bromirska, Szymon Modrzejewski.

— Lista jest długa — mówi Marta. — Od 1987 roku do dzisiaj we wszystkich obozach uczestniczyło ponad 200 osób.

— Plon siedmioletniej działalności „Nadsania” przedstawia się imponująco. Trzydzieści zinwentaryzowanych i odnowionych cmentarzy bieszczadzkich. Trzydzieści nekropoli zapomnianych przez cywilizację, zdewastowanych przez czas i ludzką bezmyślność, przywróconych zostało do istnienia stając się integralnym elementem bieszczadzkiego krajobrazu. Do tego należy doliczyć także kilkadziesiąt przydrożnych kapliczek, figurek i krzyży.

— Nie można pozwolić, żeby historia tej ziemi została wymazana z ludzkiej pamięci, zarosła zapomnieniem jak te przysłowiowe nagrobki pokrzywą i łopianem — tłumaczy Kryciński.

Swoje znaczenie ma również aspekt moralny i społeczny. Stosunek miejscowych, według Krycińskiego, jest generalnie pozytywny. Jednak po chwili wahania przyznaje, że w rzeczywistości oznacza ich obojętność lub neutralność.

Zdarzają się pojedyncze przypadki zainteresowania, czasem pomocy. Tak było w Bandrowie, Michniowcu i Bystrem. Ludzka życzliwość i zrozumienie chodzi tutaj krętymi ścieżkami. Żeby pozyskać mieszkańców dla sprawy, trzeba czasu i cierpliwości.

Są sytuacje krzepiące. W kilku wsiach o odnowione przez grupę Krycińskiego obiekty mieszkańcy dbają jak o swoją własność.

— Serce rośnie, ilekroć jadąc samochodem, widzę przydrożną figurkę otoczoną płótkiem i kwiatami — wyznaje z satysfakcją. — To dowodzi, że symptomatyczna niegdyś dla tych stron zasada: po nas choćby potop, schodzi ze sceny życia.

Najwięcej radości i zadowolenia przynosi Krycińskiemu współpraca z Bieszczadzkiem Parkiem Narodowym. Szczególnie mocno podkreśla rolę i zaangażowanie Antoniego Derwicha i Wojomira Wojciechowskiego.

— Jak park dba na swoim terenie o nekropolie wystarczy przykład cmentarza w Berehach Górnych — mówi Staszek. — Te w Siankach, Beniowej czy Wołosatem nie odstają od normy.

O Staszku Krycińskim mówią, że tknięty został iskrą bożą. Warszawiak z pochodzenia, chemik z wykształcenia, z powołania historyk, etnograf, publicysta i wydawca w jednej osobie, na dodatek zakochany od dziecka w górach. W czasach studenckich przemierzał z plecakiem wzdłuż i wszerz polskie Karpaty.

Sama turystyka przestała mu z czasem wystarczać. Intrygowała go historia. Odkrywał zapomniane cmentarze, małe obiekty sakralne, przeprowadzał wywiady z żyjącymi świadkami przeszłości, zapisywał, fotografował. Tak powstało pokaźne archiwum. Potem brał udział w akcji „Opis” prowadzonej w Beskidach i na Roztoczu przez warszawskie koło Przewodników Beskidzkich. Aktywnie działał w Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej założonej przez dr Martyniuka.

Na początku lat osiemdziesiątych natknął się przypadkowo na mapę bieszczadzkich cmentarzy. Rok później zainicjował w Bieszczadach akcję podobną w swoich założeniach do „Opisu.”

W latach 1980–1986 zorganizował sześć kolejnych obozów inwentaryzacyjnych. Prowadzone działania były typowe: penetracja terenu, znakowanie, opisy, wywiady, dokumentacja fotograficzna.

W 1987 roku ruszyła właściwa akcja „Nadsanie”. Pierwszy obóz w Michniowcu nie należał do udanych. Obliczony był na 20 osób, a stawilo się 57. Ludzie z naboru, często przypadkowi, liczne kłopoty natury organizacyjnej i finansowej, a pomimo tego zrekonstruowano ponad 20 nagrobków i 12 figurek przydrożnych. Doświadczenia pozwoliły uniknąć podobnych kłopotów i trudności w latach następnych, chociaż do dzisiaj nie udało się przełamać bariery finansowej.

— Codziennie jestem bombardowany w listach pytaniami, co z obozem — zwierza się Kryciński — i co roku odpowiadam w ten sam sposób. Pieniądzy nie ma. Jak chcecie, to przyjeżdżajcie.

No i przyjeżdżają. Na tegoroczny obóz uzyskał 30 milionów<sup>1</sup> złotych z Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Pozostałe koszty każdy z uczestników pokrył ze środków własnych. Działalnością „Nadsania”, pomimo wielokrotnie podejmowanych prób, nie udało się zainteresować instytucji, fundacji kulturalnych, biznesu.

— Jesteśmy organizacją żebraczą, ale dla mnie nie ma to znaczenia. Będę ciągnął tę ideę dopóki się da — stwierdza stanowczo.

— Do końca świata — podpowiada Marian.

— Mojego końca — mówi Staszek i natychmiast poprawia się. — Naszego końca.

— Mieszkali u mnie w domu i w namiotach na podwórku. To bardzo mili, uczynni i życzliwi ludzie — twierdzi o uczestnikach tegorocznego obozu mieszkanka Bandrowa, Zofia Stengert. O ich dokonaniach wyraża się z uznaniem.

Podobnego zdania są jej sąsiedzi.

---

1   obecnie 3 tys.

— Tyle razy przechodziłam obok ukraińskiego cmentarza i figurek, a jakbym ich nie widziała, choć były tam od zawsze — mówi sąsiadka Stengertowej. — Każdy ma oczy, ale nie zawsze widzi. Patrzenia człowiek uczy się całe życie.

— Zaopatrywali się u mnie codziennie. Nie wybrzydza-  
li. Liczyli się z każdą złotówką. Co u mnie można kupić?  
Wystarczy spojrzeć na półki. Podstawowe artykuły. Żad-  
nych luksusów. Ludziom we wsi się nie przelewa. Tym  
z obozu, podobnie — mówi ekspedientka z miejscowego  
sklepu.

Kobieta przed sklepem mówi, że widywała ich przy pra-  
cy na ewangelickim cmentarzu. Tak tyko, przy okazji, kie-  
dy szła w pole, albo pędziła z pastwiska krowy. Docenia to,  
co zrobili w Bandrowie. Uważa ich pracę za potrzebną.  
Gdyby było inaczej, to by przecież tego nie robili.

— Ja tam nie mam czasu na fanaberie. Jest lato, roboty  
w polu tyle, że nie ma nawet kiedy pogadać z sąsiadami —  
mówi czekający na przystanku PKS na autobus mężczyzna.

Słyszał od ludzi, że mieszkający na drugim końcu wsi  
Armata jeździł swoim ciągnikiem, pomagał ustawiać figurę,  
dawał im cement, więc najlepiej o te sprawy pytać samego  
Armate. Jego to ani grzeje, ani ziębi. Dzisiaj każdy ma wol-  
ny wybór i może robić, co zechce.

## Świątynia dwóch narodów

Cerkiew w Leszczowatam ma burzliwą przeszłość. Przetwała do naszych czasów dzięki Kapustyńskim oraz bydgoszczaninowi, żołnierzowi WOP<sup>1</sup>, Janowi Olejnikowi.

W okresie międzywojennym Leszczowate zamieszkiwali Bojkowie, Ukraińcy, Polacy i trzy rodziny żydowskie utrzymujące się z rolnictwa. Wieś należała do Krasieńskich. Jeden z protoplastów rodu brał udział w powstaniu styczniowym i to prawdopodobnie on sfinansował budowę świątyni. Ponieważ ludność Leszczowatego była w większości wyznania grekokatolickiego, postawiono cerkiew unicką. W nabożeństwach, według oficjalnych przekazów, uczestniczyli prawie wszyscy mieszkańcy wioski bez względu na narodową przynależność. Modlili się w niej także Krasieńscy. Ich dwór znajdował się kilkaset kroków od świątyni. W ostatnich latach dziewiętnastego wieku przyłączono do parafii nieistniejącą dzisiaj Wolę Maćkową. Ponieważ cerkiew nie była w stanie pomieścić w trakcie nabożeństw wszystkich wiernych, zaczęto snuć plany budowy nowej świątyni, większej od obecnej, okazalszej, z wystrojem, który budziłby zazdrość okolicznych parafii.

Budowa nowej cerkwi ruszyła w 1922 roku. Prace przy niej zakończone zostały cztery lata później. Na zachowanych pamiątkowych tablicach widnieją nazwiska parafian, którzy budowę cerkwi sponsorowali. Są wśród nich nazwiska ukraińskie, rusnackie, polskie – także Kapustyńskich – nie brakuje również nazwisk niemieckich. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ wielu żołnierzy austriackich, po zakończeniu I wojny światowej, ożeniło się i osiadło w Leszczowatam, jak też w jego najbliższej okolicy.

---

1 Wojska Ochrony Pogranicza



— To sąsiedztwo zaświadcza, że zgodne współzycie ludzi różnych narodowości i wyznań nie jest czymś wymyślnym, lecz faktem — mówi Jan Olejnik. — Zaś niewątpliwym ewenementem był sposób budowy nowej świątyni. Otóż postanowiono wznosić ją nad tą, która już istniała. Tak więc przez cztery lata w starej cerkwi, mniejszej, modlili się wierni, zaś na zewnątrz pracowali cieśle wznosząc nową większą świątynię.

Po zakończeniu prac ciesielskich i dekarских sprowadzono do Leszczowatego malarza. Wyglądzone i zagruntowane ściany jodłowe pokryte zostały motywami biblijnymi. Malowidła utrzymane w konwencji bizantyjskiej sąsiadowały z obrazami charakterystycznymi dla kultury rzymskiej. Podtrzymujące chór kolumny, małe portale, podesty i schody sprawiały wrażenie, jakby wykonane zostały z prawdziwego marmuru i alabastru.

To pomieszanie stylów, konwencji malarskich i religijnych motywów przeczy głośzonym poglądom o panującej wśród mieszkańców Leszczowatego niechęci i nienawiści. Dla nich taki właśnie wystrój ich świątyni był czymś bardzo oczywistym. Odmienne kultury, inne tradycje, różne wiary, ale Bóg jeden.

Nestorka rodu Kapustyńskich, naoczny świadek tamtych czasów utrzymuje, że mieszkańcy Leszczowatego nie nazywali swojej świątyni cerkwią. Na nabożeństwa odprawiane w języku ruskim szło się do kościoła, mówi. Denerwuje się i oburza, kiedy nazywają ją Ukrainką.

— Ja Rusinka — sprzeciwia się podkreślając z naciskiem swoją odrębność.

Zbliżająca się II wojna światowa, późniejszy upadek Rzeczpospolitej, okupacja niemiecka, następnie sowiecka, a potem znowu niemiecka uświadomiły mieszkańcom Leszczowatego dzielące ich różnice narodowościowe i religijne. Niemcy, w kilka tygodni po wkroczeniu do Leszczowatego, wywieźli Żydów. Kilka miesięcy później, po ustaleniu gra-

nicy pomiędzy Rzeszą Niemiecką a Związkiem Radzieckim, Sowietci wywieźli na wschód Polaków. W Leszczowatam zostali Ukraińcy, Rusini i rodziny mieszane.

Nastały czasy nieufności, podejrzliwości, strachu o siebie i swoich najbliższych. Pojawiły się uzbrojone oddziały. Różne mundury, różne języki – tylko broń taka sama.

— Trudno było zwyczajnemu człowiekowi połapać się w tym wszystkim — mówi Kapustyńska. — Zasada, którą kierowali się zbrojni, była jedna. Kto nie z nami, ten wróg. Wyznacznikiem podziału na naszych i obcych stał się język i wyznanie, choć z tym też bywało różnie, bo zdarzało się, i to nierzadko, że swój swojemu też nie odpuścił.

W 1944 roku front przetoczył się na zachód. Wydawało się, że wraz z nim odeszło najgorsze. Okazało się jednak, że najgorsze miało dopiero nadejść i to z dwóch stron równocześnie – ze Wschodu i z Zachodu. Śmierć, ogień i wysiedlanie zamieniły te tereny w pustkowia. Najpierw przymusowe wysiedlenie przez Sowietów na Wschód mieszkających w pasie przygranicznym, potem akcja „Wisła”, a po niej wywózka na tzw. Ziemię Odzyskaną.

Wysiedlani na Ukrainę zabierali z wielopokoleniowego dorobku to, co zdołali zmieścić na wozie. Nie zapomnieli o świątyni. Zabrali całe jej wyposażenie.

Kilka miesięcy później na placówce WOP w Olszanicy zaczął żołnierską służbę łącznościowiec 33 baonu, Jan Olejnik.

— Wszystko co najgorsze, najbardziej nieludzie, zezwierzęcone, już się tutaj odbyło — wspomina Olejnik. — Nie brałem w tym udziału i za to dziękuję Bogu. Gdybym brał, nie wiem, jakbym dzisiaj poradził sobie z własnym sumieniem, jakbym spojrzął ludziom w oczy.

Przez Leszczowatę przebiegała radziecka granica. Po wschodniej stronie, sowieckiej, puste domy, dwór Krasińskich, murowana szkoła, cerkiew. Po zachodniej, polskiej, podobny obraz pustki i bezludzia. W tej części wsi pozosta-

ły trzy rodziny. Wśród nich Kapustyńscy, którzy mieli dwóch dorastających synów i cztery córki. Jedną z nich, Zofię, los skojarzył z Janem Olejnikiem. Wkrótce została jego żoną.

— Dziwnie układa się życie — mówi Olejnik. — Mój ojciec był Polakiem, matka Niemką, a odmówiła na gestapo podpisania listy twierdząc, że jest Wielkopolanką. Teść Polak, teściowa Rusinka, żona Ukrainka. Żeby było jeszcze dziwniej, uczęszczała na nabożeństwa w obrządku rzymsko-katolickim.

W 1948 roku nastąpiło przesunięcie granicy z Leszczowatego kilka kilometrów na wschód. Placówkę WOP-u przeniesiono do Kwaszeniny. Leszczowate znalazło się w całości po polskiej stronie.

— Wieś wywierała przygnębiające wrażenie — opowiada Olejnik. — Jeszcze niedawno ludna i gwarna zamieniła się w pustkowie. Bo cóż znaczyły te trzy zamieszkane zagrody wobec 360 opuszczonych.

33 Samodzielnym Batalionem WOP-u dowodził Rosjanin, major Wlazłow. Rosjanami byli także pozostali wyżsi oficerowie, lekarze, informacja i politrucy. Polakami byli szeregowcy, podoficerowie i oficerowie niższego stopnia, wśród nich porucznik, dzięki któremu cerkiew w Leszczowatem uniknęła w 1948 roku zagłady. Wlazłow kazał ją zebrać. Materiał z rozbiórki miał być wykorzystany do budowy wojskowych magazynów w Kwaszeninie. Żołnierze nie chcieli przykładać ręki do świętokractwa. Był tylko jeden sposób na uratowanie świątyni – musiały się w niej odbywać nabożeństwa. Porucznik spotkał się z Kapustyńskim, przyszłym teściem Jana Olejnika. Jeszcze tego samego dnia Kapustyński udał się do Ropienki, do ks. Foly. Dwa dni później nieliczni wierni z Leszczowatego, wsparci przez mieszkańców okolicznych miejscowości, zbrali się w cerkwi na pierwszym nabożeństwie odprawianym w obrządku rzymskim.

Świątynia ocalała, wieś jednak zagłady nie uniknęła. Domy ograbiono, rozebrano, zniszczono lub spalono.

— Udział w tym mieli wszyscy — mówi Olejnik. — Wojsko, nasza milicja, bezpieczeństwa, również cywilna ludność.

Leszczowate zniknęło z powierzchni ziemi w niespełna trzy lata, a jego okolice zmieniły się w pustkowia.

Po zakończeniu służby wojskowej Jan Olejnik wyjechał z żoną do Wrocławia. Czternaście lat pracował na różnych budowach. Odłożył trochę pieniędzy na własny dom. Zamierzał budować się pod Wrocławiem, lecz jego żonę ciągnęło w rodzinne strony.

Do Leszczowatego wrócili w 1964 roku. Olejnik zatrudnił się w Kopalnictwie Nafty i Gazu w Ustrzykach Dolnych. W maju sześćdziesiątego czwartego roku zaczął budować w Leszczowatem dom. Dogadał się ze szwagrem, Michałem Wójciszynem i w ciągu roku postawili dwurodzinny, murowany dom, o jakim we Wrocławiu Olejnik mógł jedynie pomarzyć.

Do 1986 roku, kiedy przeszedł na emeryturę, czas dzielił między rodzinę, pracę w zakładzie i ratowanie cerkwi. Obecnie zajmuje się tylko nią.

— To u nas jest chyba rodzinne — zwierza się. — Mój ojciec zmarł przy budowie kościoła Świętego Ducha we Wrocławiu. Ja swoje życie zakończę najpewniej podobnie, tyle tylko, że przy nieustającym remoncie i wiecznych naprawach cerkiewki w Leszczowatem, świątyni dwóch narodów. Mówię dwóch, a przecież modliło się w niej w czasach monarchii Austro-Węgierskiej co najmniej cztery, no i niewiele mniej w okresie drugiej Rzeczypospolitej.

W br. roku Jan Olejnik otrzymał od wojewódzkiego konserwatora zabytków zaproszenie na uroczystą sesję. Miał na niej dostać odznaczenie i dyplom. Nie pojechał.

— Po pierwsze, nie to zdrowie — tłumaczy. — A po drugie, nie robiłem tego i nie robię dla uznania ze strony

władzy, lecz dla siebie jako katolika i dla pamięci tych, którzy tą świątynię zbudowali i chwalili w niej Boga.

W ostatnich latach do Leszczowatego przyjeżdża wielu ludzi. Jedni z czystej ciekawości, inni z potrzeby ducha, jeszcze inni dlatego, ponieważ te strony są ich miejscem urodzenia, lub ich rodziców.

— W maju przyjechał stary człowiek — opowiada Olejnik. — Taki załężniony, cichy, skromny. Kiedy ujrzał z drogi cerkiewkę, padł na kolana i modląc się, szedł do niej na klęczkach. Wtedy, patrząc na niego, utwierdziłem się jeszcze mocniej w przekonaniu, że nie jest ważne w jakim języku człowiek modli się do Boga, ponieważ Bóg jest jeden. Nasz, wspólny, niepodzielny.

## Miała matka czterech synów

Był czas, kiedy Wierzbiccy z Cisnej stanowili temat tabu. Okazjonalnie i zawsze dość enigmatycznie, mówiło się o Adolfie, więźniu Oświęcimia. Istnienie Ludwika, Władysława i Jana pomijano milczeniem. Tak było bezpieczniej dla historii, którą w PRL tworzyła na swój użytek propaganda socjalistyczna. Ówczesna linia polityczna rolę bohaterów narodowych wyznaczyła tym, którzy marsz do Polski zaczęli pod Lenino, a zakończyli na przedpolach Berlina. Ci, których los prowadził do ojczyzny innymi drogami, uznania w oczach ówczesnej władzy nie znaleźli.

— To były dziwaczne czasy — mówi Jan Wierzbicki. — Walczyliśmy o Polskę, a potem, w tej Polsce, nie dawano nam żyć.

Historia rodziny Wierzbickich sięga połowy dziewiętnastego wieku. Pochodzą z Ojcowa. Dziadek Jana Wierzbickiego uciekł w latach siedemdziesiątych XIX wieku do Cisnej, żeby uniknąć poboru do armii austriackiej. Tutaj założył rodzinę i podjął pracę w hucie Fredrów. Jakie były dalsze losy protoplasty, Jan Wierzbicki powiedzieć nie potrafi. Jego ojciec zmarł wcześniej, a on sam był za młody, żeby wypytywać rodziców o takie sprawy. Niewiele też utkwiło mu w pamięci z dzieciństwa. Szkoła, przyjaźnie z rówieśnikami Ukraińcami i Polakami, to była zwyczajna codzienność, która szybko idzie w zapomnienie. Potem przyszła beztroska kawalerka wypełniona przelotnymi znajomościami, wiejskimi zabawami, pracą na roli i w lesie. Żył tą codziennością podobnie jak Adolf i Władysław. Najstarszy z braci, Ludwik, był już żonaty, prowadził w Cisnej sklep masarski i wiódł żywot poważanego obywatela.

W 1932 roku Jana powołano do zasadniczej służby wojskowej w Stanisławowie. Po dwóch latach wrócił do rodzinnego domu i otrzymał przydział do II Pułku Podhalań-

skiego w Sanoku, w którym odbywał okresowe ćwiczenia. Wybuch wojny nie był dla niego zaskoczeniem. O zbliżającym się konflikcie z Niemcami mówiło się od miesięcy. Kampanię wrześniową zakończył pod Frampolem. Nikt, nawet w najczarniejszym scenariuszu, nie przewidział takiej sytuacji. Przed nimi Niemcy, a za plecami Rosjanie. Dowódca kompanii odczytał przed frontem oddziału rozkaz o rozformowaniu jednostki. Żołnierze na własną rękę mieli się przedostać do swoich miejsc zamieszkania. Zalecono im unikanie spotkań z Niemcami, Rosjanami i Ukraińcami. Po dwóch tygodniach przedzierania się lasami Jan Wierzbicki dotarł do Cisnej.

Pierwsze miesiące nowej, okupacyjnej rzeczywistości minęły względnie spokojnie. Po ustanowieniu przez Niemców swojej administracji zaczęły się aresztowania i wywózki do obozów lub na przymusowe roboty. W styczniu 1940 roku policja aresztowała siedemnastu mężczyzn, wśród nich trzech braci Wierzbickich. Władysław uniknął aresztowania, przedarł się przez zieloną granicę i przez Użhorod dotarł do Budapesztu. Tam ręce gestapo już nie sięgały.

Po przesłuchaniach kilku z aresztowanych ciśnian wypuszczono a wraz z nimi dwóch braci Wierzbickich. Za Ludwika poręczył ukraiński duchowny. Ponadto, jako masarz, potrzebny był Niemcom. Za Jana poręczył nowy wójt gminy, folksdojcz. Zwolnieniu sprzeciwił się inny z urzędników: „*Mieliście w rękach bandytę i wypuściliście go!*” – grzmiał rozwścieczony. Przyszli po Jana Wierzbickiego późnym popołudniem. Poznał ich z daleka. Ósmym zmysłem wyczuł ich zamiary. Wyskoczył z domu przez okno i w las. Od Niemców dzieliło go nie więcej niż 200 metrów. Uratowała go zadyмка. Wiał silny wiatr, padał gęsty śnieg.

Kilka dni ukrywał go znajomy Ukraińiec. Inny zaopatrzył go w żywność, narty, plecak i powiadomił o jego ucieczce matkę. Szczęście dopisywało mu do końca. Kiedy

dotarł do polskiego konsulatu w Użhorodzie, tam już wiedzieli i o nim, i o tym, co wydarzyło się w Cisnej.

Bezczynność i niepokój o najbliższych sprawiły, że Jan Wierzbicki zgodził się zostać kurierem. Obsługiwał trasę przerzutu Cisna – Użhorod przez Ruskie, Polanę, Starynę, Stawczyn, Berezne. Przenosił konspiracyjną pocztę, rozkazy i pieniądze dla polskich organizacji podziemnych. Nie było to zadanie łatwe. Miejscowi dobrze go znali, teren obserwowany był bacznie przez Niemców i współpracujących z nimi Ukraińców. W każdej chwili groziła mu wpadka. Ze względu na bezpieczeństwo organizacji i pozostawionej w Cisnej rodziny zmuszony był zrezygnować z powierzonego mu zadania. Jednak jego najbliżsi aresztowania nie uniknęli. Matkę Niemcy wypuścili po dwóch tygodniach. Brat Albert znalazł się w Oświęcimiu.

Jan postanowił przedostać się do polskiego wojska na Środkowym Wschodzie. Miał informacje, że jego brat, Władysław, jest już w armii gen. Andersa. Przekroczenie granicy węgiersko-jugosłowiańskiej nie udało się. Zatrzymany został przez węgierską żandarmerię razem z trzydziestoma innymi osobami. Wyrok: 3 miesiące ciężkich robót w kamieniołomach pod Szekesthwarem. Po kilku dniach uciekł z obozu z trzema Polakami współwięźniami. Do Budapesztu dotarł z Józkiem Michalskim, byłym członkiem osobistej ochrony ministra Becka.

Mieli pecha. Ambasada polska kilkanaście dni wcześniej została zlikwidowana. Poszli do amerykańskiej.

— Mój plan był prosty — opowiada Jan Wierzbicki. — Znałem szczegółowo losy wielu rodzin, które przed pierwszą wojną światową wróciły do Cisnej z Ameryki. Zdarzyło się, że powróciła ze Stanów kobieta z dwuletnim, urodzonym tam, synkiem. Jej mąż miał wrócić później, ale nie wrócił. Znalazł sobie kochankę i pracował nadal na „majnach”. Opowiedziałem tę historię w ambasadzie ze szczegółami, podając się za syna owej kobiety.



Uwierzyli mu, czy też nie, to nie miało już znaczenia. Najważniejsze, że dali mu pieniądze i wystawili dokumenty do których nie miał prawa przyczepić się najbardziej nawet wścibski żandarm. Od tej pory Jan Wierzbicki był Janem Rzeżychą, obywatelem amerykańskim polskiego pochodzenia.

Na Bliskim Wschodzie organizowała się Brygada Strzelców Karpackich gen. Kopańskiego. Po wielu perypetiach, szlakiem przerzutu przez Jugosławię, Grecję i Turcję, Jan Wierzbicki dotarł do Emaus, miejsca organizowania brygady. Po przeszkoleniu, żołnierzy brygady przewieziono do Aleksandrii, a po zapoznaniu ich z nowym sprzętem i przeszkoleniu bojowym przetransportowano statkami pod Tobruk. Układało się Janowi Wierzbickiemu różnie. Były chwile radosne, jak spotkanie z bratem Władysławem. Były i inne. Trudne. Dramatyczne. Znaczone śmiercią nowych przyjaciół. Również takie, o których nawet teraz, po tylu przecież latach, nie mówi się łatwo. Pod Meduar został ciężko ranny.

— To był najgorszy odcinek frontu — wspomina. — Niemcy na wzniesieniu, a niżej, w dolinie, o sto dwadzieścia jardów od ich stanowisk, my. Mieli nas jak na patelni.

Ocknął się w szpitalu. Męczony piekielnym pragnieniem domagał się wody. Sanitariusz spojrzał pytająco na lekarza. Ten powiedział: „*Daj mu. Jemu już nic nie może zaszkodzić.*” Dwanaście dni leżał nieprzytomny na „sali śmierci”. Potem były trzy miesiące szpitala w Aleksandrii pod troskliwą opieką polskich lekarzy i następne trzy w Suezie na rekonwalescencji. Chociaż po zakończeniu leczenia otrzymał kategorię zdrowia D, nie opuścił brygady. Wrócił do niej i przeszedł z nią całą kampanię włoską. Po jej zakończeniu znalazł się w Anglii i tutaj został zdemobilizowany.

Miał takie same wątpliwości, jak tysiące innych Polaków na Zachodzie – zostać, czy też wracać do kraju? Sygnały o aresztowaniach żołnierzy powracających do ojczy-

zny, o procesach, wywózkach na „białe niedźwiedzie” nie były wymysłem zachodniej propagandy. Kiedy gen. Żarecki wyjechał do Polski, również Jan Wierzbicki postanowił wracać. Jeżeli generał się nie boi, to czego mam się obawiać ja, zwykły żołnierz, myślał.

W czerwcowy upalny dzień 1947 roku wysiadł z pociągu na stacji PKP w Sanoku. Radość z powrotu do rodzinnej Cisnej była wielka. Z pożogi wojennej ocalała cała jego rodzina.

— Z Oświęcimia wrócił Adolf, z Zachodu Władek, na miejscu był Ludwik i nasza mama — mówi Jan Wierzbicki. — Więc czego trzeba człowiekowi do szczęścia po tak tragicznych doświadczeniach jak nasze? Tylko spokojnego życia.

Tego jednak nie było im dane zaznać. Władysław i Jan musieli co trzy dni stawać przed obliczem szefa leskiego UB, Sieczkowskiego. W latach pięćdziesiątych Wierzbiccycy dwukrotnie otrzymywali nakaz opuszczenia Cisnej. Że do niego nie doszło, zawdzięczają to oświęcimskiej przeszłości Adolfa. Trudno bowiem byłoby wytłumaczyć opinii publicznej, co nowa i demokratyczna władza, za jaką chciała uchodzić, ma do zarzucenia człowiekowi, który przetrwał niemiecki obóz koncentracyjny.

— Od decyzji odstąpiono, lecz szykany, straszenie, utrudnianie życia na każdym kroku nie ustało tak od zaraz — opowiada Jan Wierzbicki. — Władek tego nie wytrzymał i wyjechał do Miechowa. Ja się zawniłem i na przekór wszystkiemu zostałem w Cisnej. Kilka lat po wyjeździe Władka, na gruźlicę zmarł Adolf. Po nim odeszła na tamten świat nasza mama, a po mamie najstarszy z całej czwórki, Ludwik. I tak, chociaż mama miała nas czterech, w Cisnej zostałem tylko ja.

## Żeby czasem nas wspomnieli

Andrzej Strzelecki nie czuje się dzisiaj najlepiej. Krąży po pokoju. Podchodzi do okna, patrzy na pusty plac między blokami. Widok wiosennego popołudnia za oknem nie przynosi mu ulgi, nie uspokaja go. Wręcz przeciwnie. Drażni go i niepokoi. Malowanie też mu nie idzie, choć światło jest dobre i ńęci zaczęty wczoraj, rozświetlony słońcem, bieszczadzki pejzaż z cerkiewką w tle. Nic z tego. Strzelecki nie potrafi dzisiaj skupić się na malowaniu. Dzisiaj mu nie idzie. Dzisiaj zawładnęła nim przeszłość.

Kiedy wczesnym rankiem złocił ochrą kopułkę bieszczadzkiej cerkiewki na swoim obrazie, zjawiała się Marcela z Maceraty. Ot, taki błysk. Świetlny refleks, który pojawia się nagle, na chwilę, i tak samo nagle znika. Ale tym razem postać uśmiechniętej dziewczyny z małego miasteczka w środkowych Włoszech nie zniknęła. Co więcej, przywołała z zapomnienia upalne lato 1944 roku.

— I wojnę, i nasze poznanie się przez przypadek, i zauroczenie, i miłość — wylicza Strzelecki. — Bo naszym życiem, proszę pana, rządzą przypadki — dodaje.

W czasie kampanii włoskiej Andrzej Strzelecki służył w II Korpusie gen. Andersa. Był artylerzystą. Korpus w ciężkich walkach parł przez środkowe Włochy na północ. Latem walczył o Maceratę.

— Mieszkańcy siedzieli po piwnicach, bo na zewnątrz było piekło — wspomina. — Szedłem do natarcia z piechotą jako obserwator kierujący ogniem artyleryjskim. Posuwaliśmy się wzdłuż ściany dużej willi. Kiedy ściana się skończyła, musieliśmy jednym skokiem pokonać ulicę, która była pod ostrym ostrzałem. Stałem pod tą ścianą. Noga do przodu, wielki, porażający strach i noga do tyłu.

Ten wysuwany i cofany żołnierski but obserwowała przez piwniczne okienko Marcela. Kiedy walki w miastecz-

ku ustały, odnalazła Andrzeja Strzeleckiego. Poznali się dzięki temu właśnie wahającemu się żołnierskiemu butowi.

— No i niech pan teraz powie, że to nie był przypadek.

— Był.

Wspomnienia z przeszłości nawiedzają ostatnio Strzeleckiego bardzo często. Właściwie nie ma dnia, żeby o niej nie myślał, szczególnie tej przedwojennej. Dla niego najszczęśliwszej. Dzieciństwo i lata młodości spędził w Samborze. Tam kończył gimnazjum, zdawał maturę. Tam zastała go wojna, wkroczenie Niemców, a później Sowieców. Tam wreszcie zaczął się jego życiowy exodus rozpoczęty ucieczką do polskiego wojska na Zachodzie.

— Sambor śni mi się po nocach. Ale Sambor przedwojenny, szczęśliwy — podkreśla z naciskiem, jakby w ten właśnie sposób rozdzielał epokę minioną od obecnej, o której nie chce opowiadać, ani tym bardziej jej rozpamiętywać.

Gdyby chciał zobaczyć swój Sambor, poszedłby na stację, kupił bilet, wszedł do pociągu i po godzinie jazdy byłby na miejscu. Sanok od Sambora dzieli 60 km i granica, z przekroczeniem której nie ma dzisiaj najmniejszych problemów. Ale Strzelecki do Sambora nie pojedzie, ponieważ Strzelecki boi się, jak ognia, konfrontacji miasta swoich wyobrażeń z miastem rzeczywistym. Dlatego o Samborze, nawet tym przedwojennym, mówi niechętnie. Woli opowiadać o ludziach, zdarzeniach, faktach. O swojej dziesięciodniowej służbie w cywilnej obronie przeciwlotniczej, o bombardowaniu miasta, o wkroczeniu Niemców, o późniejszym zajęciu Sambora przez Sowieców i ich rządach na dawnych polskich kresach.

Opowiada, jak usłyszał w radiu apel gen. Sikorskiego o tworzeniu polskiego wojska we Francji i jak podjął decyzję o przedostaniu się na Zachód. O aprobacie rodziców i kłopotach, jakie miał z nawiązaniem kontaktu z podziemnymi organizacjami. Udało się dopiero zimą 1940 roku.

Prowadził go Władek Ossowski, legendarny dzisiaj, a wówczas 14-letni kurier z Iwaszkowiec koło Turki. Ossowski obsługiwał trasę przerzutu Wilno-Lwów-Budapeszt. Przenosił dla organizacji broń, rozkazy, instrukcje, pieniądze na działalność konspiracyjną, przerzucał ludzi z terenów okupowanych na Zachód i przeszkolonych dywersantów z Zachodu na ziemie okupowane. Według udokumentowanych źródeł przeprowadził tą trasą kilkuset ludzi, którzy zasilili armię polską na Zachodzie.

— Nasza grupa zebrała się na górze Szymonka. Szliśmy z Turki przez Borynię, Komarniki, Wysoko Niżne, Wysoko Wyżne, Iwaszkowce. Pamiętam tą drogę, jakby to było wczoraj — mówi Andrzej Strzelecki.

Zima czterdziestego roku była niezwykle ostra, trzaskające mrozy, śniegi na wysokość chłopa. Trasa przerzutowa prowadziła przez dzikie, niedostępne tereny wschodnich Bieszczadów. Szczyty wysokie, niektóre dochodzą do dwóch tysięcy metrów, podejścia wyczerpujące, zjazdy karłowate. Do tego deptało im po piętach i czyhało na nich w zasadzkach sowieckie wojsko.

Na Szymonce, w chwili wyjścia, grupa liczyła dwunastu ludzi. Jeden z nich zmarł pierwszego dnia. Pięciu innych nie wytrzymało trudów trasy, tempa, zimna, łamało narty, zostawało z tyłu, zawracało lub próbowało przedzierać się dalej na własną rękę. Kim byli i co się z nimi stało, Strzelecki nie wie. Sam najpewniej podzieliłby ich los, gdyby nie Zbyszek Jarema, który na trasie zawracał po niego, podtrzymywał go na duchu w chwilach zwątpienia, zachęcał, a nierzadko zmuszał siłą do dalszego marszu. Do Budapesztu doszli w sześciu. Dzisiaj zostało ich trzech.

— Zbyszek w Kanadzie, Mietek Ziółko w Anglii, ja w Sanoku — opowiada. — Pozostali wykruszyli się, odeszli na zawsze. My też do nich doszłujemy i zostanie po nas tylko pamięć, a potem — przerywa, milczy krótką chwilę — potem i ona umrze — znowu milknie, po czym

dodaje ze smutkiem w głosie. — Jest jeszcze Władek, prawdziwy narodowy bohater, z którym los obszedł się tak okrutnie jak z nikim innym.

Z Władkiem Ossowskim rozstał się w Budapeszcie, dotarł do Francji, a po jej upadku został ewakuowany z korpusem brytyjskim do Anglii. Tam przeszedł specjalne przeszkolenie dla „cichociemnych”, miał być przerzucony do okupowanego kraju, lecz decyzję zmieniono i znalazł się w Afryce Południowej. Potem były Indie, następnie ochrona pól naftowych w Iraku, w końcu znalazł się w korpusie gen. Andersa, z którym przeszedł we Włoszech cały szlak bojowy zakończony rozformowaniem korpusu w Bolonii.

— Władek Ossowski wrócił z Budapesztu do kraju, gdzie nadal prowadził działalność konspiracyjną — wspomina Strzelecki.

Kilka miesięcy po rozstaniu z grupą Strzeleckiego, Ossowski prowadził kolejną, tym razem 40-osobową grupę z Wilna do Budapesztu. Na granicy wpadli w zasadzkę. Zdradził ich właściciel meliny, u którego zatrzymywali się przed przekroczeniem granicy.

— Sowietci dobrze wiedzieli z kim mają do czynienia — opowiada Strzelecki. — *Ej! Ossowski, job twoju mat`*, krzyczeli — *wychadi!* Potem były Butryki, więzienie śledcze, sąd i dwadzieścia lat łagrow.

Po odbyciu wyroku i wyjściu z obozu zmuszono Ossowskiego do przyjęcia sowieckiego obywatelstwa. Zabroniono mu, pod karą więzienia, opuszczania Związku Radzieckiego. Został, bo musiał. Ożenił się z Rosjanką, pracował jako leśnik na Syberii, ale o Polsce nie zapomniał. Kiedy nastąpiła „pierestrojka”, zgłosił się do polskiego konsulatu w Uzbekistanie. Do kraju przyjechał w dziewięćdziesiątym roku. Rok później ściągnął swoich najbliższych.

— Nasze władze obiecały mu złote góry, mieszkanie, pracę — opowiada Strzelecki. — Dostał Złoty Krzyż Zasłu-

gi, czterysta tysięcy starych złotych<sup>1</sup> renty i na tym się skończyło. Opuszczony, chory na cukrzycę, leży w legnickim szpitalu i umiera w zapomnieniu — mówi z goryczą.

Strzelecki wrócił do Polski, ukończył studia weterynaryjne, założył rodzinę, pracował w państwowych stadninach. Swoje życie dzielił między rodzinę, pracę zawodową, malarstwo, pracę nad monografią opisującą życie polskich żołnierzy na Zachodzie. Jego wspomnienia liczą 1100 stron maszynopisu, są bogato udokumentowane zdjęciami. Wiele z nich jest niezwykle cennych, ponieważ nie były dotąd publikowane.

— Chciałem wydać w MON-ie<sup>2</sup> — zwierza się. — Na początku nawet byli przychylni, ale potem mnie utracili. Głównym powodem ich odmowy był brak dokumentacji rozmów z żołnierzami z pola walki. Ubodli mnie tym. Przecież nie mogłem podczas natarcia ganiać między czołgami, wyciągać z nich ludzi i pytać o nastroje. Dałem sobie spokój z MON-em, wydaniem wspomnień przestałem się przejmować. Mam jeszcze swoje malowanie.

Malarstwo to pasja Strzeleckiego, sposób na życiowe przeciwności, na chandrę, smutek, na chorobę, z którą zmagają się od kilku lat bez słowa skargi. Malować zaczął wcześnie, jeszcze w czasach gimnazjalnych. Wojna malarstwu nie sprzyjała, więc je zarzucił. Po wojnie wrócił do sztalgu. W swoim dorobku ma ponad 600 pejzaży, martwych natur, portretów. W jego mieszkaniu obrazy wiszą na ścianach wszystkich pomieszczeń od podłogi po sufit. Jest ich około setki. Pozostałe rozdał, rozsiał po całym świecie. Można na nie trafić w domach jego znajomych, przyjaciół, bliższej i dalszej rodziny. Miesiąc temu spotkała go miła niespodzianka. Otrzymał od pp. Porczyńskich album z bardzo osobistą dedykacją: – „*żołnierzowi Rzeczypospolitej, mala-*

---

<sup>1</sup> obecnie 400 zł

<sup>2</sup> Ministerstwo Obrony Narodowej

*rzowi, który zachwycił nas swoimi bezpretensjonalnymi obrazami”.*

Andrzej Strzelecki ma 77 lat. Jest na emeryturze. Żyje skromnie. Za żołnierskie dokonania Rzeczpospolita uhonorowała go krzyżem *Virtuti Militarii*, 30-złotowym dodatkiem do emerytury i, o czym mówi bez złośliwości, bezpłatnym abonamentem radiowo-telewizyjnym.

— Jędrus? — sprzeciwia się żona pana Andrzeja — mnie się wydaje, że darmowe oglądanie telewizji masz z racji swojego wieku.

— Tak? — dziwi się Strzelecki zafrasowany niepomier-  
nie swoją niewiedzą. — Może tak jest, może — dodaje z wahaniem, wyraźnie zawstydzony swoją nieakuratnością, jak nazywa swój stan niewiedzy na temat tego, co mu się należy od państwa z racji jego wieku, a co z racji zasług. — Mnie nie chodzi o zasługi — tłumaczy speszony. — Żeby kłaniali się nam na ulicy, pokazywali palcami, nosili nas na rękach. Mnie chodzi jedynie o to, żeby Rzeczpospolita o nas pamiętała i ludzie czasem nas wspomnieli.



## Ja, Ukraińiec

— Jestem dumny, że należę do wolnego narodu ukraińskiego — mówi Włodzimierz Marczak. — Dumny również dlatego, że pomimo wielu przeciwności wytrzymałem w swojej narodowej wierności, że się jej nie wyrzekłem, ani nie wyparłem. Że zawsze byłem wierny zasadzie, którą wyniosłem z domu: na pierwszym miejscu człowieczeństwo, po nim naród i rodzina, którym nie wolno przynieść wstydu.

Włodzimierz Marczak ma 76 lat. Urodził się w Pakoszówce, pod Sanokiem. Jego ojciec był Ukraińcem – grekokatolikiem, matka Polką, wyznania rzymskokatolickiego. Zgodnie z panującym zwyczajem ochrzczony został w cerkwi.

— Najpierw odwoziliśmy mamę do kościoła w Strachocinie, potem szliśmy na nabożeństwo do naszej cerkwi w Lalinie — opowiada Marczak. — Taki zwyczaj obowiązywał wtedy we wszystkich rodzinach mieszanych. Tolerancja wyznaniowa i narodowa była kanonem społecznego współżycia. Tak było do połowy lat trzydziestych naszego stulecia.

Po śmierci marszałka Piłsudskiego zgodne współżycie Polaków i Ukraińców skończyło się.

— Winna temu była ówczesna polityka państwa — mówi Marczak. — A zaczęło się od zwyczajnego okazywania sobie niechęci, dzielenia ludzi na lepszych i gorszych, wyśmiewania ich inności, odmienności, obyczajów i religii.

W Pakoszówce organizowano drużynę „Strzelca”. Na zebranie założycielskie, które odbywało się w świetlicy szli Polacy, szkolni koledzy Marczaka, więc poszli z nimi również Ukraińcy. Organizatorzy zebrania kazali Polakom usiąść pod jedną ścianą, Ukraińcom pod drugą, oświadczając, że do drużyny zapiszą tych, którzy przyniosą metryki z kościoła, pozostali – won za drzwi.

— Wyszliśmy źli nie na Polaków, ale na „Strzelca”, że nas dzieli — wyjaśnia Marczak. — Oni strzelali z karabinu pod Mogiłą, my patrzyliśmy z daleka, zaciskaliśmy zęby, zazdrościliśmy im, że wyróżnieni, że lepsi od nas. Do zatarogów między nami dochodziło z byle powodu. Na zabawach nie biliśmy się już o dziewczyny, ale z pobudek politycznych. Wystarczyło, że któryś krzyknął: „*Bij hajdamaka!*”, „*Bij strilcia!*” i w ruch szły pięści, drągi, co kto miał w zasięgu ręki.

Marczak jest autorem kilku książek. Za najważniejszą pozycję w swoim dorobku uważa trzyczęściowe wspomnienia „*Ukrainiec w Polsce*”. Jest to książka wielowarstwowa – oprócz wątków biograficznych, Marczak opisuje rodziną Pakoszówkę z czasów II Rzeczypospolitej, opowiada o kulturze, obyczajach, stosunkach społecznych i narodowościowych na Podkarpaciu.

— Wychowywałem się w środowisku patriotycznym, chociaż wielu nazywało go nacjonalistycznym — wspomina. — Byłem prostym chłopakiem. Ukończyłem pięć klas i dalej uczyć się mi nie dano — mówi z wyrzutem w głosie, lecz bez cienia pretensji.

Był uzdolniony, ambitny, zawzięty. Dużo czytał. Literatura piękna, historyczna, dokumentalna – bez różnicy. Czytanie było dla niego jedynym sposobem zdobywania wiedzy, wykształcenia, równania do innych; rozwijało jego inteligencję, poszerzało myślowe horyzonty, uczyło krytycznego patrzenia na otaczający go świat.

— Brałem przykład z polskiego patriotyzmu i używałem go do prezentacji swojego, ukraińskiego, którym szczyliłem się w taki sam sposób, jak swoim szczylicili się Polacy — opowiada. — Już w czasie okupacji przekonałem naszych, że trzeba się uczyć, przyswajać sobie wiedzę, kształcić swoje dzieci, bo po wojnie liczyć się będą tylko ludzie mądrzy, że trzeba pozbyć się prostactwa i grubiaństwa, że

nienawiścią i bezmyślnym terrorem niczego się nie osiągnie.

Książki Włodzimierz Marczak wydał własnym nakładem i za swoje pieniądze.

— Dużo pomogli mi przyjaciele, Polacy — podkreśla z naciskiem — i to całkiem bezinteresownie.

Żeby tej ich bezinteresowności zadośćuczynić, podkreślić jej znaczenie, wymienia tych ludzi z imienia i nazwiska w swoich książkach, dodając, że bez ich wsparcia jego książki by się nie ukazały.

Pierwsza część wspomnień Marczaka „*Było takie życie, byli tacy ludzie*” ukazała się w 1992 roku.

— Strona polska odebrała je z zaciekawieniem — mówi autor. — Ukraińska potraktowała pochlebnie, ale nie wzbudziły one wielkiego zainteresowania, bo dla naszych ludzi to, co opisywałem, było czymś bardzo normalnym. Oni mieli podobne doświadczenia.

Powodzenie pierwszej książki zachęciło Marczaka do dalszego pisania. Marczak — mówiła do niego znajoma polonistka, Bogaczewiczowa — to kawałek porządnej literatury i ty na tym nie poprzestawaj, bo to jest dobre, ciekawe i potrzebne. W ciągu trzech lat powstały dwie kolejne części „*Ukraińca w Polsce*.” Drugi tom, „*Dole i niedole w PRL-u*”, opisuje życie Ukraińców w Polsce Ludowej od lat pięćdziesiątych do upadku komuny.

— Żyliśmy lepiej niż nasi bracia na Ukrainie radzieckiej, ale nie obyło się bez traktowania nas jako obywateli drugiej kategorii, różnych nacisków na wynaradawianie, wyrzekanie się naszej przeszłości, religii, obyczajów — twierdzi Włodzimierz Marczak. — Kiedy wróciłem z łągrów, trzydzieści siedem rodzin wyjechało do ZSRR, dwaście przeniosło swoje metryki do kościoła. A kiedy do władzy doszedł Gomułka, w Pakoszówce po Ukraińcach nie było śladu. Marczaki, Kuczmy, Dżugany, Kosary — wylicza na palcach — i kilkunastu innych spolonizowało

się, przeniosło się do miasta, wyjechało za granicę, zaś młode pokolenie było w końcowym etapie asymilacji.

Trzecią część wspomnień, „*Ocalić od zapomnienia*”, Marczak poświęcił pamięci tych, którzy już odeszli z tego świata: braciom, sąsiadom, kolegom, znajomym. Ludziom zaangażowanym w działalność polityczną i w walkę wyzwoleńczą. Opisał także najbliższą sobie kulturę ludową, podkarpacki folklor, obyczaje.

— Wątek polityczny w książce to moja odpowiedź na pisarstwo Poleszczuka, Gerharda, Edwarda Prusa i innych tego rodzaju pisarzy — tłumaczy Marczak — ponieważ oni tragedię naszych obydwu narodów z okresu wojny i pierwszych lat powojennych sprowadzają do jednego stwierdzenia: Ukraińcy różni Polaków. Bardzo mnie bolało takie uogólnienie i zrzućanie winy na cały naród.

Kiedy w czerwcu 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, Marczak pojechał jako wozak z taborem konnym na front wschodni. U boku Wehrmachtu przemierzył Ukrainę od Lwowa po Dniestr. Obraz wojennej pożogi, ludzkiego zezwierżenia utkwiał mu na zawsze w pamięci. Po latach zapisze w swoich wspomnieniach gorzką refleksję: „*Na łonie swojej wymarzonej i wyspiewanej Ukrainy odgrywałem rolę pomagiera i najeźdźcy*”.

Udało mu się uciec z frontu i po kilkutygodniowej tułaczce wrócić do rodzinnej Pakoszówki, lecz musiał się ukrywać, żeby uniknąć poboru do dywizji SS „Galizien”. Po zajęciu Podkarpacia przez Armię Czerwoną aresztowano go i wywieziono na Kaukaz. Sześć lat spędził w sowieckich łagrach Nuzala, Tamińska, Rostowa i Niziury doświadczając na sobie, czym jest komunizm.

— Porównywałem często faszyzm z bolszewizmem, zadając sobie pytanie, który z nich jest gorszy — opowiada Marczak. — I chociaż mierzyłem oba systemy równą miarą, bolszewizm uznałem za okrutniejszy, bo stosował terror wobec własnego narodu, odbierał człowiekowi duszę, zabi-

jał Boga, pozbawiał ludzi wiary w sprawiedliwość i uczciwość, a z porządnego człowieka robił łajdaka.

Do Polski Marczak wrócił 1951 roku. Kilka miesięcy później aresztowano go za udzielenie pomocy bratu Eugeniuszowi, żołnierzowi UPA.

— Po przeszkoleniu w Austrii miał podjąć działalność dywersyjną na ziemiach Ukrainy radzieckiej — mówi Marczak. — Wpadł w ręce NKWD zaraz po przekroczeniu granicy.

Eugeniusz przeszedł gehennę w sowieckich więzieniach i łagrach. Włodzimierz wyszedł na wolność na mocy amnestii z 1956 roku. Ożenił się, podjął pracę i rozpoczął normalne, na miarę tamtych czasów, życie obywatela Polski Ludowej.

Działał społecznie w swoim środowisku. Był jednym z założycieli Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego oraz inicjatorem powstania parafii prawosławnej w Sanoku, przy której pełni funkcję diaka. Poza zwyczajową służbą kościelną oprowadza po cerkwi wycieczki.

— Nie tak dawno zwiedzała naszą cerkiew zorganizowana grupa — opowiada Marczak. — Był wśród nich taki jeden mądrała, który zaczął mi udowadniać naukowo, że Boga nie ma, że historycznie Chrystus był jedną z wielu postaci mitycznych. Udowadniać mnie, człowiekowi, który przetrwał wszystko, co go spotkało, dzięki mocnej wierze w Boga. Panie, powiedziałem mu, mnie nie interesuje, czy Chrystus historycznie był, czy nie był. Mnie obchodzi moja wiara. A na co panu taka wiara? — zapytał mnie drwiąco. Moja wiara, szanowny panie, odpowiedziałem mu, ofiaruje mi po śmierci życie wieczne, a pan łopatę.

## Obyś został cudzoziemcem

— Znajomi pytają mnie często, dlaczego zostałem w Krościenku zamiast wrócić do Grecji. Był czas, kiedy chciałem, ale wtedy Grecja mnie nie chciała — wyznaje Dimitrias Tarsudis. — Dzisiaj nie mam po co tam wracać. Za późno w moim wieku zaczynać wszystko od początku. Poza tym przeżyłem w Polsce prawie pół wieku i gdybym teraz wyrzekł się kraju, który kiedyś mnie przygarnął, byłbym niegodziwcem.

Tarsudis należy do pokolenia powojennej greckiej emigracji. W czasie II wojny światowej był żołnierzem ELAS<sup>1</sup>. Walczył z Niemcami i rodzimymi nazistami. Kiedy w Grecji wybuchła wojna domowa (1946-49), wstąpił do Armii Demokratycznej. Jesienią 1948 roku, w trakcie ciężkich walk z wojskami rządowymi i wspierającymi je aliantami, oddziały AD zostały zepchnięte ku granicy bułgarskiej. Tarsudis z pododdziałem osłonowym, liczącym 133 ludzi, bronił przełęczy, przez którą wycofywały się do Bułgarii 7 i 8 dywizja. Pododdział swoje zadanie wykonał, ale poniósł olbrzymie straty. W ostatnim dniu walk zostało ich przy życiu piętnastu. Kiedy przekroczyli granicę i znaleźli się na bułgarskiej ziemi, zostali aresztowani, rozbrojeni i osadzeni w obozie internowania. Bułgaria nie była w stanie utrzymać i wyżywić tak wielu ludzi. Dochodziło też nieustannie do spięć na tle politycznym, bowiem domniemani „towarzysze greccy”, jak ich przedstawiała oficjalna propaganda w tym kraju, wcale za komunizmem nie tęsknili. Po kilkumiesięcznym pobycie na Bałkanach otrzymali zezwolenie na osiedlenie się w krajach bloku wschodniego.

Tarsudis wybrał Polskę i znalazł się we Wrocławiu. Początki w obcym, nieznanym kraju, były niezwykle ciężkie.

---

<sup>1</sup> Grecka Armia Narodowowyzwoleńcza

Wkrótce po przyjeździe poznał Dorsję, swoją przyszłą żonę, podjął pracę w Pafawagu i rozpoczął studia w polskiej uczelni. Po dwóch latach naukę musiał przerwać ze względu na chorobę.

— Atmosfera wśród emigrantów była napięta — wspomina Tarsudis. — Większość stanowili chłopci bez zawodu, od pokoleń związani z ziemią. Nie mieli przygotowania do pracy w przemyśle, nie znali polskiego języka, nie potrafili przystosować się do nowych warunków. Frustracja, zniechęcenie i brak wiary w siebie narastały z dnia na dzień. Zbyt mało było wśród nas ludzi świątłych, tych przysłowio-  
wych drożdży, które dają zaczyn każdemu działaniu. Taki, który całe swoje życie pasł krowy, nie przystosowuje się łatwo do nowych warunków.

Zamiatanie hal fabrycznych, przestawianie z miejsca na miejsce skrzynek nikogo nie satysfakcjonowało. Nie chcieli jeść cudzego chleba za darmo. Chcieli pracować. Życie w mieście i praca w fabryce stały się dla nich męczarnią. Tylko wieś mogła ich odrodzić, wyrwać z marazmu w jaki popadli. Zwrócili się o pomoc do polskich władz. Zaproponowano im osiedlenie się na terenach typowo rolniczych.

Mieli do wyboru, Chojny w województwie koszalińskim, albo zwrócone Polsce w 1951 roku wyludnione ziemie przygraniczne w Bieszczadach. Teren był rozległy. Obejmował Arłamów, Krościenko, Liskowate, Jureczkową i Stebnik. Nieistniejące wsie, zniszczone domy, pogorzeli-ska, nieutwardzone, błotniste drogi, zapuszczone pola i łąki, lasy i zarośla, to był typowy krajobraz tamtych lat.

Jesienią 1952 roku zaczęły ścierać do Krościenka pierwsze rodziny greckich emigrantów. Ponieważ nadchodziła zima, a istniejące we wsi domy nie nadawały się do zamieszkania, ludzie wprowadzali się do naprędce budowanych ziemianek i szałasów. W jednym z okolicznych jarów znaleźli zdezelowany trak. Ściągnęli go do Krościenka i naprawili. Okoliczne lasy dostarczały im dobrego budulca.

Na wiosnę zaczęli remontować domy mieszkalne, stawiać prowizoryczne budynki gospodarcze.

— W międzyczasie założyliśmy spółdzielnię. Dni wolnych od pracy nie mieliśmy prawie wcale. Harówka od świtu do nocy obowiązywała wszystkich, zarówno dorosłych jak i dzieci. Najgorzej było zimą. Chodziliśmy gęsiego przez metrowe zasy nosząc na plecach budulec i narzędzia. Mimo tych ciężkich, prymitywnych warunków życia nikt nie narzekał, ponieważ z tą ziemią wiązaliśmy przyszłość naszą i naszych dzieci. Byliśmy także przekonani, że drzwi do ojczyzny zatrzasknęły się przed nami na zawsze, że Grecja nas się wyrzekła.

Spółdzielnia szybko się rozwijała. Wybudowali tartak, cegielnię, wielkie obory, rozwinęli hodowlę bydła, trzody, koni i owiec. Prowadzili na niespotykaną w tych stronach skalę sadownictwo i pszczelarstwo. Mieli swoją szkołę z ojczystym językiem nauczania, kościół prawosławny, lokalny radiowęzeł, oraz dom kultury.

— To był dla nas, Greków, i dla tych stron, piękny czas — mówi Tarsudis. — Byliśmy młodzi, rozpierała nas energia, chciało nam się żyć i pracować.

Równoległe zaczął się powolny, niedostrzegalny regres. W Krościenku żyły obok siebie dwa, coraz bardziej sobie obce, pokolenia emigrantów – rodzice i ich dzieci. Starzy umierali, młodzi nie chcieli pracować na roli. Znali polski język, kończyli polskie szkoły, zdobywali zawody, opuszczali Krościenko i wyjeżdżali do miast, gdzie doskonale sobie radzili. Ci, którzy z Krościenka wyjechali, nigdy już do niego nie wracali. Jeżeli przyjeżdżali, to jedynie po to, żeby zabrać stąd swoich rodziców lub rodzeństwo.

W 1984 roku pierwsi Grecy zaczęli opuszczać Polskę. Stało się tak za sprawą rządu premiera Andreasa Papandreu, który rok wcześniej przywrócił uchodźcom politycznym prawa obywatelskie i zezwolił im na powrót do ojczyzny.



— W Krościenku zostało kilka rodzin — mówi Tarsudis. — Wśród nich moja. Los związał mnie z Polską. Tutaj żyją moje dzieci i wnuki. Polacy nie krzywdzili nas, nie okazywali nam wrogości, nie dawali odczuć, że jesteśmy na ich ziemi intruzami.

Obecna rzeczywistość ma jednak dwie, odmienne strony swojego oblicza. Tarsudis przedstawia tą piękniejszą. O drugiej, ciemnej, nieludzkiej dla niego, wręcz brutalnej, mówi niechętnie i półsłówkami. Tarsudisowie mieszkają w domu, który należy do nieistniejącej spółdzielni. Wszystkie swoje oszczędności przeznaczali na jego remonty i przebudowy. Wokół domu, staraniem Dimitrasa, powstał sad owocowy, pod drzewami pasieka, za sadem gręplarnia i budynki gospodarcze. Obok nich stoi traktor i maszyny rolnicze. Wszystko jest owocem wieloletniej, ciężkiej pracy Tarsudisów, ich wyrzeczeń i ustawicznego oszczędzania. Ponieważ spółdzielnia została rozwiązana, Tarsudis, jako jej członek, wystąpił do władz z propozycją nabycia na własność domu wraz z przylegającą do niego ziemią. Komisja wyceniła wartość majątku. Przyszły właściciel wniósł stosowne opłaty i dopiero wtedy wybuchła bomba. Wysoki urząd MSW nakazał wstrzymać realizację umowy. Dimitras Tarsudis jest cudzoziemcem i zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem nie może nabyć na własność ziemi powyżej jednego hektara.

## Taka wola nasza

Rosowski śpieszy się, wywija motyką jak w transie. Od Baligrodu sunie czarna chmura, od strony Leska druga. Jeżeli spotkają się nad Nowosiólkami, będzie ulewa. W tym miesiącu pokropiło dwa, najwyżej trzy razy. Spragniona ziemia czeka na deszcz. Rosowski kończy okopywanie grządek. Duże krople bębnią po blaszanym dachu, rozpryskują się na asfaltowej drodze, która biegnie kilkanaście kroków od domu Rosowskiego. Ruch na drodze spory. Właśnie zaczął się sezon turystyczny. Do Cisnej, Wetliny i dalej w Bieszczady, przez Nowosiółki najbliżej.

We wsi zatrzymuje się niewielu turystów. Atrakcji dla nich w Nowosiólkach nie ma żadnych. Okoliczne góry niewiele większe od kopek siana. Dwa sklepiki, mały kościółek, murowane domy. Jest kilka drewnianych zabudowań z lat sześćdziesiątych, ale też nic szczególnego. Dawnych, świadczących o indywidualnym charakterze wsi i przydających jej swoistego uroku już się nie uświadczy. Dominuje cegła, pustak i beton.

Z dawnych czasów została grekokatolicka kapliczka. Czasem ktoś zatrzyma przy niej auto, wysiadzie, zrobi zdjęcie i jedzie dalej. Nic dziwnego, bo obiekt nie rzuca się w oczy. Pracy w czasie ostatniego remontu było przy nim cztery niepełne dni. Rosowski wynajął do pomocy trzech ludzi, naprawili dach, otynkowali ściany, pomalowali je, uzupełnili architektoniczne detale. Miejscowi nie interesowali się remontem zupełnie, chociaż nie brakowało takich, którzy krzywili się na Rosowskiego mówiąc za plecami, że remontuje dla Ukraińców.

— Odnawiałem Dom Boży — broni się. — To mój katolicki obowiązek. Polak, Ukrainiec, Słowak? Co za różnica. Wszyscy modlimy się do jednego Boga.

Czasy teraz nastały takie, że każdy patrzy swego. Dobrze. Niech się dorabiają. Bogaci się obywatel, bogaci się dzięki temu również państwo. Ale denerwują go te nieustanne narzekania na biedę. Domy w Nowosiólkach nowe, wycackane. Gdzie zajdzie, dywany, widea, zamrażarki, pralki. W czasie nabożeństwa przed kościołem samochód przy samochodzie.

— Przed wojną były rowery, dzisiaj jest ponad trzydzieści traktorów i samochodów — tłumaczy. — Czy to jest bieda?

Rosowski uważa, że pokutują dawne przyzwyczajenia, nawyki, a co gorsza, myślenie. Ludzie nauczyli się, że należy się im z urzędu, już przez sam fakt, że są obywatelami tego państwa. Przysiedli fałdów i narzekają.

Taka postawa nic nie kosztuje, niczym nie grozi. Ludzie boją się działać na własny rachunek. Są ostrożni, nieufni. Rosowski ich rozumie. Jeżeli się nie uda, będą musieli za to zapłacić swoim dorobkiem.

— Chłop już taki jest. Zanim spróbuje, musi najpierw obwąchać ze wszystkich stron. Kilkanaście lat temu ci sami ludzie przenosili góry — mówi.

Kościół w Nowosiólkach będzie obchodził w br. osiemną rocznicę „nocy cudu”. Obchodzona jest przez mieszkańców wsi corocznie dla upamiętnienia wydarzeń z 1975 r. Właśnie wtedy, w tamten sierpniowy, niedzielny poranek pierwszy raz odprawiona została Msza św. w kościele, który mieszkańcy Nowosiółek wybudowali w jedną noc.

Do 1975 roku kościoła w Nowosiólkach nie było. Ludzie chodzili na nabożeństwa do Hoczwi. W 1970 do parafii przyszedł ks. Jakubowski, kapłan o wielkiej charyzmie. Nabożeństwa przeniósł do odremontowanej kaplicy grekokatolickiej. Kapliczka niewielka, wszystkich wiernych pomieścić nie była w stanie. Chcieli ją rozbudować. Władze się nie zgodziły. Co więcej, dążyły do jej zamknięcia twierdząc, że wierni tarasują ruch na szosie i zagrażają bezpie-

czeństwu. Rosowski skonstruował przenośny ołtarz. Wynosili go podczas nabożeństw na zewnątrz kaplicy bez względu na pogodę. W końcu ludzie mieli dość poniewierki. Powołali społeczny komitet budowy kościoła. Na jego czele stanęli ks. Jakubowski i Bronisław Rosowski. Nową świątynię zamierzali postawić na zachoczewskim cmentarzu. Trzy kolejne wnioski o zezwolenie na budowę władze odrzuciły. Wtedy to podczas Mszy św. z ust ks. Jakubowskiego padły pamiętne słowa: *„Postawimy kościół wbrew woli władz państwowych. Postawimy dom Panu Naszemu, bo taka jest wola jego ludu”*.

Słowa księdza władze potraktowały serio. Cmentarz ogrodzono, bramę zamknięto na kłódkę, klucz przekazano zaufanemu kierownikowi szkoły. Noc w noc baligrodzka milicja kontrolowała cmentarz i przylegający do niego teren. Sprawa budowy kościoła przycichła. Władzom wydawało się, że umarła śmiercią naturalną.

— Oni pilnowali cmentarza, a my w tym czasie budowaliśmy po drugiej stronie, niecałe pięćdziesiąt metrów od drogi — wspomina Rosowski.

Dużą działkę, ofiarowaną na ten cel przez emigrantkę z USA, obsiali kukurydzą. Jej skraj, bliżej drogi, słonecznikiem. Pole podlewali gnojówką. Kukurydza rosła w oczach. W międzyczasie opracowali szczegółowy plan działania, dzień po dniu, godzina po godzinie. Gotowe do złożenia drewniane elementy kościoła robili po lasach, polach, w stajniach i piwnicach, u zaufanych ludzi w okolicznych wsiach. Kiedy kukurydza na polu miała półtora metra wysokości, postawili w niej betonowe kroki zastępujące fundament. Finał prac wypadł nocą z drugiego na trzeciego sierpnia. Udział w nich wzięły całe Nowosiółki wspomagane przez mieszkańców Tarnawy, Wołkowyi, Łukowego, Hoczwi. Po zmroku, na placu budowy zebrało się ponad tysiąc osób. Zaczęli tuż przed północą. Rozstawione od Baligrodu po Lesko „czujki” informowały o każdym kroku milicji. O

ósmej rano kościelna wieżyczka wykwitła ponad łanem trzymetrowej kukurydzy. Godzinę później zjawiła się milicja i leska bezpieka.

Władze przeszły do ofensywy. Przyjeżdżały komisje, eksperci, prowadzono dochodzenia, przesłuchiwania. Ludzi straszono, grożono im, namawiano ich do współpracy mając przydziałami na maszyny rolnicze, materiały budowlane. Kuszono grekokatolików. Za rozebranie albo podpalenie kościoła obiecywano im wybudowanie cerkwi. Stary Pracho zakpił z nich w żywe oczy: „*Sami zrobicie to najlepiej, macie przecież duże doświadczenie i wprawę w podpalaniu*”. Posunięto się nawet do tego, że za podpalenie kościoła obiecano skazanym z obozu pracy w Żernicy darowanie wyroków.

— Przyjechali nyską — opowiada Rosowski. — Wokół kościoła zebrał się tłum ludzi z siekierami, kosami, motykami, co kto miał pod ręką. Kiedy zobaczyli, że z nami nie przelewki, odjechali. Trzy miesiące pilnowaliśmy naszego kościoła. Dzień i noc odprawiane były w nim nabożeństwa z udziałem naszych ludzi, jak też zamiejscowych i przyjezdnych. Byliśmy przygotowani na najgorsze.

Władze musiały wyjść z tego konfliktu z twarzą. Całej wsi do sądu zaprowadzić się nie da, skazać ludzi hurtem również, bo smród będzie z tego na cały świat. Wybrano rozwiązanie typowe dla ówczesnego ustroju. Jest przestępstwo, jest paragraf, znajdziemy głównego winowajcę.

Skrupiło się na Rosowskim. Wyrok zapadł w trybie przyspieszonym. Trzy lata pozbawienia wolności w zawieszeniu, pozbawienie praw obywatelskich na rok, zwolnienie z kierowniczego stanowiska w zakładzie pracy, 87 tysięcy złotych<sup>1</sup> grzywny płatne w ciągu 14 dni. Rosowski grzywny nie zapłacił, ponieważ nie był w stanie zebrać takiej kwoty.

---

1 ówczesnie równowartość parterowego jednorodzinnego domu

Na to właśnie czekano. Urząd wszedł mu na hipotekę i całe gospodarstwo zostało przejęte przez skarb państwa. Ziemię sprzedano obcym za psie pieniądze. Reszty Rosowski pozbył się sam sprzedając na pniu, jak leciało, lub przepisując na bliższą i dalszą rodzinę. Przez cztery lata ściągano mu połowę jego pensji na poczet sądowych zaległości.

— Na tym się nie skończyło — mówi. — Mścili się, prześladowali mnie i moją rodzinę do końca istnienia komuny.

Rosowski żyje bardzo skromnie. Pieniądzy z renty nie wystarcza na zaspokojenie najpilniejszych wydatków. Mógłby dorobić na stolarce. Fachowiec z niego dobry, solidny, zamówień by mu nie brakowało.

— Mam dopiero sześćdziesiąt lat — mówi — i gdyby nie pylica, pokazałby młodym jak się bierze sprawy w swoje ręce.

Namawiał kilku młodych bezrobotnych z Nowosiółek do założenia wspólnego interesu. Proponował im swoje pomieszczenia na warsztaty, maszyny i organizację, od nich żądał jedynie wykonawstwa. Uszarpał się z nimi, natłumaczył się, naprzekonywał do swojego pomysłu i wszystko na darmo. Woleli zasiłek. Trudno, ich wola.

## Samotny wśród ludzi

W Tyrawie mówią, że Leon Mikuszewski jest uparty, zawzięty i honorowy jak mało kto. O niczyją łaskę nie stoi, ręki po pomoc nie wyciąga, po urzędach nie chodzi, o zapomogi nie żebrze.

Żyje samotnie. Żona zmarła szesnaście lat temu. Syn opuścił rodzinny dom jeszcze przed śmiercią matki. Wyjechał za granicę i wszelki ślad po nim zaginął. Mimo, że Mikuszewski jest na świecie sam, na samotność się nie uskarża.

Mieszka w środku wsi. Jego 30-arowa posesja leży nad górskim potokiem. Woda w potoku czysta, nurt rwący, ryb zatrzęsienie. Pstrąg tęczowy nie jest dla tutejszych żadną sensacją. Ryba jak każda inna, ot i tyle, mówią. Ale Mikuszewski pstrągów nie łapie. Sterczenie nad potokiem z kijem w ręce uważa za stratę czasu. Jego to nie pociąga. Nie ma do tego ani serca, ani cierpliwości. Woli ziemię. Praca na roli daje mu satysfakcję, sprawia radość, trzyma przy życiu i pozwala snuć wielkie, przyszłościowe plany.

Tegoroczna wiosna w Górach Słonnych wybuchła nagle. Zabieliły się tyrawskie sady. Rozścieliły się na podmokłych łąkach żółte kobierce mleczków i kaczeńców. Zapachniała odurzająco nagrzana słońcem ziemia. Czas w pole. Roboty huk. Tyrawa żyje z tego, co na wiosnę zasieje a jesienią zbierze. Nie cała, rzecz jasna. Jest urząd gminy, szkoła, poczta, kilka sklepików i warsztatów-stolarni zajmujących się przeróbką drewna. Jednak zdecydowana większość mieszkańców wioski utrzymuje się z rolnictwa. Wśród nich jest również Mikuszewski. Chociaż, Bogiem a prawdą, mówi tyrawianie, ta gospodarka potrzebna mu do szczęścia jak psu buty.

— Jemu idzie na dziesiąty krzyżyk — mówi sąsiadka Mikuszewskiego. — Pan zdaje sobie sprawę, co to jest za wiek?

Mikuszewski rzeczywiście nie musi, choćby dlatego, że ma emeryturę. Trzy miliony<sup>1</sup> miesięcznie to nie są duże pieniądze, ale za to stałe i pewne. Wielu w Tyrawie nie ma nawet takiej sumy. Za swoją emeryturę mógłby nieźle żyć przez miesiąc, przekonuje sąsiadka. Mógłby, gdyby chciał. Ale on nie chce. A nie chce, bo jest uparty, zawzięty i hardy. Nie chce, bo on zawsze musi postawić na swoim, choćby odbywało się to kosztem innych. Nie chce, bo ma dziesiątki powodów, żeby nie chcieć. Jakich? A któż go tam wie. Chyba, tylko on sam.

— Nie robić? — dziwi się Mikuszewski. — Jak to, nie robić? — powtarza zaskoczony. — Zapuścić ziemię w ugór? — szarpie nerwowo palcami siwą, rozwichrzoną brodę. — To nie po ludzku, nie po gospodarstwu — konstatuje. — Ja wiem, że oni mi zazdroszczą, bo mnie się udaje. Ale ja nie siedzę z założonymi rękami i nie biadolę jak oni. Przed sklepem też nie przesiaduję, piwa nie piję. Stąd ta zawiść, to ich gadanie.

— Jemu się zdaje, że on gospodarz. Całą emeryturę łąduje w to swoje gospodarstwo i nic z tego nie ma — opowiada sąsiad Mikuszewskiego zza drogi. — To żadna gospodarka, panie. To dziadostwo.

Mikuszewski nie kryje, że gospodarowanie idzie mu jak po grudzie. Zresztą, nawet nie sposób ukryć tej oczywistej prawdy. Mizerię jego gospodarowania widać gołym okiem. Prawda jest okrutna, lecz on nie chce jej uznać. Mikuszewski jest sprawny fizycznie, zahartowany, żwawy. Kręci się po obejściu swojego gospodarstwa szparko niczym młodzian wykonując wszystkie niezbędne prace, nawet te najcięższe. Sieje zboże, sadi ziemniaki i okopowe, hoduje cielęta, krowy, odstawia mleko do miejscowego punktu skupu.

---

1   obecnie 300 zł



Na zimę przygotowuje dla bydła kilka ton siana. W tym roku planuje rozpocząć budowę nowego domu. A wszystko sam. Bez niczyjej pomocy. To utwierdza go w przekonaniu, że daje radę, że nie potrzebuje wsparcia innych, że obejdzie się bez sąsiadów.

Mikuszewski skończył 92 lata. Ma 2 ha ziemi, sześć krów, stadko kur i kaczek, i prawie doszczętnie zrujnowany dom. To, że przetrwał w nim ostatnią zimę, należałoby uznać za cud. Fragmenty ścian z czerwonej cegły sterczą w niebo niczym niemy wyrzut sumienia. W oknach łopoczą na wietrze resztki podartej folii. W listopadzie ubiegłego roku dach załamał się i zsunął ze ścian odsłaniając wnętrze domu. Mikuszewski przesunął łóżko w kąt izby, który osłonięty był resztkami zawalonego dachu. Kiedy w zimowe noce układał się do snu, miał nad sobą czarną, usianą gwiazdami otchłań nieba. Patrzył w nią, liczył gwiazdy i zasypiał. Gdy mróz tężał, zarzucał na siebie kawał grubej folii. To zazwyczaj wystarczało, mimo, iż zdarzało się często, że rano budził się z brodą przymarzniętą do zagłówka.

— Wytrzymałem karne więzienia w Lidzie i Syrokomli — mówi — przeżyłem siedemnaście strasznych lat w Rosji, pięć razy uciekałem z obozu przez Syberię, więc się zahartowałem, uodporniłem, nauczyłem się żyć w skrajnych warunkach. Mróz i śnieg nie są mi straszne.

— Ludzie wiedzieli w jakich warunkach pan zimuje?

W oczach Mikuszewskiego pojawia się błysk i momentalnie gaśnie. Odwraca twarz zbywając pytanie milczeniem. Po chwili zastanowienia, z sobie tylko wiadomego powodu, zaczyna snuć długą, dwugodzinną opowieść o swoim życiu. O pobycie w stalinowskiej Rosji. O wywózce, więzieniach, gułagach. Często wraca do swojej młodości spędzonej w rodzinnych stronach pod Jarosławiem. Wspomina pracę leśnika u Potockich i późniejszą w leśnym gospodarstwie wojskowym pod Kałuszem. Powojenną repatriację i powrót

z zesłania do ojczyzny. Pracę w nadleśnictwie Bircza i czas przeżyty wspólnie z żoną Jadwigą w przysiółku Łaski.

Opowiada o swoim wyobcowaniu. Życiu obok ludzi. Ucieczkach z gułagów. Przesłuchaniach przez NKWD, biciu i maltretowaniu. O wzbierającej z dnia na dzień nieufności i niechęci do ludzi. O bolesnym braku przyjaciela, kolegi, choćby znajomego, któremu mógłby zaufać i zwierzać się ze swoich tajemnic. O ustawicznym strachu, że ten drugi człowiek, obok niego, wyda go za nowe buty, kawałek cuku, miskę brukwiowej zupy. Snuje tą swoją opowieść jakby po to, żeby zapomnieć o postawionym pytaniu. Ale o nim nie zapomina, bo kiedy kończy opowiadać, dorzuca, jakby od niechcienia, jedno krótkie zdanie: — Oni o drugim zawsze wszystko wiedzą.

Kilkanaście kroków od posesji Mikuszewskiego stoi kryty eternitem murowany dom. Na podwórku kobieta karmi kury.

— Jak on tam żyje, to ja tego nie wiem, bo my się od dawna nie zachodzimy — cedzi każde słowo powoli, ostrożnie. — Tej zimy w piecu nie palił, nic nie gotował, bo zesłej komin mu się obalił. Zaniósłam mu raz ciepłą strawę i wodę do mycia, ale tak na mnie fuknął, że już więcej do niego nie poszłam.

Z drogi, na wprost okien zwałonego domu, widać drewniany budynek. Obejście czyste, zadbane, ogrodzone porządnym parkanem. Właścicielka domu przyjaźniła się z Jadwigą Mikuszewską. Łączyła ich duża zażyłość, natomiast z Leonem Mikuszewskim od samego początku sąsiedzkie stosunki jakoś się nie układały.

— Przyszedł na to gospodarstwo jakieś dwadzieścia pięć lat temu i tak sobie żyje na nim do dzisiaj — opowiada kobieta. — Gniewać się nie gniewamy. Ale ani on do nas, ani my do niego nie chodzimy. To jest dla nas zupełnie obcy człowiek.

W urzędzie gminy o Mikuszewskim mówią niechętnie. Jest samodzielny. Jakoś sobie radzi, podkreślają urzędnicy. Do uprzykrzonych interesantów nie należy. To nawet dobre, ponieważ budżet skromniutki, napięty, wydatków w gminie ponad miarę, a potrzebujących pomocy w sześciu sołectwach nie brakuje.

— To jest także i jego wina — twierdzi wójt Kazimierz Kociszewski. — Gmina mu pomagała. Jak obowiązywały przydziały, dostał blachę, cement. Sprzedaliśmy mu za symboliczne pieniądze starą drewnianą świetlicę, żeby ją sobie rozebrał i postawił z niej nowy dom. Bo ten, stary, murowany, całkiem zaczął mu się sypać. Teraz też by od gminy dostał, gdyby się do nas zwrócił. Ale tylko to, co możemy mu dać — zastrzega się szybko wójt — a nie to, co on sobie sam wymyśli.

Przed sklepem, na ściągniętych z lasu klocach, siedzą młodzi mężczyźni i dudlą z flaszek piwo. Jeden z nich, ubrany w niebieską nylonową kurtkę, wrócił parę dni temu z Niemiec i opowiada beznamiętnym, znudzonym głosem o kraju ogólnego dobrobytu. Okazuje się, że dla jego słuchaczy to żadna nowość. Oni również byli w Niemczech, więc to i owo widzieli na własne oczy. Czemu go słuchają? Przez grzeczność. Z nudów. Dla zabicia czasu. Bo w Tyrawie czas wlecze się niemiłosiernie wolno.

— Mikuszewski? — zastanawiają się i spoglądają po sobie pytająco. Znają. Owszem. Ale pobieżnie.

— Każdy sobie swoją rzepkę skrobie — mówi jeden z piwoszy i dodaje. — A poza tym, my nie stąd.

— A skąd?

— A ooo!... stamtąd — pokazuje ręką w nieokreślonym kierunku i uzupełnia. — Stąd nie widać, bo akurat drzewa nam zasłaniają.

— Spory kawałek.

— A no, spory — zgadza się skwapliwie i dodaje. — Będzie kilometr, albo i lepiej.

## Klatka

Z ulicy Grabarczyk wchodzi do ciemnej sieni. Tak już zupełnie ciemna nie jest, bowiem od drzwi wejściowych do drewnianych schodów oświetlona jest smugą słabego, dziennego światła. Dobrze i to – nie trzeba iść przez nią po omacku.

Żeby dostać się do swojego mieszkania na poddaszu, Grabarczyk musi pokonać kręte schody. Uciążliwą dla siebie drogę podzielił na dwa etapy. Jedenaście stopni wspinaczki i podest. Kolejnych dziesięć i znowu podest. Tutaj musi odpocząć. Męczy go astma, dokucza mu staw biodrowy, doskwiera źle zrosnięta po skomplikowanym złamaniu stopa. Przed ostatnim etapem wspinaczki Grabarczyk musi się maksymalnie sprężyć, ponieważ staje przed swoją „ścianą płaczu” – stromymi, prawie pionowymi schodami, które przypominają bardziej drabinę niż schody. Raz są dla Grabarczyka przekleństwem, innym razem zrzędzeniem losu. Wydaje się to dziwne, nawet absurdalne, lecz takie jest w istocie. Łatwiej wytaszczyć po nich na poddasze wiadro z węglem, niż siatkę z zakupami.

Grabarczyk ma nadzieję, że jego wspinaczki niedługo się skończą.

— Byłem u burmistrza — wyznaje. — Wysłuchał mnie jak człowiek człowieka i obiecał, że zajmie się moją sprawą osobiście.

Życie układało się Grabarczykowi na podobieństwo morskich przyptywów i odpływów. Urodził się w Warszawie. Po upadku powstania sierpniowego przeszedł Pruszków i trzy obozy w Niemczech. Z Bieszczadami zetknął się w 1956 roku i odtąd żył na rozdrożu. Był w Warszawie, kuśiły go połoniny. Przyjeżdżał w góry, rąbał las, pasł bydło, wypalał węgiel. Po kilkunastu miesiącach życia w ciężkich, prymitywnych warunkach zauroczenie Bieszcza-

dami mijało i Grabarczyk zaczynał tęsknić za ludźmi i miastem. Ten dziwny stan jego duszy powodował, że Warszawa i Bieszczady stały się dla niego ścianami, pomiędzy którymi obijał się przez 30 lat.

Grabarczyk nie lubi przeszłości. Mówi o niej niechętnie. Jeżeli już, to przez pryzmat swoich kontaktów z ludźmi o znanych nazwiskach. Co rusz powołuje się na Królaka, Hanisza, Panufnika.

— Miałem trzy żony, więc się co nieco przeżyło. Aniołem nie byłem, fakt. Ale draniem też nie. Żyłem śpiewajaco, jak ojciec z wiersza Różewicza. I jak on, nie dorobiłem się domu, ani złotego zegarka. Jakoś nie zebrała się miarka — śmieje się.

Woli mówić o terażniejszości. Komu się udało, powiodło, a kto przepadł. Kto sobie radzi, a komu wiatr w oczy. Komu szczęście dopisało, a kogo omija szerokim łukiem. No i o swojej codzienności. Tak jest bezpieczniej. Nikomu człowiek swoim gadaniem się nie naraża. Najlepiej, na ten przykład, pogadać o jedzeniu.

— Dzisiaj na obiad zrobiłem placki ziemniaczane. Miałem sześć dużych kartofli, starłem je na tarce i wyszło z nich sześć placków — mówi. — Dużych placków, bo kartofle były duże.

Sześć placków do podziału na dwóch, ponieważ rano zjawił się u niego Wacek. Przysiedli na chwilę nad butelką wina, zagadali się i nim się połapali, zastało ich południe. Jeść samemu głupio. Było nie było — gość w domu. Grabarczyk robi zwykle dla siebie cztery placki. Pewnie, że zjadłby więcej. Gdyby jednak zaczął szastać rentą, po tygodniu przyszyłoby mu wbić zęby w ścianę. A placki dzisiaj nadzwyczaj smaczne, na hiszpańskiej oliwie, którą dostał w ubiegłym tygodniu z PCK.

— Co zrobić — wzdycha. — Tak krawiec kraje, jak mu materii staje.

Dzisiaj było skromniej. Za to wczorajszy obiad był z dwóch dań. Zupa i ziemniaki z kawałkiem kielbasy. Kupił jej trochę więcej. I dobrze zrobił. Dzisiaj się przydała. Wystarczyło na śniadanie dla niego i dla Wacka. Co będzie jadł na kolację, nie jest w stanie przewidzieć. Jeżeli przyjdzie pani Jola z opieki społecznej, to na pewno coś mu przyniesie. Dobrze by było, żeby przyszła. Portfel u Grabarczyka pusty. Rano wydał ostatnie złotówki. Jeżeli pani Jola nie przyjdzie, trudno. Kilka dni jakoś przetrwa. Nie pierwszy zresztą i nie ostatni raz. Błagać w urzędzie o zapomogę nie będzie za nic w świecie. Swoją honor ma.

Grabarczyk utrzymuje się z renty.

— Pieniądze nieduże — zwierza się — ale za to stałe. Inni mają o wiele gorzej, bo ani pracy, ani zasiłku, ani nawet zapomogi. Jak dajmy, na ten przykład, Wacek.

Kiedy Grabarczykowi skończy się renta, idzie do sklepiku obok poczty i bierze towar na krechę. Dostanie rentę, natychmiast leci wyrównać swoje długi. Czasem idzie do Gminy, ale tylko wtedy, gdy go naprawdę przyciśnie. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby w urzędzie odmówiono mu wsparcia. Kiedy zgłosił, że jest bezdomny, urzędniczki z opieki społecznej w dwie godziny załatwiły mu mieszkanie. Klitka dwa na trzy metry, to prawda, ale przecież jego, własna. Urząd płaci za czynsz, energię, kupuje mu opał, udziela zapomóg pieniężnych, zaopatruje w podstawowe artykuły.

— Zginąć mi nie dadzą — mówi. — Ludzkie kobiety pracują w urzędzie, a nie, jak gdzie indziej, kokoty.

Pokoik Grabarczyka malutki niczym ptasia klatka, ale pobielony, czysty, zadbany. Niewiele rzeczy, które w nim się znajdują, należy do jego lokatora.

— Niewiele potrzebuję, to i niewiele mam — twierdzi Grabarczyk.

Żelazne łóżko, materac i koce dostał z opieki. Sąsiadka z dołu obdarowała go pościelą. Znajomi przynieśli kołdrę

i parę drobiazgów. Przy łóżku ustawił mały stolik, na nim nocną lampkę. Obok lampki postawił sieciowe radio pamiętające czasy Gomółki. Nieważne jakie, ważne, że sprawne, że gra. Przynajmniej nie jest w pokoju sam. Wystrój uzupełnia szafa, stół, dwa krzesła i piecyk węglowy. Na piecyku stoi czarnobiały telewizor „*Ametyst*”. Popsuty.

— A niech stoi — macha ręką Grabarczyk. — Jeść nie chce.

Ma tego tyle, co na dzisiaj. Na teraz. Bo, jak mówi, w każdej chwili może trafić mu się szansa, a wtedy wyfrunie ze swojej klatki w świat w poszukiwaniu nowego, lepszego życia, bez żalu za tym, co będzie musiał w niej zostawić. A że taka szansa kiedyś mu się trafi, w to nigdy nie wątpił. Czeka na nią w tej klatce drugi rok. Czeka, bo jest cierpliwy. Do czekania zdążył się przyzwyczaić. Gdy czeka się na swoją szansę tyle lat, co on, wtedy kilka miesięcy w tę, czy w tamtą stronę, nie robi człowiekowi różnicy.

## Mielerze już nie dymią

Jeszcze kilkanaście lat temu mielerze były nieodłącznym elementem bieszczadzkiego krajobrazu. Wśród turystów budziły ciekawość, a nawet sensację. Ich czas minął. Zastąpiły je blaszane retorty.

Panta rei, stwierdza ze stoickim spokojem mężczyzna w kowbojskim kapeluszu przed knajpką w Ustrzykach Górnych. Przysiadł pod ścianą na drewnianej ławie i czeka na kielbasę z rożna. Zje, potem zrobi zakupy i wynosi się stąd. Za dużo tutaj aut i rozszalałych nastolatków. Lubi ciszę i spokój, a o nie teraz coraz trudniej. Przyjeżdża w Bieszczady od trzydziestu lat, systematycznie, rok w rok. Zielone połoniny i dymiące mielerze stały się dla niego synonimem tych gór od chwili, kiedy zetknął się z nimi po raz pierwszy. Taki właśnie obraz wbił mu się wtedy w pamięć i został w nim do dzisiaj. Chociaż obecne Bieszczady, to już nie te same Bieszczady co dawniej, ubolewa. Połoniny są, ale mielerze znikły, odeszły w zapomnienie. Razem z nimi odeszli wypalacze węgla. Ludzie legendy, zakapiory, niepokorne dusze, mistycy mitomanii, naiwni romantycy, buntownicy z wyboru, przymusu i mimo woli. Podejrzane indywidua z długim nożem dyndającym w skórzanej pochwie u biodra, albo zatkniętym za cholewę buta, a równocześnie niepoprawni optymiści i marzyciele o gołębih sercach. Przez lata swoich wędrówek po Bieszczadach poznał wielu z nich. Twardych realistów przyjeżdżających dla zarobku i dziwaków z dyplomami wyższych uczelni, doktorów nauk ścisłych, filozofów, prawników, naukowców z dwoma fakultetami. Z takimi ludźmi przez dwa sezony wypalał węgiel w Suchych Rzekach.

— W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych byli solą tej ziemi — mówi. — Nadawali Bieszczadom koloru, odrealniali rzeczywistość, mitologizowali ją i celebrowali.



wali. Bieszczady były teatrem baśniowych omamów i fantomów. Tutaj rzeczywistość splatała się z iluzją stając się fantasmagorią, w której gubili się i przepadali nie tylko oni. Żyło się w tym odrealnionym świecie swoich i cudzych urojeń, a kiedy go się opuszczało, przestawało się wierzyć w jego istnienie, więc za rok wracało się znowu, żeby się upewnić, że on naprawdę istnieje. Takich, którzy wierzyli w istnienie tego świata, było wtedy tutaj na kopy.

Przyjeżdżali na rok, czasem dwa. Któryś z nich zostawał dłużej, a potem nagle, z dnia na dzień, znikał, nawet nie wiadomo kiedy. Ich prawdziwe nazwiska i zmyślane życiorysy nie interesowały nikogo z wyjątkiem księgowej, twierdzi emerytowany leśniczy. Zatrudniał ich w swoim nadleśnictwie, obcował z nimi na co dzień. Żadnego z wyższym wykształceniem wśród nich nie spotkał. Co najwyżej jakiegoś studenta nieudacznika. Na ile również i on był prawdziwym, któż go tam wie. Przychodził, bo szukał roboty, przedstawiał się: „Student jestem” i tak już zostawało. Wielu z tych ludzi dorabiało sobie odpowiednią do okoliczności legendę i tak, zdaniem leśniczego, rodził się mityczny dzisiaj „Doktor”, „Inżynier”, „Filozof”, czy „Profesor”.

W Widelkach, tuż przy obwodnicy, dymią cztery retorty. Przed rokiem należały do nadleśnictwa w Stuposianach. Kiedy rozpoczęto jego reorganizację, retorty wydzierżawiono prywatnej firmie.

— To rodzinne przedsiębiorstwo — wyjaśnia właścicielka firmy, Halina Fotyma. — Oprócz Widelek dzierżawię także wypał w Tarnawie.

Na stałe zatrudnia sześciu ludzi. Praca ciężka, nie dla leserów. Zresztą wystarczy rzucić okiem, żeby się o tym przekonać. W kwietniu Widelki dały 40 ton węgla, Tarnawa 20 i to już mówi samo za siebie. Gdyby nie brak drewna i ludzi chętnych do tej pracy, węgla byłoby dwa razy więcej.

Po drugiej stronie drogi usmolony robotnik układa w retorcie bukowe szczapy.

— Gdybyśmy wypalili sto ton, to też by było za mało — rzuca ze złością i zaraz się reflektuje.

Na szefową nie powie złego słowa. O ludzi dba, zarobić im też daje. W kwietniu, choć mieli przestoje, wyciągnął sześć milionów<sup>1</sup>. Takich pieniędzy nie dostanie tutaj nigdzie. Poza tym praca stała, ZUS opłacony. Podatek i składki emerytalne też go nie obchodzą, więc czego chcieć więcej. Wypałem zajmuje się od lat. Robota jest bardzo ciężka, to fakt, ale dla niego nie straszna. Ani duszący dym, ani słodki, cikliwy smród wypalanego w retortach drewna nie robią na nim wrażenia. Przywyknął do nich. Kiedy wypalał węgiel w mielerzach, było nieporównanie trudniej. Romantyczne opowieści o tamtych czasach najlepiej włożyć między bajki. Zresztą, podobnie jak wszystkie inne. Chyba, że potrzebne są do uszczęśliwiania turystów. Jeśli kapnie z tego więcej grosza miejscowym, niech będzie, że było i pięknie, i romantycznie. Prawdę zachowa dla siebie. Zresztą i tak zna ją dzisiaj niewiele. On i jeszcze trzech, czterech, może ze dwóch więcej, bo tylu ich zostało w Bieszczadach z tamtych lat. Dwóch zajmuje się wypałem w Rosolinie. Najstarszy stażem „Magister”, wypala gdzieś koło Cisnej. Jedni mówią, że w Moczarnem, inni, że między Terką a Bukiem. „Magister” może być wszędzie. Jedno jest pewne. Zaszły się w jakiejś dolinie z dala od ludzi i turystycznych szlaków. Najlepiej pytać o niego Witka, syna szefowej.

Witek jeździ ciągnikiem. Wozi z lasu drewno na skład wypału. Tak akurat dzisiaj wypadło, że nie miał kto tego robić. Halina Fotyma chciała zatrudnić kogoś z miejscowych, oferując 10 milionów złotych miesięcznie i własny sprzęt. Chętnych nie znalazła. Tak więc Witek pracuje dzisiaj na ciągniku – dorywczo i z przymusu. Studiuje na Politechnice

---

1   obecnie 600 zł

Warszawskiej. Do rodzinnego domu w Procisnem przyjeżdża raz w miesiącu na kilka dni. Do pracy przy wypale idzie chętnie.

— Firma rodzinna — mówi — liczy się każda para rąk.

Wypał interesuje Witka również od strony technologicznej. Sucha destylacja drewna w retortach jest mniej uciążliwa i szkodliwa dla środowiska, niż stosowana w mielerzach. Mimo to Witek uważa, należy ją unowocześnić. Pracuje nad nowym modelem retorty ekologicznej. Teoretycznie problem jest do rozwiązania, jednak w praktyce oznacza on dziesiątki, jeśli nie setki, prób. Witek liczy na pomoc doświadczonych wypalaczy. Układy ma z nimi dobre, zaufanie też. Intryguje go „Magister”. Jako jedyny w Bieszczadach potrafi wypalać pełnowartościowy węgiel w czasie o połowę krótszym, niż wymaga tego stosowana obecnie technologia. Ile jest w tym prawdy, trudno dociec. Ale tak się tutaj o umiejętnościach „Magistra” mówi, więc coś musi być na rzeczy.

Na poboczu drogi ze Stuposian do Mucznego siedzi mężczyzna z piłą motorową. Odpoczywa pałac papierosa. Twarz ogorzała, spojrzenie badawcze, nieufne. Na nogach sfatygowane gumki.

— „Magister”? — zastanawia się, milczy długo, a potem zatacza ręką w powietrzu szeroki łuk. — O, tam. W Młyniszczu. Jak zjedziecie niżej, to będzie widać dym.

Młyniszcze leży nad górnym Sanem. Do granicy państwa nie więcej niż czterdzieści kroków. Dalej już Ukraina. Do najbliższej osady, na przełaj, ponad sześć kilometrów, drogą drugie tyle. Pustkowie zupełne.

Na niewielkiej polanie dymią trzy retorty. Obok nich stoi wysłużony barakowóz. W małym okienku, zamiast szyb, strzępy potarganej folii. Trzy drewniane schodki prowadzą do otwartych drzwi barakowozu. W drzwiach, zasłaniając sobą wejście, stoi usmolony jak diabeł rosły mężczy-

zna i gapi się na bezchmurne niebo. Drugi, szczupły, żylasty, uklepuje koło retorty świeżo rozkopaną ziemię.

„Magister”? Zamiast odpowiedzi ruch głowy na „żylastego” i usmolony znika w barakowozie.

„Magister” nie należy do ludzi rozmownych. Podobno ukończył dwie uczelnie. Płaza z Bereżek zarzekał się, że architekturę i coś tam jeszcze, ale co, tego już nie był pewny. Podobnie twierdził Witek Fodyma.

— Jaki tam, magister — krzywi się żylasty. — Dużo czytam i stąd to przezwisko.

W Bieszczady przyjechał trzydzieści lat temu z zamojskiego. Żyje sam. Bez żony, bez rodziny. Nie ułożyło się, mówi. Może to dobrze, bo zna takich, co przy wypale stracili zdrowie, żeby zarobić dla swoich dzieci na domy i wykształcenie. Potem okazywało się, że nie mają do kogo wrócić. Od dwóch lat wypala węgiel dla prywatnej firmy.

— Zarobek kiepski — mówi. — Średniej krajowej człowiek przy tym nie wyciągnie, żeby zdechł. Wypalacz dzisiaj to dziad.

W latach siedemdziesiątych i początkach lat osiemdziesiątych wypalało się węgiel drzewny w mielerzach. Był to tzw. wypał otwarty. Robili kopce ziemne o średnicy 12 i wysokości 4 metrów. Mieściło się w nich po 500 metrów sześciennych drewna. Zarobek był taki, że nowicjuszowi na widok wypłaty zwyczajnie odbijało. Jechał do miasta, wynajmował w najlepszym hotelu apartament z łazienką, gorzała, babki, elegancie ciuchy, błyskotki. Kiedy przepuścił forszę, wracał na wypał. Po miesiącu powtórka. Czas płynął, przybywało lat, ubywało zdrowia i rozsądku. Nim się taki opamiętał, zwykle było już za późno. Kiedy stąd wyjeżdżał, cały jego majątek mieścił się w plastikowej reklamówce. W czym zmieści się jego? Zmieszany pytaniem „Magister” zastanawia się chwilę. Coś się tam przez te lata odłożyło, mówi oględnie. Ile? Niewiele, bo jeść trzeba, ubrać się też. Na czarną godzinę, jak to mówią, wystarczy. Dociągnie do

emerytury, a wtedy się zobaczy. Pewnie tutaj zostanie. Tak myśli teraz, ale jak będzie naprawdę, to się dopiero okaże.

— Protestować? — pyta z niedowierzaniem w oczach.  
— Przeciw czemu? Komu? — mówi zdumiony i po chwili krótkiego milczenia dodaje. — Chyba przeciwko samemu sobie.

## Tam, gdzie kończy się świat

W Żerdence śmierdzi ckliwo, słodkawo, mdląco.

— Jakby wsadziło się nos do komina — mówi Józef Winnicki.

Podobno dzisiaj jest znośnie, bo nie ma wiatru i dymi tylko jedna retorta. Dym bije z niej w niebo jak po sznurku.

Retorty są trzy. Stoją w środku wsi, przy głównej drodze. Gdyby Żerdenka była miastem, stałyby w rynku, twierdzi Winnicki. Kilkadziesiąt kroków od retort, po przeciwnej stronie drogi, lśni świeżym tynkiem piętrowa kamienica Kwieków. W oknach ażurowe firanki. Na dachu antena satelitarna. Na podwórku dwa psy. Większy z nich biegnie do bramki, macha przyjaźnie ogonem na powitanie, po czym odchodzi w stronę zabudowań. Przed kamienicą stoi młody mężczyzna: włochaty szetland, dżinsy Marconi, na nogach domowe pantofle. Oparł się plecami o ścianę, twarz wystawił do słońca. Oczy ma przymknięte, minę senną, znudzoną.

— Kwieki trują? — uśmiezek błąka się po jego twarzy. — Kto tak twierdzi? Winnickie? A które? — pyta z wyraźną kpina.

Winnicy mieszkają na końcu wsi w czterech domach. Wszystkie drewniane, parterowe. Dwa z nich pamiętają okres Polski międzywojennej. Stoją na niewielkim pagórku w otoczeniu owocowych drzewek. Ładnie tutaj, cicho, spokojnie. Doliną, poniżej domów, biegnie wąska, wyboista droga. Za drogą płynie wartki, górski strumyk.

Kilkadziesiąt kroków od domu Józefa Winnickiego droga dochodzi do strumyka i tutaj się kończy. Dalej są tylko lasy i bezdroża. Dla człowieka z zewnątrz w tym miejscu kończy się świat. Dla Winnickiego świat się dopiero tutaj zaczyna. Jego świat; czterdziestohektarowa ojcowizna pól,

łąk i lasów. Dorobek kilku pokoleń Winnickich osiadłych w Żerdence.

Żyli tutaj od wieków. Uprawiali ziemię, hodowali bydło i owce, a kiedy była taka potrzeba, dorabiali w lesie. Powojenna zawierucha wypędziła ich z rodzinnej ziemi i rozsiała po Polsce. Jedynie matka Józefa Winnickiego, Katarzyna, zdołała uniknąć wysiedlenia z Żerdenki. Pozostali mieszkańcy wioski skazani zostali na wieloletnią tułaczkę i poniewierkę.

Pierwsi z nich zaczęli wracać do Żerdenki w latach sześćdziesiątych, zakładali rodziny i wiedli życie nieróżniące się niczym od życia ich ojców i dziadów. Polityką się nie interesowali. Z tego właśnie powodu każda władza uważała ich za element społecznie niepewny. Tak było przed II wojną światową, tak w czasie wojny i podobnie w pierwszych latach po wyzwoleniu.

— Przychodzili, przystawiali łufę do piersi — opowiada o tamtych czasach Katarzyna Winnicka — i dawaj mięso, dawaj zboże, dawaj ubranie. Nie dasz, kulka w łeb, albo gałąź. Rabowali wszyscy. Niemcy, partyzanci, Moskale, upowcy i polskie wojsko.

Dla Polaków Winnicy byli upowcami. Dla upowców, Polakami. Dla Sowietów, bandytami o nieokreślonej orientacji. Prześladowania i ciągłe zagrożenie życia wyrobiło u Winnickich atawistyczną nieufność do obcych. To właśnie ona konsolidowała całą ich rodzinę, cementowała rodzinne więzi, nauczyła ich, że w ciężkich chwilach należy liczyć tylko na swoich.

— Ja nie narzekam, nie rozkładam rąk, kiedy jest ciężko, tylko zakasuję rękawy i biorę się do roboty — tłumaczy Józef Winnicki.

Na utrzymaniu ma siedmioosobową rodzinę, w tym czwórkę dzieci. Pieniądzy brakuje ciągle. Musi dobrze główkować, żeby zapłacić podatki, zusowskie świadczenia, rachunki.

— Biedy u nas nie było — mówi — nie ma i nie będzie dopóki gospodarzymy na swoim. Ziemia nas wyżywi.

Mają swój chleb, nabiał, owoce. W oborze stoi siedem mlecznych krów i przeznaczone na sprzedaż jałówki. Za gotówkę z ich sprzedaży Winnicki opędzi najpilniejsze potrzeby i potrzeby swojej rodziny. Jest właścicielem 17 hektarów lasu. Drzewa w nim dorodne. W większości stuletnie. Prawie sam dąb i jodła. Początkowo sprzedawał je na pniu. Szybko jednak zorientował się, że przetworzone nawet w półprodukt przyniosą większy dochód. Dlatego postanowił uruchomić mały tartak. Maszyny już ustawił i zamontował. Nic nadzwyczajnego. Prowizorka – przekładnia z ciężarówki, napęd siłowy, prowadnice z kolejowych szyn. Nie jest zresztą ważne z czego, ważne, że urządzenie do przecierania kłoców zrobił tanim kosztem. Wstępnie obliczył, że tartak zapewni mu nie tylko zwrot poniesionych nakładów, lecz da także odpowiedni zysk. Ten z kolei pozwoli mu w ciągu kilku miesięcy odłożyć taką kwotę, za którą może zakupić specjalistyczne maszyny i uruchomić parkieciarnię. Jeżeli uda mu się zrealizować ten pomysł, będzie godziwy zarobek i stała praca dla trzech, czterech osób. Chętnych znajdzie. Rodzina duża. Żeby tak jeszcze drgnęło w rolnictwie – marzy głośno. Na to też jest przygotowany. Ma oborę na 40 sztuk bydła, tuczarnię, dwa ciągniki, niezbędne maszyny.

Kwiekom nie zazdrości ani tych ich pieniędzy z wypału, ani tym bardziej tej harówki od świtu do zmroku. Interweniował w Urzędzie Gminy i w ochronie środowiska, to prawda. Niech się Kwiekowie dorabiają, niech się bogacą, ale nie kosztem zdrowia jego dzieci. Jeżeli rzeczoznawca orzeka, że retorty powinny być co najmniej kilometr od zabudowań, to tak musi być i nie ma zmiłuj się. Prawo jest jednakowe dla wszystkich. Prawo jest po to, żeby go przestrzegać, a nie naginać wedle własnego widzimisię.



Waldek Kwiek ma 21 lat. Trzy lata temu ukończył budowlankę w Sanoku i poszedł na „kuroniówkę.” Zarzeka się, że niczyjej łaski nie potrzebuje, ręki po cudze nie wyciąga.

— Winnickich zżera zazdrość i tyle — mówi. — Komisje ściągają, po sądach włóczą. A czego tu zazdrościć? Kanada im przysyła, Ameryka, Francja i ciągle mało. Krowa wejdzie w pole, sąd. Pies kurę potarmosi, sąd.

Kwiekowie od czterech lat wypalają węgiel drzewny. Interesem zarządza Waldek. Rozkręcił go ojciec, lecz przestało mu dopisywać zdrowie, przeszedł na rentę, a wypał przekazał synowi. Teraz jedynie dogląda gospodarki. Ziemi mają niespełna 40 hektarów, tyle, co większość w Żerden-ce. Maszyn rolniczych niewiele, bo na wielkie gospodarowanie nigdy się nie nastawiali. Kilka krów, świń, trochę drobiu na własne potrzeby.

— Jak się człowiek nachyra, to musi zjeść dobrze i do syta — tłumaczy Waldek.

Na podwórku stoją dwa traktory, gąsienicowy spychacz i duża ciężarówka. Mieli osobowego mercedesa, ale go sprzedali. Adam Kwiek jest zdania, że maszyna musi na siebie zarabiać.

— Do Merca trzeba było stale dokładać, bo służył jedynie do wygodnego wożenia własnej dupy. Traktorem też można jechać, no nie? — kwituje.

Przy wypale pracuje trzech braci. Jeżeli mają odpowiedni zapas drewna, w ciągu tygodnia wypalają 6 retort. Robota przy wypale jest na okrągło. Ścinka drewna, pocięcie go na metrówki, zwózka na plac wypału, ładowanie do retort, wypał, potem załadunek węgla w papierowe worki, następnie na ciężarówkę i do hurtownika.

— Ile wyjdzie? — zastanawia się Waldek, patrzy podejrzliwie, po czym uśmiecha się zagadkowo. — Co nieco się uzbiera.

— Pięć?... Cztery?... Trzy?... Za trzy to by się wam pewno nie opłacało robić, co?

— Jak by się nie opłacało, to byśmy nie robili — ucina domysły Waldek.

Kiedy mają większe zamówienie, biorą do pomocy „Ruska.” Mieszka pod lasem. Jest niewiele starszy od Waldka, ale już żonaty i gospodaruje na swoim. Mowę ma miękka, śpiewną i stąd to jego przezwisko. Z Kwiekami łączy go dalekie pokrewieństwo. Skoligacony jest także z Winnickimi. Zresztą Kwiekowie również. Matka Waldka, pochodzi z Winnickich. W Żerdence spokrewnieni są prawie wszyscy mieszkańcy.

Wieś liczy dziewięć domów. Jeden z nich od kilku lat stoi pusty. Jego właściciele, starzy Fedorukowie, zmarli, a ich syn, przed śmiercią rodziców, wyjechał do Kanady i nie zamierza wracać.

Fedorukowie wywodzą się w prostej linii od Winnickich. A jeśli od Winnickich, to łączą ich więzy pokrewieństwa także z Kwiekami. Tak to w Żerdence już jest i nikt tego nie zmieni. Obcych, czyli „zawłok”, jak ich nazywają, jest czterech. Ojciec Waldka przyjechał spod Tarnowa. „Rusek” z przemyskiego. Bracia Masłykowie spod Krosna.

Domy Masłyków stoją w dolinie, przy stawach. Młodszemu wiedzie się nie najgorzej. Dom niewielki, ale solidny i zadbane. Budowę zaczynał ojciec, kończył syn. Na podwórzu stoi traktor i kilka maszyn rolniczych. Gospodarza nie ma.

— W robocie, albo w lesie — mówi jego żona, matka sześciorga dzieci.

Było siedmioro. Jedno zmarło. Pierwsze dziecko urodziła, kiedy miała siedemnaście lat. Młoda, twarz w rumieńcach, błyszczące, ciekawe świata oczy i tylko język jakiś oporny, jakby jej nieposłuszny.

Dzieci są u teściowej, po drugiej stronie domu. Jedzą tam obiad.

— Trudno je nasycić — mówi babcia Alfreda dolewając wnukom zupy. — Konia z kopytami by zjadły. Dzień taki, czy co? — zastanawia się zawstydzona.

Z synową żyje jak pies z kotem. Znosi ją tylko ze względu na wnuki. Ma 68 lat, tysiąc zmartwień, milion<sup>1</sup> złotych renty i pełne ręce roboty w gospodarstwie i przy wnukach.

— Milion dla mnie samej to by było rajskie życie, ale co z nimi? — spogląda z z troskaniem na gromadkę dzieci przy stole.

Troskę o wnuki babcia Alfreda dzieli na dwa domy. Drugi stoi za strumieniem, na skraju lasu. Wokół domu krąży czujna, niespokojna kobieta. Do środka nie zaprasza. Wymawia się bałaganem. Akurat robiła porządki. Przestała wiała łóżka dzieci spod ściany na środek izby.

Dom ma trzysta lat, lecz już na pierwszy rzut oka widać, że to prowizorka. Wybudowali go bez zezwolenia. Wybudowali, to stwierdzenie na wyrost. Raczej ulepili. Pustak stawiany na pustak i spajany zwyczajną gliną. Gлина kruszy się, wypada i zostawia w ścianach dziury na wylot.

— Mąż pogonił krowy do lasu. Miał wrócić dwie godziny temu — denerwuje się kobieta — a tu go nie ma i nie ma. Nie daj Boże, żeby mu się coś przytrafiło. Jestem w chałupie z szóstką dzieci. Las podchodzi pod same okna — mówi ze strachem w oczach. — Takie różne rzeczy dzieją się teraz na świecie — usprawiedliwia swój niepokój. — Różne i straszne — dodaje.

Choruje drugi rok i to bardzo poważnie. Do lekarza nie idzie, bo jedzenie dla dzieci ważniejsze od jej lekarstw. Na jedno i na drugie pieniędzy nie wystarczy. Mąż próbował zatrudnić się przy ścinie w lesie. Nie przyjęli go. Żyją z tego, co urodzi ziemia i las. Ostatnie dwa lata były najgorsze. Cud, że przetrwali. Oprócz 4 ha pola mają dwa konie i dwie krowy. Miesiąc temu były jeszcze dwa cielaki, ale sprzedali je. Pieniądze poszły na podatek, ubezpieczenie,

---

1   obecnie 100 zł

ubrania dla dzieci. Hodują jedną świnkę. Trochę podrośnie, to się ją zakłuje i będzie omasta na dzień powszedni i kawałek mięsa od święta. Ale do tego jeszcze daleko. Dobrze chociaż, że w tym roku obrodziły kartofle. Jedzą je ciągle, z mlekiem, z kapustą, z kompotem – jak wypadnie. Troje dzieci chodzi do szkoły w Zahoczewiu. Niedaleko. Raptem 3 kilometry. Latem żadna odległość, gorzej zimą.

— Jak spadnie śnieg nie puszczę do szkoły, bo nie mam ich w co ubrać — mówi kobieta zduszonym głosem. — Kupić też nie kupię, bo nie ma za co.

Od kilku miesięcy dostaje na dzieci zasiłek w wysokości miliona złotych. W tym miesiącu zapłaciła rachunek za prąd, najstarszej córce kupiła buty i po pieniądzech. W ubiegłym roku wspomogli ją dobrzy ludzie. W tym, przymuszona ciężką sytuacją, chciała pójść po pomoc do opieki społecznej. Ale nie pójdzie. Zrezygnowała, kiedy usłyszała od znajomej, że w miastach są tacy, którzy szukają jedzenia w kubłach i na wysypiskach. Więc jak iść z tą świadomością do opieki i wyciągać rękę po pieniądze?

— Chyba bym się spaliła ze wstydu — mówi.

## Życie na kredyt

Michniowiec – mała miejscowość w Bieszczadach przy granicy z Ukrainą. Nikt obcy tutaj nie zagląda. Wieś leży na uboczu znanych turystom tras i szlaków. Dwa autobusy dziennie i kiepska, wyboista droga, nie zachęcają do odwiedzin tych stron.

Jeszcze przed rokiem mówiło się głośno o otwarciu w Michniowcu granicy dla ruchu pieszego. Z chwilą uruchomienia przejścia kolejowego w Krościenku sprawa ucięła. Umarła również, w sposób naturalny, idea współpracy przygranicznych miejscowości lansowana przez twórców Euroregionu Karpaty.

— Szkoda — nie kryje rozczarowania Andrzej Dryja, który mieszka w Michniowcu od urodzenia. — Dla nas byłaby szansa na lepsze życie.

Jego żona, Janina, góralka spod Bukowiny Tatrzańskiej, prowadzi jedyne we wsi sklepy. Handel idzie kiepsko. Na dowód wyciąga gruby brulion zapisany, strona po stronie, słupkami cyfr. Cała wieś liczy 35 domów i 173 mieszkańców. Ponad połowę stanowią pracownicy dawnego PGR-u, przejętego później przez „Igloopol”. Stałą pracę mają jedynie nauczyciele miejscowej szkoły. Tych, którzy za towar płacą gotówką, Dryjowa może wyliczyć na palcach jednej ręki. Jeden z jej klientów nie płaci od kilku miesięcy. Towar daje mu jednak nadal, bowiem jest szansa, że dług może niebawem spłacić. Podobno dostał stałą pracę w lesie.

— Takie czasy, taki rynek — rozkłada bezradnie ręce.

Sklepy są jedynym źródłem utrzymania siedmioosobowej rodziny Dryjów. Siedem gąb przy stole w dzisiejszych czasach to nie jest powód do żartów. Jest nadzieja w rolnictwie, ale Dryjowie nigdy się nim nie zajmowali. Zresztą, i tak nie mieliby na czym gospodarować. Całą ich ziemię stanowi dziewięćdziesiąt działka na której stoi dom. Duży.

Fakt. Dzisiaj okazuje się, że może nawet za duży na ich potrzeby. Trzykondygnacyjny z licznymi balkonami, loggiami, wykuszami. Parter zamieszkały, góra ciągle jeszcze w stanie surowym. Okna na piętrze i poddaszach zabite deskami. Całe piętro zabezpieczone przed wiatrem i deszczem czeka na lepsze czasy. Kiedy nadejdą i czy w ogóle nadejdą, trudno zgadnąć. Dom budowany dziesięć lat temu z myślą o przyszłości sytej i dostatniej, pożarł wszystkie oszczędności Dryjów i znaczny kredyt bankowy. Spłacają go i spłacać będą pewnie przez długie lata. Janina obawia się, że przejdzie na ich dzieci.

— Wtedy było inaczej — tłumaczy Andrzej. — Byłem rzemieślnikiem. Szyłem pantofle, sandały. Szły jak woda. Za te pantofle kupiłem wszystkie materiały. Zimą się szyło, a latem przyjeżdżało się do Michniowca i budowało.

Dom w stanie surowym postawili w ciągu jednego lata. Pomagała im rodzina Janiny. Jej ojciec i bracia są na Podhalu wziętymi fachowcami. Dzisiaj, w tych trudnych dla Dryjów czasach, też o nich nie zapominają. Ojciec i brat są w USA, pracują na amerykańskich budowach, przysyłają im paczki, dolary.

— Sto, czasem dwieście — mówi Janina. — Za to chałupy nie dokończymy, ale dobre i to. Każdy grosz się liczy.

Andrzej jest optymistą. Wierzy, że lepsze czasy dla nich na pewno nadejdą.

— Są dwie szansy — twierdzi z przekonaniem. — Turystyka i otwarcie granicy na wschód.

— Na Ukrainę? — krzywi się Ludwik Pejski. — Przecież tam większa nędza niż u nas.

Dryja stawia za domem dobudówkę z drewna. Pejski wynajął się u niego do pomocy. Przepracuje kilka dniówek i trochę gotówki wpadnie mu do kieszeni. Na inną robotę nie ma tutaj co liczyć. Wynajmuje się często. Kilka dni pracuje u jednego przy ciesiołce, kilka następnych u drugiego przy murarce. Żadną pracą nie gardzi. Potrzeba jest taka,

wyjaśnia. Rodzina liczna. Ośmioro dzieci na utrzymaniu. Dwadzieścia dwa lata przepracował w państwowym zakładzie. To są tylko te lata udokumentowane. Reszta zniknęła z jego akt osobowych w tajemniczy sposób. Gdyby nie to, miałby sześć, albo i siedem lat więcej. Najpierw pracował w PGR, potem w „Igloopolu”. Zarobki były nawet jak na tamte czasy liche, ale za to duże mieszkanie w bloku z wygodami i symbolicznym czynszem. Dzierżawił niewielką działkę, trzymał krowę, trochę kur, kaczek, w ciągu roku bił trzy świnki. Na jedzenie się nie skąpiło. Trzy lata temu państwowe gospodarstwo upadło. Pejski wziął odprawę i przeszedł na rentę. Teraz u niego krucho. Bardzo krucho i żadnych widoków na odmianę nie widać. Zajmowane w po-igloopolowskim bloku mieszkanie może wykupić w każdej chwili na własność za 4,5 miliona<sup>1</sup> złotych.

— Siedemdziesiąt cztery metry kwadratowe za cztery i pół miliona — mówi — a i to mnie nie stać. Mam cztery miliony zaległego czynszu. To już jest osiem. Uzbierać takiej sumy z miesiąca na miesiąc nie da rady, bo mojej renty brakuje na życie. Co dorobię na boku, też dokłada się do życia.

Pomimo tych trudności i kłopotów Pejski jest optymistą. Wierzy w siebie i w przyszłość. Buduje się. Domek będzie murowany, ale niewielki, parterowy. Budowa idzie jak po grudzie. Trzy lata temu wylał fundamenty, rok później pociągnął mury i na tym musiał poprzestać. Zabrakło gotówki. Ściany nakrył słomą, żeby zabezpieczyć je przed deszczem i śniegiem. W ubiegłym roku zrobił fundament pod oborę. W tym realizację swoich planów musiał przesunąć w bliżej nieokreśloną przyszłość. Uratowałyby go kredyty, lecz na takich bandyckich, jak mówi, warunkach, brać go nie zamierza. Poczeka. Może przyjdą lepsze czasy. Po urzędach nie chodzi, ręki po pomoc nie wyciąga. Ma żal do urzędników z gminy. Na wiosnę Zarząd przydzielał nieodpłatnie z

---

1   obecnie 450 zł

PZH jałówki. W pierwszej kolejności mieli je dostać pracownicy byłego „Igloopolu.” W praktyce okazało się, że dostał tylko Rachwalski. Podobno dla pozostałych zabrakło. Trudno. Zabrakło, to zabrakło. Ludzie pogodzili się z tym. Po jakimś czasie dowiedzieli się, że dostali tacy, którzy z „Igloopolem” nie mieli nic wspólnego. Pejski ubiegał się także o bezprocentowy kredyt z funduszu gminy. Jego nazwisko znalazło się na liście oczekujących na 27 miejscu. Po kilku tygodniach dostał pisemne zawiadomienie, że kredytu nie dostanie z powodu wyczerpania się funduszu.

— Jeden dostał na zakup konia — mówi — i do dzisiaj go nie kupił. Kredytu nie spłaca, bo nie ma z czego. Teraz gmina przyznała mu z opieki społecznej zapomogę na cały rok i ściąga z niej swoją należność. Głupio wyszło, co? A no, głupio. Ale ja to rozumie. Gmina nie może być taka hojna, żeby mu te osiemnaście milionów podarować, no nie? — dodaje.

„Igloopol” przed rozwiązaniem zatrudniał 17 pracowników. Majątek miał spory: 514 ha ziemi, 1000 sztuk owiec, maszyny, niezbędny sprzęt, obory i różnego rodzaju budynki. W infrastrukturze przez ostatnie cztery lata po jego likwidacji zmieniło się niewiele. Opustoszały budynki gospodarcze i pola. Na kilkuhektarowym placu wyłożonym betonowymi płytami, ogrodzonym siatką, czystym i zadbanym stoi 5 boksów. Długie, 64 metrowe budynki wyglądają równie porządnie jak ich otoczenie. Całość wziął w dzierżawę jesienią ubiegłego roku właściciel stadniny koni z Zardwórze. Plany ma ambitne.

Dawni pracownicy, mieszkający nieopodal fermy, wyrażają się o jego poczynaniach z uznaniem, chociaż nie brak również głosów krytycznych. Wszyscy liczą na zatrudnienie. Najbardziej ci, którzy podobnie jak Pejski, mieszkają w blokach, są obarczeni licznymi rodzinami i nie mają szans na znalezienie jakiegokolwiek stałej pracy w pobliżu miejsca zamieszkania.



Tomaszewscy zajmują jednopokojowe mieszkanie. Wiesiek ma 29 lat, jego żona 25. Gdyby chcieli wykupić mieszkanie na własność, musieliby wyłożyć od ręki 23 miliony. Nawet o tym nie myślą. Bo skąd wziąć takie pieniądze. Mają pięcioro dzieci i żyją z zasiłku.

— Wszystkiego milion dwa tysiące — mówi z goryczą Wiesiek — to można sobie wyobrazić, jak my żyjemy i co jemy na co dzień.

Wiesiek czasem gdzieś dorobi. Najczęściej w lesie. Praca żadna, bo dorywcza, na umowę-zlecenie. Dzisiaj jest, jutro jej nie ma. Całe szczęście, że mają ogródek i krowę. Dzięki temu przez ostatnie dwa lata jakoś sobie radzili. Możliwe, że od przyszłego miesiąca poprawi się im i to na dłużej. Wiesiek dogadał się we wsi z jednym z gospodarzy, wynajmie od niego konie i będzie woził z lasu papierówkę i metrówki. Zarobek, zgodnie z ustaleniami, podzielią między siebie po połowie.

Tomaszewscy swoją przyszłość widzą czarno. Najlepiej byłoby wyjechać stąd i zacząć nowe życie gdzie indziej.

— Tylko gdzie jechać? — zastanawia się Wiesiek. — I z czym? Na to trzeba mieć grubszą gotówkę.

Dzisiaj nie stać go nawet na opłacenie bieżącego czynszu, nie mówiąc już o zaległościach. Całe szczęście, że likwidator jest ludzki i nie grozi im eksmisją. Dla nich była to prawdziwa tragedia. Pracy się nie boją. Podejmą każdą, bez względu na jej charakter, byleby niedaleko domu. Wiesiek ciągle wraca w myślach do decyzji, którą podjął sześć lat temu. Mieszkali z rodzicami, prowadzili z nimi wspólne gospodarstwo. Zgody między nimi nie było, to prawda. Jakoś się im to wspólne życie i gospodarowanie nie układało. Ciągle wybuchały nieporozumienia, dochodziło do sprzeczek i kłótni.

— Młody byłem, porywczy i głupi — przyznaje. — Trzeba mi było położyć uszy po sobie i nie unosić się hono-

rem. Dzisiaj nie musielibyśmy wycierać cudzych kątów. Ale kto wtedy mógł przewidzieć, że PGR-y się rozlecą.

Kilkadziesiąt kroków od bloku, w którym mieszkają Tomaszewscy, stoją murowane bliźniaki. Jeden z nich, położony bliżej drogi, należy do Krzysztofa Bugaja. Bugaj kupił go na własność jako pierwszy spośród byłych pracowników „Igloopolu.” Pracę ma stałą, tyle, że daleko od domu, ponad 200 km w jedną stronę. Do Michniowca przyjeżdża raz, czasem dwa razy w miesiącu. Dom i obejście wymagają męskiej ręki.

— Ciągłe trzeba coś poprawiać, naprawiać, zmieniać, remontować. W domu same kobiety, żona i dwie córki, więc nic dziwnego, że z takimi pracami sobie nie poradzą — tłumaczy Bugaj.

Siedzi na schodach przed domem, odpoczywa. Przed chwilą skończył grodzić obejście drewnianym płotem. Będzie go musiał jeszcze pociągnąć ksyladekortem, żeby zabezpieczyć drewno przed wilgocią. Ale nie śpieszy się. Zdaży. Do wieczora daleko.

Jest wczesne, sobotnie popołudnie. Dochodzi pierwsza. Wokół bloku i parterowych bliźniaków biegają dzieci. Bawią się w chowanego. Entliczek, pentliczek, czerwony guziczek — wykrzykuje dziewczynka w szarym, przyciasnym dresie. Gromadka rozbiega się i znika wśród zabudowań. Sąsiad Bugaja grzebie na swoim podwórku w rozbebeszonym silniku dużego fiata. Mały, kudłaty pies ugania się za kurami. W rowie, po drugiej stronie drogi, kobieta rwie pokrzywy gołymi rękami. Droga jedzie „żuk”. Zatrzymuje się. Trąbi. Handel obwoźny – pieczywo. Przy samochodzie ustawia się kilkuosobowa kolejka. U Dryjów za bochenek chleba trzeba dać 200 zł<sup>1</sup> więcej.

---

1   obecnie 2 gr.

## Gdzie ta bieda, gdzie ten głód

W Bieszczadach. Tak twierdzą ludzie, którzy powołali Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom Bieszczadzkiem. Bieda nie jest nachalna. Nie rzuca się w oczy. Nie paraduje ulicami Leska, Ustrzyk, Zagórza. Nie zobaczy się jej w miejscowościach położonych przy głównych szlakach. Bieda chowa się w głębokich Bieszczadach. Żyje samotnie, w ukryciu, za niejednymi drzwiami.

Żeby ją ujrzeć, trzeba wiedzieć, do których drzwi zapukać. W stowarzyszeniu wiedzą. I to bardzo dokładnie. Dysponują bowiem wynikami badań środowiskowych i wywiadów, które przeprowadzili studenci pod kierunkiem prof. Muszyńskiego i Kwiecińskiego. Badaniami objęto całe Bieszczady – 10 gmin. Prowadzący je w poszczególnych gminach, samodzielni pracownicy naukowcy uniwersytetów z Poznania i Torunia, przedstawią niebawem na sesji naukowej szczegółowe wyniki.

Obraz, jaki wyłania się z ich raportów, jest szokujący. Dziesiątki nazwisk, adresów, opisów tragicznej sytuacji materialnej, warunków mieszkaniowych, upokorzeń, bezsilności i bezradności ludzi pozostawionych samym sobie, bez możliwości jakiegokolwiek odmiany swojego losu, czy choćby cienia nadziei na jego odmianę w przyszłości.

Elżbieta Cichy, prezes stowarzyszenia, indagowana o zezwolenie na opublikowanie choćby drobnych fragmentów raportu, zdecydowanie odmawia. Uważa, że są zbyt drastyczne, zbyt osobiste. Jeżeli już, to wyłącznie za zgodą zainteresowanych osób.

Stanisław Orłowski, jej zastępca, wyraża zgodę, lecz pod warunkiem, że obędzie się bez nazwisk, adresów oraz z wyłączeniem rodzin zagrożonych patologiami. Ale nawet z tych szczątkowych fragmentów, najmniej drastycznych,

wybranych z raportu celowo, wyziera bezmiar ludzkiego nieszczęścia:

*...Samotna matka wychowuje szóstkę dzieci. 14-letni syn chodzi do szkoły specjalnej. Oprócz nich ma pod opieką dwie upośledzone siostry. Przedsiónek domu z klepiskiem przypomina chatę w skansenie. Na gwoździach pozawieszane jakieś szmaty przypominające z wyglądu odzienie. Żadnych mebli, sprzętów. Podobnie w kuchni. Pokój z łózkami zastłanymi od miesięcy niepraną pościelą i tak brudną zasłoną oddzielającą piec od reszty pomieszczenia, że nie można rozpoznać koloru. Jedyнным miłym akcentem jest małeńkie okno z firanką i kwiatem w doniczce...*

*...Czwórka dzieci. Oboje rodzice bezrobotni. Sześciu-osobowa rodzina żyje z renty i dorywczej pracy ojca w lesie. Mieszkają w służbowym mieszkaniu, w wałącym się domu, w jednym pokoju. Brak pieniędzy na podstawowe potrzeby. Najmłodsze, niespełna roczne, chore na krtań. Ogólna bieda i nieporadność, ale uderza bardzo serdeczny stosunek matki do dzieci, a także pogoda tych dzieci...*

*...Sześcioro dzieci. Najstarsze chodzi do „zerówki”. Rodzice bezrobotni, bez prawa do zasiłku. Mąż próbuje dorabiać dorywczo. Chwyta każdą pracę. Brakuje na podstawowe rzeczy. W jednym pokoju żyje 8 osób...*

*... Dom brzydki, szary, 32 m powierzchni. W pokoju brakuje miejsca na rozłożenie łóżek dla dzieci. Najstarsze chodzi do „zerówki”, najmłodsze matka karmi piersią. Dwuletnia dziewczynka prosi matkę o picie. Dostaje wodę, bo nic innego nie ma. O piętnastej będzie dojona krowa, to będzie mleko. Ta krowa to jedyny majątek rodziny...*

— Pomagamy rodzinom, które mają więcej niż pięcioro dzieci — wyjaśnia Elżbieta Cichy. — Mamy i takie, w których jest ich po dziesięcioro, jedenaścioro. Nie są to przypadki odosobnione. Opieka społeczna robi dla tych rodzin wszystko, co jest w jej mocy, lecz jest to kropla w morzu potrzeb. Gdy jedno z rodziców jest bezrobotne, drugie nie

ma pracy wcale i trzeba kupić jednaście par butów, to kto temu nastarczy? A ile trzeba chlebów, margaryny, dżemu, żeby taką gromadkę nakarmić, a przecież miesiąc ma tych dni trzydzieści. To jest wprost nie do opowiedzenia, trudno to pojąć.

— Przyczyn takiej sytuacji jest wiele, lecz z przeprowadzonych badań wcale nie wynika, że jest nim, jak się powszechnie sądzi, alkoholizm — mówi Stanisław Orłowski. — Dotyczy on około dziewięciu procent badanych. Głównym powodem jest bezrobocie. Ono rodzi frustrację, zniechęcenie, rozczarowanie rzeczywistością, a w konsekwencji życiową bezradność i popycha często w stronę picia. Ludzie chcą pracować. Gdzie jest jakakolwiek stała praca, cała rodzina rzuca się na nią, chcąc wykorzystać swoją szansę. Przykłady można mnożyć. Kiedy jest praca sezonowa w lesie, wiele dzieci z tych rodzin nie idzie wtedy do szkoły, lecz z ojcem lub matką do pracy w lesie. Nie można więc tej społeczności widzieć jako pijackiej. Jest to obraz fałszywy i krzywdzący.

Ludzie ze stowarzyszenia uważają, że problemu bieszczańskiej biedy nie należy uogólniać. Do każdego przypadku trzeba podchodzić inaczej. Bieda jest indywidualistką, wypadkową losów pojedynczego człowieka i pojedynczej rodziny, sumą uwarunkowań społecznych, sąsiedzkich, osobistego stanu posiadania i zależy od miejsca zamieszkania. Im dalej w głąb gór, tym gorzej, tragiczniej. Najtrudniejsza sytuacja panuje we wsiach gmin przygranicznych – Komańczy, Lutowisk i Czarnej. Ten stan spowodowała likwidacja przedsiębiorstw państwowych, spółdzielni, małych zakładów, PGR-ów. Zatrudniani tam ludzie byli pracownikami najemnymi, żyli z pensji, od wypłaty do wypłaty. Większość z nich jest bez zawodu, z podstawowym wykształceniem. Zdarza się, że wielu ma ukończone zaledwie kilka klas podstawówki. Nie brakuje ociężałych i upośledzonych umysłowo w różnym stopniu. Obarczeni licznymi rodzina-

mi, niezaradni życiowo, nie potrafią znaleźć sobie miejsca w nowych warunkach ekonomicznych.

Pracownicy opieki społecznej z bieszczadzkich gmin twierdzą, że gdyby nawet praca była, to szanse na zatrudnienie tych właśnie ludzi są znikome, właściwie żadne. Powód jest oczywisty. Brak wykształcenia, niskie kwalifikacje, żadnych umiejętności praktycznych.

— Żal dzieci — mówi Elżbieta Cichy. — One są najbardziej pokrzywdzone. Zaś najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że bieda zrodzi nową biedę, która jeszcze mocniej, niż ta obecna, da o sobie znać w przyszłości, kiedy te dzieciątka dorosną i zaczną wchodzić w samodzielne życie, zakładać rodziny, co przecież jest nieuniknione. Osobiście wątpię, żeby odnalazły swoje miejsce w nowym społeczeństwie. Bez pomocy z zewnątrz jest to niemożliwe. Nasze stowarzyszenie może ulżyć ich obecnej doli, wspomóc doraznie, ale ich dzisiejsza sytuacja, jak również ta, którą gotuje im przyszłość, sprawia, że nie jesteśmy w stanie jej odmienić, bo takich możliwości zwyczajnie nie mamy.

Stowarzyszenie Pomocy Dzieciom Bieszczadzkim powstało w listopadzie 1993 roku. Założyło je 37 osób różnych profesji. Są wśród nich nauczyciele, lekarze, prawnicy, pracownicy pomocy społecznej. Dwa lata działalności stowarzyszenia, pomimo pewnych błędów i potknięć, jego członkowie uznają za udane. Pracują społecznie. Nie mają etatów, biur, gabinetów.

— Nie ukrywamy, że na początku nie szło nam najlepiej — przyznaje Elżbieta Cichy. — Nasz ruch był spontaniczny, oddolny. Nikt z nas nie miał doświadczenia. Kiedy pierwszy raz zaapelowaliśmy do opinii publicznej o wsparcie, ludzie czyścili sobie szafy. Nazywam to po imieniu, bo taka jest prawda. Przysyłali rzeczy stare, brudne, poplamione, dziurawe. Przychodziła również przeterminowana żywność. Wstyd było takie dary rozdawać, więc zniszczyliśmy to wszystko. Sprawę nagłośniono w niektórych gazetach lo-

kalnych. Rozpętała się burza, że ludzie czystych serc przysyłają dary, a my je palimy.

— Po miesiącu naszej akcji obraziła się na nas wojewódzka opieka społeczna i ówczesni wojewodowie — mówi Stanisław Orłowski. — Organizowali media, żeby przekonać opinię publiczną, że nic złego w Bieszczadach się nie dzieje, biedy nie ma, władza jest dobra, dba o człowieka, daje na opiekę duże pieniądze. W lutym dziewięćdziesiątego czwartego roku telewizja centralna rzuciła hasło: „Głód w Bieszczadach”. Zrobiono sensację. Nastąpił najazd dziennikarzy. Przyjeżdżali do Leska, Ustrzyk i tu utykali. Były ferie, dzieci w szkołach nie było, zima sroga, zasy py duże. Dotrzeć do wiosek, gdzie diabeł mówi dobranoc, było czystą niemożliwością. Wracali do swoich redakcji w wielkich miastach i pisali: nic się nie dzieje, głodu w Bieszczadach nie ma. Przy głównej trasie między Sanokiem a Ustrzykami biedy nie zobaczyli, bo jej tu po prostu nie ma.

— Na święta rozdawaliśmy dzieciom paczki — opowiada Elżbieta Cichy. — Były w nich różne produkty żywnościowe. Zdarzyły się dwa przypadki, że ojcowie alkoholicy wymienili je u miejscowych sklepikarzy na wódkę. Zrobił się szum: stowarzyszenie utrzymuje pijaczków. Daliśmy dzieciom w dobrej wierze. Stało się tak, jak się stało. Na to wpływu już nie mieliśmy, ale czy to oznacza, że mieliśmy tym dzieciom nie dawać?

— Trudno, w przyszłości będziemy o takie doświadczenia mądrzejsi — mówi Orłowski. — Spójrzmy raczej na ogólne aspekty naszej działalności. W pierwszym roku było sześć miliardów<sup>1</sup> złotych. Na samo dożywianie w szkołach poszło półtora miliarda. Objętych nim było ponad 60 procent szkół. Pomogliśmy dzieciom. Konsekwentnie robiliśmy to, co sobie założyliśmy powołując do życia stowarzyszenie. Zdobyliśmy prawdziwych, oddanych sprawie so-

---

1   obecnie 600 tys.

juszników. Działamy dalej pomimo różnych przeciwności i tylko to powinno się liczyć.

W tym roku stowarzyszeniu przybył kolejny sojusznik o wielkim moralnym autorytecie – Janina Ochojska i jej fundacja.

— Jasia i Staszek wystąpili w telewizyjnej „dwójce” z apelem o pomoc dla bieszczadzkich szkół i dzieci. Odzew był natychmiastowy — opowiada Elżbieta Cichy. — W ciągu czterech dni otrzymaliśmy kilkanaście przekazów pieniężnych od osób prywatnych, wiele listów, telefonów i faksów od firm. Codziennie urywają się u nas telefony z pytaniami, ofertami, deklaracjami. To cieszy, że nie jesteśmy w działaniu osamotnieni, że ten naród ma serce i sumienie.



## Przyjedź po mnie, mamó

Staś ma siedemnaście lat. Należy do grupy najstarszych wychowanków sanockiego Domu Dziecka. Szesnastoletnia Beata przebywa w sanockiej placówce trzeci rok. Podobnie jej młodsza siostra, Karina. Żadne z nich nie spędzi nadchodzących świąt w rodzinnym domu.

Staś już się z tym pogodził. Karina nie. Tęskni za domem i mamą. Beata, w przeciwieństwie do Kariny, mówi otwarcie, że do matki nie wróci. Zerwała z nią wszelkie kontakty. Obraz rodzinnego domu jawi się Beacie jako pasmo nieustannych udręk i upokorzeń. Kiedy chodziła do „zerówki”, ojciec wyjechał na Zachód skuszony mirażem łatwego życia. Przed wyjazdem obiecał, że kiedy tylko tam się urządzi, ściągnie ich do siebie.

Po kilku miesiącach matka otrzymała od niego wiadomość, która wprawiła ją w rozpacz. Załamała się i zaczęła pić. O towarzystwo do kieliszka w małym miasteczku nie trudno. O pocieszycieli również. Dom Beaty i Kariny zamienił się w melinę. Któregoś dnia pojawił się „wujek Adam” i został u nich na stałe. Beata znenawidziła go od pierwszego spotkania. Podobnie starszy od niej o cztery lata brat. Zaczęły się konflikty. Matka stawiała zawsze po stronie konkubenta.

— Brat wagarował, uciekał z domu, spał w lesie, tułał się po obcych — opowiada Beata.

Kiedy osiągnął pełnoletność, pojechał za ojcem do Niemiec. Ojczymowi ubył nieprzejednany przeciwnik. Wszystko teraz skupiło się na Beacie. Odreagowała błyskawicznie. Wagary, ucieczki, nadzór kuratora, w końcu decyzja o umieszczeniu jej w Domu Dziecka i wniesienie do sądu sprawy o pozbawienie matki praw rodzicielskich. Do ostatecznego rozstrzygnięcia droga jednak jeszcze daleka.

Za dwa lata Beata będzie osobą pełnoletnią. Swoją przyszłość już sobie ułożyła. Czasu na planowanie miała wiele. Kiedy tylko ukończy szkołę, pojedzie do brata. Dostał w Niemczech kartę stałego pobytu, samodzielne mieszkanie, uczy się języka. Wkrótce otrzyma legalną, dobrze płatną pracę. Beata ufa mu bezgranicznie. Nie dopuszcza do siebie najdrobniejszej nawet wątpliwości, że mogłoby być inaczej.

— Bo on mnie nie skrzywdzi — mówi z przekonaniem, a po krótkiej chwili wahania dodaje. — Ani mnie, ani Kariny.

Wychowawczyni, Maria Stetkiewicz, zna sprawę Beaty i Kariny w szczegółach, lecz na temat dziewczynek wypowiada się ostrożnie. Grzebanie w przeszłości swoich podopiecznych i publiczne roztrząsanie ich życia uważa za nieprzyzwoite i niemoralne. Dziewczynki przeżyły gehennę, więc mają prawo do intymności. Beata dźwiga ciężar, pod którym załamałby się dorosły człowiek, a co dopiero takie dziecko jak ona. niesprawiedliwość losu polega na tym, że dziewczynka wejdzie w dorosłość z balastem, którego nie pozbędzie się do końca życia.

Pani Jadzia opiekuje się najmłodszymi dziećmi, wśród których jest rodzeństwo: czteroletni Marcinek i pięcioletnia Ania. Pochodzą z podsanockiej wsi. Zagłodzone, obdarte, porzucone na ulicy, zostały zabrane do szpitala. Po półrocznym leczeniu trafiły do sanockiego Domu Dziecka.

— Kontakt z nimi był niezwykle trudny — mówi wychowawczyni. — One po prostu nie umiały mówić. Przez siedem miesięcy nie odzywały się do nikogo.

Dwa lata trwała walka o przywrócenie im normalnego dzieciństwa. Dzisiaj Ania i Marcinek nie odbiegają rozwojem psychofizycznym od swoich rówieśników z normalnych rodzin. Ale gromadzą się nad nimi chmury. Rodzice, alkoholicy, zdołali jakimś cudem przekonać sąd i odzyskali prawa rodzicielskie.

— Być może, że się zmienili, zaczęli nowe życie. Tego jeszcze nie wiemy — mówi opiekunka Marcinka. — Dałby Bóg, żeby tak było — dodaje tonem, w którym pobrzmiewa i nadzieja, i powątpiewanie.

Trudno jej się dziwić, bowiem w Domu Dziecka widziała już niejedno. W sądzie liczą się fakty, nawet te najdrobniejsze. Żeby odzyskać prawa rodzicielskie, wystarczą niekiedy częstsze niż zazwyczaj kontakty rodziców z dziećmi. Rodzice Marcinka i Ani przyjeżdżają ostatnio coraz częściej, zabierają je także do domu. Po ostatnich świątach dzieci wróciły do ośrodka czyste, zadbane, pachnące. Ten krótki pobyt w domu rodzinnym zmienił chłopca diametralnie. Płakał, chciał wracać z rodzicami. Przez kilka następných dni opowiadał wszystkim o swojej mamie, ojcu i małym piesku, którego dostał od nich w prezencie. I pomyśleć tylko, że jeszcze przed świątami, kiedy pani Lodzia odprowadzała jego i Anię do przedszkola, zapewniał: „*Ty jesteś naszą mamą, innej nie mamy.*”

W gabinecie dyr. Jana Chrobaczyńskiego wisi na ścianie hasło: „*Nie można być wybrednym w wyborze rodziców*”. Chrobaczyński umieścił je tam celowo. Kiedy przychodzi do niego rodzic, sadza go w fotelu na wprost hasła i opuszcza na kilka minut gabinet wymawiając się pilną sprawą.

— Niech posiedzi, napatrzy się. Może coś go tknie i zacznie się zastanawiać — wyjaśnia. — A jeśli nie, to niech przynajmniej się dowie, co o nim myślę.

Chrobaczyński zarządza Domem Dziecka półtora roku. Rodowity sanoczanin, absolwent dwóch uczelni – ukończył pedagogikę w rzeszowskiej WSP i studia podyplomowe z psychologii i psychoterapii na UJ. Niebawem czeka go obrona doktoratu na UMCS w Lublinie. Ma znakomite przygotowanie zawodowe i, co również istotne, nowatorskie poglądy na temat organizacji i zarządzania Domami Dziecka.

— Oświata jest chora — twierdzi. — Jeżeli w roku nazywanym szumnie Rokiem Rodzicielskim pokazuje się w telewizji placówkę podobną do naszej, która jest zaprzeczeniem rodziny, to dla mnie jest to co najmniej paradoks. Organizacja, struktura, przestarzały statut i instytucjonalność sprawiają, że Domy Dziecka zupełnie nie przystają do obecnej rzeczywistości.

Sanocki Dom Dziecka jest jednostką budżetową. Pieniądze na utrzymanie dostaje z Kuratorium. Zapewniają one jedynie niezbędne minimum, jeżeli chodzi o zakup żywności, odzieży i przyborów szkolnych dla wychowanków. O dodatkowe środki Chrobaczyński musi zabiegać szukając wsparcia wśród sanockich zakładów, instytucji, osób prywatnych.

Głównym sponsorem Domu Dziecka, można by powiedzieć, strategicznym, jest „Beefsan”, dawne Zakłady Mięsne.

— Dzięki nim mamy darmowe ogrzewanie — mówi Chrobaczyński. — Nasze szczęście polega na tym, że sąsiadujemy z „Beefsanem”. Ta bliskość to dla nas oczywiście dobrodziejstwo.

Pomoc materialną, sprzętową, zakup wyposażenia, bieżące naprawy urządzeń, świadczą na rzecz Domu Dziecka między innymi: spółdzielnia mieszkaniowa „Traugutt”, przedsiębiorstwo „Sezam”, „Stomil”, Niezależne Forum Biznesu, „Autosan”, spółka „Albud”, ZHP, SPB, PSS-Społem. Wspomaga sanocki sierociniec TPD, Komenda Rejonowa Policji oraz Straż Graniczna, która przekazała ostatnio komputer z pełnym oprzyrządowaniem. Są również dobrodziejce indywidualni. Tych dyr. Chrobaczyński liczy w dziesiątki.

— Ja bym bez nich nie istniał — mówi. — Mógłbym siedzieć na swoim stołku i narzekać, że na nic nie ma pieniędzy.

Potrzebny był parkiet. Zadzwoił do tartaku w Trepczy. A ma pan czym zapłacić? – padło pytanie. Zaczął się zwijać i tłumaczyć. Niech pan przyjedzie, jakoś to załatwimy, powiedzieli. Finał był taki, że parkiet dostał za darmo.

— Jeżeli pan Gagatko wykonuje naszym dzieciom za darmo okulary, a pan Bartkowski z przyjaciółmi organizują imprezę z ogniskiem, zabawą, prezentami za zwykle dziękuję, to ja mam prawo sądzić — mówi — że ci ludzie wiedzą, co to jest empatia<sup>1</sup>.

Przychodzą do Chrobaczyńskiego małżeństwa w różnym wieku, przynoszą zabawki, książki, ubrania. Kiedy prosi ich o wpisanie się na listę darczyńców, odmawiają, ponieważ chcą pozostać anonimowi. Właściciel hurtowni „Miś” wyposażył we wrześnie wszystkich wychowanków w zeszyty i komplety przyborów szkolnych. Nie wziął ani złotówki. Niech wam dobrze służą, powiedział na odchodne. Właściciele kantoru z centrum miasta i sklepu obuwniczego „Gosia”, przynieśli po kilka milionów<sup>2</sup> złotych, jak powiedzieli, na drobne wydatki. Podobnie zresztą postąpiło kilku innych właścicieli okolicznych sklepów.

Pomoc jest różna – rzeczowa, pieniężna. Większa i mniejsza. Chrobaczyński nie ocenia jej wartości ilością złotych, lecz w kategoriach moralnych. Ważna, bo pozwalająca podnieść standard życia dzieci skrzywdzonych przez los. Cenna, bo płynąca ze szczyrych serc ofiarodawców.

— Ten rok rozpoczął się bardzo pomyślnie — dodaje. — Może dlatego, że jest to Rok Psa, czas istoty, której los jest tak często podobny do losu wychowanków Domów Dziecka.

— Ja wierzę — mówi szefowa kuchni Małgorzata Leszczyk — że Opatrzność wynagrodziła po części tym dzieciom doznane krzywdy i upokorzenia.

---

1 umiejętność wczuwania się w położenie innej osoby

2 obecnie kilkaset złotych

Mówiąc te słowa, miała na myśli świąteczne Koło Fortuny, które wsparło sanocki Dom Dziecka wygraną w postaci sprzętu wartości 200 milionów<sup>3</sup> złotych oraz dwutygodniowymi wczasami dla wszystkich jego wychowanków w Krynicy.

— Jeżeli była w tym ręka Opatrzności, to pragnęłabym, żeby czuwała ona nad naszym domem i wszystkimi domami dziecka bez ustanku — dodaje pani Lodzia.

Sanocki Dom Dziecka zlokalizowany jest przy ul. Mickiewicza, w budynku pamiętającym czasy Polski międzywojennej. Piętrową kamienicę z czerwonej cegły zbudowano w 1923 roku. Mieścił się w niej sierociniec prowadzony przez siostry Józefitki. Po II wojnie światowej budynek został znacjonalizowany i przekazany władzom oświatowym. Te przeznaczyły go na Dom Dziecka. Przez kilkadziesiąt lat przebywały w nim sieroty.

Praca wychowawcza sanockiego Domu Dziecka prowadzona jest w trzech grupach: przedszkolnej, koedukacyjnej i rodzinnej. Na parterze budynku mieści się jadalnia, kuchnia z zapleczem gospodarczym, łaźnia, pomieszczenia sanitarne i biurowe. Ciasnota jest ogromna. Na piętrze znajdują się sypialnie dzieci, urządzone skromnie, lecz za to zgodnie z ich wolą i gustami.

— Nie ma w naszym domu niczego szczególnego — oświadcza dyr. Chrobaczyński. — Mamy sad i ogród, korzystamy więc ze swoich owoców i warzyw, co pomniejsza koszty stawki żywieniowej. Z zewnątrz wyglądamy tak, jakbyśmy byli jedną wielką rodziną. Ale ja w sukcesy takiego modelu wychowawczego nie wierzę. Nie widzę w nim przyszłości i staram się to zmienić. Czy mi się uda? Trudno powiedzieć, ponieważ zależy to nie tylko ode mnie. Musimy iść za przykładem krajów bogatych, ale nie małpować ich wzorców, tylko stworzyć własny system.

---

3    obecnie 20 tys.

## Z ziemi polskiej do Grecji

Robert ma dwadzieścia sześć lat. Pochodzi z małego miasteczka. Po trzech latach pracy w Grecji „na czarno”, wrócił do kraju. W Polsce jest niespełna tydzień, a już zaczyna mierzyć go małomiasteczkowa rzeczywistość. Miasteczko faktycznie małe, kilkutyśięczne, typowo galicyjskie. Życie w nim płynie jak krew z nosa. Marazm i wieczne ustawianie się bokiem do wszystkiego co inne, odmienne, nowe lub obce. Słowem, skansen i skamielina.

— Przez te trzy lata prawie nic się tutaj nie zmieniło. Pełne półki w sklepach, odnowiony ratusz i dwie kamieniczki w rynku to tyle, co nic. Jeżeli to mają być te przejawy demokracji i brania spraw w swoje ręce, to ja dziękuję bardzo — mówi z przekąsem. — Jeszcze się zastanowię, jeszcze poczekam.

Wracał do Polski gnany tęsknotą, ciekawością i nadzieją. W Grecji mówiło się z uznaniem o zachodzących w naszym kraju zmianach. Tamtejsze media wałkowały ten temat na okrągło. Zderzenie wyobraźni Roberta z rzeczywistością okazało się bolesne. Może gdzieś w Polsce jest inaczej. Tego nie wie, ponieważ jest zbyt krótko. Wybiera się w dłuższą trasę. Pojeździ, porozgląda się. Jeżeli natknie się gdziekolwiek nawet na złudny przedsmak wolnej Europy, to być może, że zostanie i spróbuje dać coś z siebie.

Pieniądzy z Grecji przywiózł niewiele. Żaden poważniejszy biznes, żadne inwestowanie nie wchodzi w rachubę. Wystarczy na założenie małego sklepiku. Ale stać za ladą i czekać, aż ktoś kupi bochenek chleba albo pęczek rzodkiewki to dla niego żadna perspektywa. Poza tym, zbyt ceni wolność.

— Wolność to niezależność osobista pod każdym względem — tłumaczy.

Nie po to przed trzema laty rzucił się na głębokie wody, żeby teraz osiąść na przypadkowej mieliźnie. Lubi ryzyko, lecz do szaleńców, którzy skaczą w ciemno, nie sprawdziwszy uprzednio dna, nie należy. W głowie trzeba mieć poukładane, twierdzi.

Przed wyjazdem za granicę ukończył Technikum Elektryczne i rozpoczął studia w Wojskowej Akademii Technicznej. Szło mu dobrze. Problemów z nauką nie miał. Na uczelni wytrzymał dwa lata. Nie znosi drylu, nie cierpi beźmyślnej dyscypliny. Jest katolikiem. Na szyi nosi medalik, a w swoim pokoju nad łóżkiem zawsze wiesza obrazek Matki Bożej. Na WAT przełożeni nie mieli pretensji o medalik. Kazali zapinać pod szyją guziki i nie afiszować się nim przed innymi. Natomiast podobiznę Matki Bożej nad jego łóżkiem kazali mu ściągnąć. Opór nie zdał się na nic. Chciał się przenieść na AWF. Przełożeni zwodzili z wydaniem zgody tak długo, aż minął termin egzaminów. Kiedy rok później zaczęło się na uczelni „przefarbowywanie”, rzucił studia i wrócił do rodzinnego miasteczka. Pół roku bezskutecznie szukał jakiegokolwiek pracy. Postanowił wyjechać z kraju za granicę. Wśród emigrujących największym powodzeniem cieszyła się Grecja. Ciągnęły do niej tysiące młodych Polaków. Pojechał i on myśląc: zarobię, wrócę, rozkręcę jakiś interes, założę rodzinę, urządzę się do końca życia.

Wysiadł z wycieczkowego autobusu w Atenach na placu Omnia z dwunastoma dolarami w kieszeni. Nikt na niego nie czekał. Obcy kraj, obca kultura, języka ani w ząb. Na hotel nie było go stać. Z wynajęciem mieszkania też były kłopoty. Pierwszą noc spędził u Darka, przygodnego znajomego z autobusu. Przez tydzień wystawał przy „polskim” słupie ogłoszeniowym obok miejscowej Poste Restante. Dogadał się z dwoma innymi Polakami, którzy byli w podobnej sytuacji i po długich poszukiwaniach udało im się wynająć mieszkanie za 600 \$ miesięcznie. Pół roku praco-



wał dorywczo. Imał się różnych zajęć, począwszy od ogrodnictwa, przez czyszczenie pól z kamieni, po pracę na budowie w charakterze pomocnika. Dźwigał na plecach dwudziestokilogramowe deneki z betonem na drugie, trzecie piętro robiąc dziennie po sto kursów. Nosił cegłę, mieszał zaprawę, wykonywał najprostszą ciesiołkę. Tylko raz, w trakcie dwuletniego pobytu, pracował przez pięć dni jako elektryk. Jednak to, czego nauczył się w polskim technikum, w Grecji zdało się psu na buty. Każdą chwilę wykorzystywał na naukę greckiego.

— Człowiek, który nie zna języków jest kaleką — wyznaje. — Pierwszy i ostatni raz w życiu pojechałem do kraju bez wcześniejszej znajomości jego języka. Drugi raz tego błędu nie popełnię. Najpierw język, potem wyjazd.

Przez ostatnie półtora roku pracował na budowach. Zarobek był przyzwoity – 30 \$ za dniówkę. Za to dzień podobny do dnia jak dwie krople wody. Pobudka o piątej rano, godzinny dojazd do Neos Jonji lub Kifizji, całodzienna harówka i wieczorny powrót do wynajmowanego mieszkania. Czasem była plaża, spacer ulicami miasta. Żadnych rozrywek, kawiarni, jubli czy popijaw z kumplami. Nigdy nie wyjeżdżał poza Ateny. Święta spędzane z dala od rodziny potęgowały tęsknotę za najbliższymi i krajem, stwarzały okazję do refleksji.

— Chcę zobaczyć, jak teraz jest w Polsce, czy są szanse na pracę, która dawałaby mi satysfakcję. Tak ciężko, jak w Grecji, pracował w kraju na pewno nie będę — zastrzega się.

Jeżeli takiej pracy nie znajdzie, pozostaje mu powrót na Peloponez. Nie zamierza siedzieć w Polsce i czekać na cud. Jeżeli ma zaczynać życie od zera, to nigdy w swoim kraju. W Grecji ma podobno większe możliwości. O perspektywach i swojej tam przyszłości mówi niechętnie. W końcu przyznaje, że dla nielegalnego emigranta są właściwie żadne. Żyje się z dnia na dzień, niczego się nie planuje, w każ-

dej chwili grozi deportacja. Pomimo tego najpewniej tam wróci, ponieważ innego wyjścia dla siebie w tej chwili nie widzi.

Artur wrócił z Grecji po dwóch latach. Pracował, jak większość Polaków, nielegalnie. Ma 23 lata, jest ślusarzem. Pochodzi z Leska. Szans na znalezienie pracy w miasteczku nie ma żadnych, a życie bez pracy jest tutaj wegetacją. Po ukończeniu zawodówki podjął pracę w sanockim „Autosanie”. Po kilku miesiącach powołano go do wojska. Do cywila wracał jak na skrzydłach, lecz już pierwsze dni w fabryce rozczarowały go. Zasławska firma balansowała na krawędzi bankructwa. Atmosfera wśród załogi była napięta. Zbliżała się fala zwolnień. Na pierwszy ogień poszli dwuzawodowcy i młodzi robotnicy z najmniejszym stażem. Zarobki były nędzne. Na dodatek jedną czwartą jego pensji pożerały koszty dojazdu do pracy. Na kolejną redukcję w zakładzie nie czekał. Odszedł z niego za porozumieniem stron, dostał zasiłek i przez trzy miesiące szlifował leskie uliczki.

Takich jak on było w miasteczku więcej. Nadmiar wolnego czasu, oglądane na video filmy i opowieści powracających z Zachodu kolegów i znajomych działały pobudzająco na wyobraźnię. Po zniesieniu wiz Artur pojechał z kolegą do Norwegii. Pracę znaleźli, ale trafili na zły okres. W Skandynawii zaczęła się nagonka na pracujących nielegalnie obcokrajowców.

— Gdybyśmy chociaż znali język angielski — zwierza się — ale żaden z nas oprócz polskiego ani be, ani me.

Wrócił do Polski sfrustrowany. W kraju czekał na niego list od przyjaciela z propozycją natychmiastowego przyjazdu do Grecji. Było wszystko, co na początek niezbędne: mieszkanie, nie najgorsza praca i bratnia dusza, która może mu na obczyźnie w trudnym starcie.

Spakował plecak i ruszył na południe Europy. Marzenie miał tylko jedno: uczepić się tej szansy i nie popuścić,

choćby przyszło mu gryźć ziemię. Popracuje dwa, trzy lata – myślał – zaoszczędzi, wróci do kraju i zacznie żyć jak człowiek.

Zatrudnił się w zakładzie ślusarskim. Praca mu odpowiadała. Robili metalowe bariery, bramki, ozdobne kraty do kominków, ot, uproszczoną użytkową metaloplastykę. Zarobek był średni, niecałe 20 \$ za dniówkę. Była za to, co uważa za ważniejsze, satysfakcja z wykonywanej pracy. Po trzech miesiącach doszedł do wniosku, że samym zadowoleniem kapitału nie zbije. Poszedł, jak większość Polaków, na budowę. Tam zarobek był większy. Tyrał od świtu do zmroku. Przez cały okres pobytu w Grecji nie opuszczał Aten. Żył skromnie, oszczędnie. Czas wolny wypełniał w sposób najprostszy i równocześnie najmniej kosztowny. Doskwierała mu tęsknota za krajem i najbliższymi. Najgorzej było w niedziele i święta. Myślał, że to minie. Przeliczyl się. Tęsknił coraz bardziej. W styczniu postanowił, że w czerwcu wraca. Te pół roku ledwie przetrzymał.

— To, co zastałem w moim miasteczku rozczarowało mnie — mówi.

Spodziewał się większych zmian. Odniósł wrażenie, że przez te dwa lata nic się nie zmieniło. Nie chodzi mu o samo miasteczko, czy też toczące się w nim życie. Rozumie, że takimi miejscowościami jak Lesko, rządzą inne prawa. Swoje spostrzeżenia odnosi bardziej do ludzi, do ich osobistego zaangażowania przy budowaniu nowej rzeczywistości. Żyje jak na rozdrożu. Zastanawia się, co zrobić. Zostać w kraju, czy wracać do Grecji. Żał mu najbliższych, szkoda kolegów, przyjaciół. Nie ukrywa, że w Grecji też nie jest różowo. Z drugiej strony na zdobycie w rodzinnym miasteczku jakiegokolwiek pracy i urządzenie sobie życia nie ma żadnych widoków. Wszystko zostało pod jego nieobecność obstawione. Czuje się tak, jakby wypadł z jadącego pociągu i został sam na ogromnym, pustym polu. Jakby ten kraj i jego rodzinne miasteczko już do niego nie należało.

— Czuję się jak emigrant — mówi ze smutkiem.

Justyna przyjechała z Grecji do rodzinnej wsi nad Sanem na kolejne wakacje. Przywiozła ze sobą dwójkę dzieci: 6-letnią Anię i 2-letniego Aleksandrosa. W sierpniu dołączy do nich Dimitris, mąż i ojciec jej synka. Musiał zostać w Atenach. Jest dyrektorem i właścicielem prywatnej szkoły. Obowiązki nie pozwoliły mu przyjechać razem z nimi. Justyna przebywa w Grecji od sześciu lat. Zajmuje się domem i wychowaniem dzieci. Status majątkowy sytuuje ją w grupie zamożnych rodzin greckich. W Atenach ma duży dom z wygodami, drugi, mniejszy, poza miastem. Trzeci będzie tutaj, w jej rodzinnej wsi. W tym roku rozpoczęła jego budowę. Kontakt z krajem i najbliższą rodziną utrzymuje od początku emigracji. Chce, żeby jej dzieci studiowały w polskich uczelniach. Jakich? Podrosną, dojrzeją, zdecydują same. Będzie przyjeżdżać do Polski z mężem na każde święta i wakacje, a może, kto wie, wróci na stałe, żeby w ciszy i spokoju dożywać tutaj szczęśliwej starości.

Justyna ma trzydzieści lat. Jest ekonomistką. Ukończyła Akademię Ekonomiczną w Krakowie, wyszła za mąż i natychmiast zaczęły się typowe problemy. Pensji nie starczało, mieszkania nie było, przyszłość rysowała się mgliście. Wielu jej znajomych ze studiów opuszczało kraj. Jadą inni, jedźmy i my, postanowili z mężem. Była w siódmym miesiącu ciąży. Grecja miała być tylko etapem do nowego, piękniejszego życia. Planowali emigrację do USA lub Kanady. W Atenach znaleźli się w marcu 1988 roku. Zgłosili się do Organizacji Emigracyjnej. Otrzymali mieszkanie, kartę pobytu, zapewniono im opiekę i pomoc do czasu ich usamodzielnienia się. Na wiosnę przyszła na świat Ania. Rok później w Polsce upadł socjalizm i powstało nowe demokratyczne państwo. Przebywający w Grecji polscy uchodźcy utracili dotychczasowe przywileje socjalne. Zamknęły się także przed nimi drzwi do Ameryki. Coś również zaczęło się psuć w rodzinie Justyny. Zwyczajne, drob-

ne nieporozumienia przemieniały się w kłótnie, wzajemne pretensje, żale i oskarżenia. Rodzina rozpadła się z dnia na dzień. O przyczynach rozpadu małżeństwa Justyna mówi ogólnikowo i oględnie. Powrót do wspomnień sprzed lat sprawia jej przykrość. Nie chce również, żeby wyglądało tak, jakby całą winę za rozpad małżeństwa zrzucała na byłego męża.

— Zderzyły się dwa przeciwne światy — opowiada — i nie udało się nam, niestety, wypracować sensownego kompromisu.

Każde poszło swoją drogą. Sytuacja Justyny była nie do pozazdroszczenia. Skończyła się pomoc organizacji, odszedł mąż, została sama z małym dzieckiem wymagającym ustawicznego doglądania. Ale dopisało jej szczęście. Znalazła pracę. Opiekowała się starszą, samotną Greczynką. Szybko pomiędzy kobietami nawiązały się nici wzajemnej sympatii i zaufania. Na prośbę Greczynki Justyna przeniosła się z córeczką do jej domu. Niedługo potem poznała Dimitrisa. Ich znajomość przerodziła się w miłość, ta z kolei w trwały związek małżeński.

Pięć lat spędzonych na obczyźnie sprawiło, że Justyna patrzy na Grecję krytycznie. Już dawno przeminął czas jej niegdysiejszych zachwyty. W Grecji, jak wszędzie na świecie, rządzi bezwzględny pieniądz. Kto go ma, ten jest na wierzchu. Większość Greków żyje skromnie licząc się z każdą drachmą. Polską i zachodzącymi w niej zmianami jest zaskoczona. Tempo reform uważa za oszałamiające i jednocześnie zbyt szybkie.

— Wielu moich znajomych nie wytrzymało, pogubiło się w świecie nowych, nieznanym im wcześniej wartości, spasało i znalazło się na marginesie. Żeby przetrwać w tych warunkach, trzeba być drapieżnikiem, a przecież nie wszystkie ryby w oceanie są rekinami — puentuje Justyna.

Adamkowie są młodym małżeństwem. Poznali się w Polsce, pobrali w Grecji. Ona jest nauczycielką, on mura-

rzem. Po pięcioletnim pobycie wrócili w rodzinne strony Agaty. Zarobione pieniądze inwestują w budowę domu. Na jego funkcjonalność i nowoczesne wyposażenie grosza żałować nie będą. Jeżeli będzie taka potrzeba, Heniek pojedzie dorobić w Grecji. Fachowiec z niego dobry, więc przyjmą go z otwartymi rękami. Przez minione lata pracował na budowach jako majster, zdarzało się, że nadzorował je i kierował ludźmi. Grecy cenią jego fachowość, szanują go za sumienność i solidność.

Agata pracowała dorywczo. Wynajmowała się do sprzątania bogatych domów. Mówi o tym otwarcie, ponieważ uważa, że żadna praca nie hańbi. Nie widzi też powodu, żeby się z tym kryć. Zresztą, co innego mogłaby tam robić? Pracodawczynie traktowały ją przyzwoicie. Z większością z nich żyła w dobrej komitywie. Z niektórymi nawet w wielkiej zażyłości, choć o przyjaźni mowy być nie mogło. Ufała jej do tego stopnia, że otrzymywała zapasowe klucze, żeby mogła sprzątać ich domy w dogodnym dla siebie czasie.

— W kilku domach, których właścicielki nie pracowały, swoje obowiązki zaczynałam zazwyczaj od babskich pogaduszek przy kawie — opowiada. — Był to rodzaj obowiązującej obie strony grzecznościowej formuły.

Nie zdarzyło się, żeby któraś z pracodawczyń Agaty okazywała jej swoją wyższość. Takie fakty mają zapewne miejsce. Tego nie wyklucza. Ona z nimi się nie zetknęła.

Adamkowie mieszkali w bloku, w wynajętym dwupokojowym mieszkaniu. Nikt z sąsiadów nie wytykał im pochodzenia, nie uważał ich za gorszych, nie okazywał im pogardy czy choćby cienia niechęci. Wszyscy byli serdeczni, przychylni, wyświadczali im drobne przysługi.

Latem 1990 roku rodzina Adamków powiększyła się. Urodziła się córka Karolina. Chrzest odbył się w ateńskim kościele pod wezwaniem Serca Jezusowego zgodnie z polskimi obyczajami, w obecności zaproszonej z kraju rodziny.

— Zrezygnowałam z pracy, lecz nie pogorszyło to naszej sytuacji materialnej — wspomina Agata. — Mąż zarabiał tyle, że nie musiałam ograniczać naszych wydatków.

Żyli jak typowa grecka rodzina, z tym, że wszystko podporządkowali jednemu celowi: zarobić na dom w Polsce.

Grecja nie jest rajem. Adamkowie jej nie idealizują, lecz Agata wolałaby żyć bardziej tam, niż w Polsce. Heniek jest przeciwnego zdania. Zagranicy ma powyżej uszu. Prawda, że życie jest tam łatwiejsze, ceny niższe, a zarobki kilkakrotnie wyższe, że można odłożyć, lecz przecież nie to jest prawdziwym sensem życia.

W ostatnim roku ich pobytu w Grecji nadarzyła się im okazja wyjazdu na stałe do Kanady. Mieli sponsora, formalności były załatwione, wszystko dopięte na ostatni guzik. Znowu obcy kraj, obca kultura, otoczenie, język. Znowu trzeba zaczynać od zera i piąć się po szczeblach społecznej drabiny, rywalizując na dodatek z ludźmi zamieszkałymi w Kanadzie od pokoleń. Zrezygnowali. Znajomi z Polski pukali się wymownie w czoła.

— To ci, co wyjeżdżają z domu najdłużej na tydzień — kwituje krótko Heniek.

Prawdę mówiąc to właśnie on przekonał Agatę, żeby zrezygnowali z osiedlenia się w Kanadzie i on namówił ją do wcześniejszego powrotu do Polski. Wyjechał do Grecji, bo zmusiły go do tego warunki ekonomiczne. Nie ma możliwości w ojczystym kraju, więc trzeba szukać ich za granicą. Ale żeby zostawać tam na stałe? Nie. Nigdy. Taka myśl ani przez chwilę nie zaświtała mu w głowie.

— Jestem Polakiem i moje miejsce jest w Polsce — mówi i natychmiast dodaje, jakby chciał się usprawiedliwić. — Nie jestem nacjonalistą i nie mam nic przeciwko tym, którzy swoje życie chcą sobie ułożyć poza Polską. Wolność polega na poszanowaniu wyboru drugiego człowieka. Ja prawo to szanuję jak święte przykazanie.

## Z Wiednia do Rabego

Helmut Melzner jest rodowitym wiedeńczykiem. Mieszka w Rabem, małej bieszczadzkiej wsi zagubionej wśród gór i lasów. W Wiedniu prowadził dobrze prosperujący salon samochodowy. Tutaj przedzierzgnął się w rolnika. Wypasa kozy, hoduje ptactwo, uprawia ziemię, prowadzi małe gospodarstwo agroturystyczne. Wygodne, dostatnie życie porzucił z dnia na dzień, chociaż jak sam przyznaje, taka właśnie decyzja dojrzewała w nim od dawna.

— Chciał w tajga, nad Bajkał — opowiada o swoich wcześniejszych zamierzeniach. — W Polsce ja miał być krótko. Moje znajome zaprosili mnie w Bieszczad. Jak ja zobaczył, tak wiedział od razu, że to bardzo dobre miejsce na moje inne życie.

Mówiąc „inne”, Melzner daje do zrozumienia, że definitywnie wyrzekł się jakichkolwiek związków ze swoją przeszłością i dawnym sposobem życia w Austrii.

— To nie życie — mówi z niechęcią. — To wyścig, żeby być lepszy od sąsiad, kolega z pracy, brat, siostra. Musisz uśmiechać, udawać zadowolony, mówić, że wszystko super i okay. A w normalne życie tak nie ma.

Ciągła pogoń za sukcesem, nieustanne potwierdzanie osiągniętej pozycji społecznej, ustawiczne czuwanie, żeby nie dać wyprzedzić się innym jest stresogenne, nie do wytrzymania. I takie właśnie stało się z czasem dla Helmuta Melznera.

Nie ułożyło mu się także pożycie małżeńskie. Nie potrafili z żoną znaleźć wspólnego języka. Kiedy dzieci osiągnęły pełnoletność i usamodzielniały się, Melznerowie rozeszli się. Kilka miesięcy po ich rozwodzie zmarła matka Helmuta, najbliższa jego sercu i jedyna w jego otoczeniu rozumiejąca go osoba.



— Kiedy został sam, dużo myślał, jak robić — opowiada. — Jeszcze inny dom? Jeszcze inny auto? — milknie na chwilę o potem mówi dalej. — Znowu pieniądz, pieniądz i pieniądz? Nie. Ja już tak nie chciał i wyjechał najpierw Kraków, potem do państwo Zdanowicz, zobaczył Bieszczad i znalazł tu dobre miejsce.

Nagły impuls sprawił, że Melzner postanowił zostać w Polsce i porzucił myśl o wyjeździe nad Bajkał. Ponad rok mieszkał w wynajętym pokoiku u znajomych, podróżował, poznawał kraj, ludzi, język. Żył spokojnie, bez pośpiechu, bez stresów, na zupełnym luzie. Pomimo to czuł się coraz bardziej zniechęcony, sfrustrowany.

— Ja był bardzo umartwiony, że nic nie robił — tłumaczy. — Ludzie szli do praca, robili, byli zadowoleni, a ja nic. Znajome powiedzieli: ty kupuj ziemia w Bieszczad i zostań rolnik.

Melzner ma usposobienie marzyciela i romantyka. Lubi ciszę, szerokie przestrzenie, zwierzęta, kontakt z przyrodą. Zajęcie rolnika bardzo mu odpowiadało. Na realizację pomysłu nie musiał długo czekać. Okazja nadarzyła się jak na zawołanie. Ktoś w Rabem chciał się pozbyć jednohektarowego gospodarstwa z budynkami. Kilkudziesięcioletni drewniany dom z chylącą się w zaświaty obórką zrobił na Melznerze przygnębiające wrażenie. Znajomi radzili mu zrezygnować i poczekać na lepszą okazję. On jednak zdecydował się na kupno posesji zauroczony jej położeniem i pięknym otoczeniem.

Nie targował się. Nie zwodził. Zapłacił tyle, ile właściciel żądał i już tego samego dnia oświadczył znajomym, że zostaje w Rabem na stałe.

— To nie był duży pieniądz — mówi. — Ja więcej dał w remont chałupa w środku, żeby zrobić mieszkanie dla gości.

Opowiada o tym szczerze, bez cienia przechwałki. Miejscowi potwierdzają, że Melzner włożył w realizację swoich

marzeń duże pieniądze. Zresztą, efekty jego inwestycji wi-  
dać gołym okiem. Posesja uporządkowana, część mieszkal-  
na oddzielona od gospodarczej. Budynki gospodarcze wyre-  
montowane, zadbane, czyste, schludne.

W obórkach Melzner trzyma 40 kóz, domowe ptactwo,  
drobny inwentarz i trzy przysposobiane pod siodło osiołki  
z myślą o najmłodszych gościach. W przyszłości w gospo-  
darstwie mają być również muły i kucyki. Niepokażny na  
zewnątrz dom mieszkalny mieści na parterze obszerną ja-  
dalnię, zaś na pięterku pokoje gościnne. Wszystko wykona-  
ne w drewnie, urządzone ze smakiem, przytulne. Pokoje,  
ozdobione rzeźbami i obrazami bieszczadzkich malarzy,  
mają niepowtarzalny nastrój i koloryt.

Dziesięć miejsc noclegowych, to tak na początek, za-  
pewnia Melzner. W tym roku dobuduje dodatkowy segment  
sypialny na dwanaście kolejnych łóżek. Materiały leżą na  
podwórku, fachowcy umówieni, czeka tylko na sprzyjające  
warunki atmosferyczne.

W Bieszczadach o turystów coraz trudniej. Ten rok rów-  
nież nie zapowiada się najlepiej. Sezon trwa tutaj krótko.  
Trzy, najwyżej cztery letnie miesiące, a potem następuje  
okres turystycznie martwy. Melzner tym się jednak nie mar-  
twi. Gości będzie miał w Rabem przez cały rok. Zresztą na  
ich brak nie narzeka. Przyjeżdżają do niego Austriacy,  
Niemcy, Holendrzy, Polacy i Amerykanie. Zapewnia im  
noclegi oraz śniadania i kolacje przygotowane z produktów  
pochodzących z własnego gospodarstwa. Jego obecna ofer-  
ta jest skromna i on jest tego świadomy, dlatego ciągle ją  
poszerza. Rozwija także swoje gospodarstwo. Wydzierża-  
wił kilka hektarów przyleśnych łąk i urządził na nich dwa  
oczka wodne. W przyszłości planuje wybudować kąpieli-  
sko. Ma być także kilkuhektarowy staw rybny, łódzie  
i rowery wodne. W pobliskim kompleksie leśnym wytyczy  
dla turystów ścieżki spacerowe, trasy narciarskie oraz trasy  
crossowe do jazdy konnej.

Plany ma ambitne, przyszłościowe. Wymagają one poważnych nakładów finansowych. Sam nie jest w stanie ich zrealizować. Rabe liczy czterdzieści kilka domów. Zarobić można tutaj tylko na turystyce. Żeby czerpać z niej zyski, trzeba zacząć działać wspólnie. Wie o tym Melzner, zdają sobie z tego sprawę inni mieszkańcy wioski.

— U mnie kąpielisko, bilard, ping-pong — wyjaśnia — u Chrapkiewicza konie, wycieczka do las i w góry. U państwa Nóżka odpoczynek i dobry, zdrowy jedzenie. Wszystko dla dużo ludzi naraz.

Brukałowie mieszkają w środku wsi. Jerzy jest mechanikiem. Prowadzi warsztat samochodowy. Klientów, szczególnie o tej porze roku, jak na lekarstwo. O jakichkolwiek zyskach z usług nie ma nawet co marzyć. Żona, nauczycielka, pracuje w szkole. Żyją skromnie. Oszczędzają ograniczając swoje potrzeby do niezbędnego minimum. Od dawna zastanawiają się, na czym można by zarobić dodatkowe pieniądze. Propozycja Melznera skusiła ich. Są przekonani, że im się powiedzie.

— Próbować trzeba — mówi Jerzy. — Szansa na odmianę życia jest. Ale może lepiej o tym dzisiaj nie mówić, żeby nie zapeszyć.

Brukałowie liczą wyłącznie na własne, skromne możliwości. Podobnie Nóżkowie. Jeśli nie liczyć ich trzech wolnych pokoi, które muszą przerobić na miejsca noclegowe, swoją działalność będą musieli zaczynać praktycznie od zera.

Chrapkiewicz jest w sytuacji o niebo lepszej. Ma już urządzone pokoje dla gości, konie pod siodło i do zaprzęgu oraz dobrze zorganizowane, dochodowe gospodarstwo rolno-hodowlane.

Melzner jest optymistą. Wierzy, że uda im się zrealizować ich wspólne plany.

— Będzie dobrze — zapewnia. — My to robimy sobie i innym ludziom w Rabe, w cały Bieszczad. Bo to będzie kiedyś jeden kraj, Europa.

## Nasza mała ojczyzna

Życie w Czarnej toczy się od lat swoim utartym, niezmiennym nurtem. Atrakcji, którymi można przyciągnąć turystów i zatrzymać ich na dłużej, jest we wsi jak na lekarstwo. Czarna leży przy „dużej pętli bieszczadzkiej”. Na jej terenie znajdują się źródła rzadkich wód leczniczych. Od 1974 roku Czarna posiada status uzdrowiska, lecz nic pozytywnego z tego faktu jeszcze nie wynikło. Ale wyniknąć może.

Zaczął się banalnie. Kazimierz Schutterly, dyrektor miejscowej szkoły, przeczytał w „*Nowinach*” komunikat Fundacji Kultury, która ogłosiła ogólnopolski konkurs: „Małe ojczyzny – tradycja dla przyszłości.”

— Byłem akurat w Ustrzykach — wspomina Schutterly — poprosiłem znajomych, żeby powiększyli ogłoszenie możliwie do największych rozmiarów. Po powrocie do domu powiesiłem odbitkę na drzwiach i zacząłem się w nią wpatrywać. I nagle, olśnienie. Przecież my próbujemy w Czarnej zrobić coś takiego od roku.

Schutterly przyjechał do Czarnej trzy lata temu. Jest nauczycielem, jego żona, Katarzyna, również. W miejscowej szkole był akurat dyrektorski vacat. Schutterly stanął do konkursu i wygrał go. Nowy człowiek w nowym miejscu. Trzeźwe spojrzenie na zastałą rzeczywistość, aktywna postawa wobec życia, głowa nabita różnymi pomysłami. Żeby zacząć realizację najambitniejszego z nich, potrzeba, zdaniem Schutterlego, społecznego zaangażowania i około trzech miliardów<sup>1</sup> złotych. A więc tyle, co nic. Gdyby jego pomysł udało się zrealizować, Czarna za kilka lat zmieniłaby się w wieś płynącą przysłowiowym mlekiem i miodem.

---

1   obecnie 300 tys.

Schutterly ruszył po domach roztaczając przed ludźmi wizję bajecznej przyszłości. Wyjaśniał im swoje racje, namawiał ich, przekonywał. Jednak wielu sojuszników dla swojej sprawy wśród nich nie znalazł. Pięknymi wizjami ludzi w Bieszczadach się nie kupi. Żeby ich przekonać, trzeba zacisnąć zęby, zakasać rękawy i pokazać im w robocie, co się samemu potrafi. Schutterly miał szczęście. Roboty w Czarnej nie brakowało. Od ośmiu lat ślimaczyła się budowa nowej szkoły. Na jej dokończenie potrzeba było ponad 2 miliardy złotych. Schutterly zdobył tę kwotę w przeciągu kilku tygodni. Budowa ruszyła z kopyta. Rok później do nowych klas weszły dzieci. Równoległe z budową powstał pomysł zorganizowania szkoły ekologicznej. Program został opracowany i zatwierdzony przez Radę Pedagogiczną, ale jego wdrożenie do realizacji już się nie powiodło. Fiasko utworzenia szkoły ekologicznej, z częściowo już wprowadzonym programem nauczania, Schutterly uznał za chwilowe niepowodzenie. Związane ze szkołą plany włożył do szuflady, lecz z urzeczywistnienia swojej wizji nie zrezygnował.

— Obecnie w naszej szkole działa pracownia Kultury Ziemi w formach lżejszych, bardziej dla dzieci zrozumiałych — tłumaczy. — Prowadzone są zespoły botaniczne, przyrodnicze i proekologiczne.

Budując szkołę i tworząc podstawy programu ekologicznego, Schutterly stara się dotrzeć ze swoim pomysłem nie tylko do mieszkańców Czarnej, lecz także do pozostałych miejscowości na terenie gminy. Własnym sumptem wydaje jednodniówkę „Czarna – nasz dom”. Reakcje ludzi są różne. Większość z nich nie angażuje się w jego działanie, stoi z boku, przygląda się. Poparcie Schetterly zdobywa wśród nauczycieli i nielicznej garstki miejscowej inteligencji. Wspierają go ks. Bizior, architekt Juraszyński, prawnik Surowiecka, wójt Podraza, lekarz Marcin Płocki i kilka innych

osób. Powstaje mocna grupa, którą jednoczy wspólny cel – Czarna, nasz dom, nasza mała ojczyzna.

Ogłoszony przez Fundację Kultury konkurs dał Schutterlemu nowy bodziec do działania. Idea konkursu okazała się zbieżna z programem zamieszczonym w jednodniówce „Czarna – nasz dom.” Organizatorzy konkursu zapowiedzieli spotkanie w Borach Tucholskich. Wcześniej trzeba było opracować i wysłać na ich adres projekt wstępny. Dosłownie w ostatniej chwili Schutterly pisze siedem stron. Ku jego zaskoczeniu opracowanie znajduje akceptację u dwunastu jurorów. To wielki sukces, wzięwszy pod uwagę, że na konkurs napłynęło 151 projektów z całej Polski. Chociaż był to dopiero etap kwalifikacyjny, Schutterly zdał sobie sprawę, że przed Czarną otwiera się szansa, której nie wolno mu zmarnować.

Po powrocie z Borów Tucholskich Schutterlego ogarnęły wątpliwości. Żeby przejść drugi etap konkursu, musieli opracować projekt bardzo konkretny i fachowy. I wtedy do działania przystąpił architekt z Warszawy, bieszczadnik, Łukasz Juraszyński. Termin złożenia projektu miały za 12 dni. Na początku września, w „Zajeździe na Kresach”, powstała grupa inicjatywna licząca 18 osób. Wszyscy uczestnicy zebrania zgłosili chęć współpracy przy opracowywaniu projektu. W ciągu trzech dni plan został ukończony. Czas naglił. Termin zamknięcia drugiego etapu był tuż, tuż. Wysłanie projektu pocztą nie wchodziło w rachubę. Mógł nie dotrzeć na czas.

Tomasz Niziołek pojechał do Torunia i złożył projekt w siedzibie uniwersytetu na dziesięć godzin przed upływem terminu zgłoszeń. Nastąpiły trzy tygodnie napiętego oczekiwania. Dwudziestego siódmego września dostali telegram: „Projekt Państwa został zakwalifikowany do finału konkursu Naszych Ojczyzn. Gratuluję i serdecznie pozdrawiam w imieniu jurorów.” Podpisał dyr. Konkursu W. Chmielewski.

— Zupełnie nieoczekiwanie dla wszystkich nasz projekt znalazł się w finale — wyznaje Schutterly.

Niedowierzenie, ulga, radość, a potem euforia. Po niej otrzeźwienie. Żeby wygrać, trzeba znaleźć się w ściślejszej trójce. Przecież są jeszcze rywale. Co prawda tylko piętnastu, ale za to jakich. Żeby ich pokonać, trzeba dać z siebie wszystko. A to oznaczało tygodnie harówki, gromadzenia atutów, znalezienia sponsorów i poparcia wiejskiej społeczności.

Projektowi nadali tytuł „Zdrój”. W jego nazwie zawarta jest symboliczna wieloznaczność. Czarna jako uzdrowisko i Czarna jako źródło ludzkich pomysłów, inicjatyw, przedsiębiorczości. Ich propozycja zawiera diagnozę obecnej sytuacji wsi i sposoby rozwiązywania nabrzmiałych problemów. Zaproponowali również powołanie Towarzystwa Kulturalnego. Jego podstawowym zadaniem byłaby kulturalna integracja miejscowej społeczności, którą tworzą osiedleńcy z wielu stron Polski.

Powstanie źródła nie jest celem samym w sobie, lecz prowadzącym do niego środkiem. Celem ma być zasobność duchowa i materialna ludzi mieszkających w Czarnej. Według ich projektu, sam Zdrój to dwa, najwyżej trzy budynki wkomponowane architektonicznie w teren – Dom Źródłowy i Zakład Przyrodolecznicy. Przyjeżdżający na leczenie kuracjusze mieliby zamieszkać w domach prywatnych, których właściciele zapewniliby im także całodzienne wyżywienie w oparciu o produkowaną w swoich gospodarstwach zdrową żywność.

— Jest to lokalne, niepodobne do innych rozwiązanie — tłumaczy Schutterly. — Rozsądne także pod względem finansowym. Na jego rozruch potrzeba dwa, najwyżej trzy miliardy złotych. Wykorzystując istniejący w Czarnej Górnym ośrodek wczasowy, wystarczy zbudować trasy spacerowe, ścieżki zdrojowe, pijalnię wód mineralnych, chodniki, poprawić nawierzchnię dróg, wspomóc finansowo, niewiel-



kimi sumami tych, którzy chcieliby przyjmować przyjezdnych na swoje kwatery.

Na projekt złożyły się dwa zagadnienia: Źródło dla gości, a dla miejscowych miejsca pracy i rozwój gospodarczy wsi poprzez stworzenie gospodarstw agroeko-turystycznych, usługowych, rozwój zielarstwa, pszczelarstwa, rzemiosła artystycznego i tym podobnych przedsięwzięć. Z większych inwestycji, gazyfikacja Czarnej w oparciu o własne zasoby gazu oraz uruchomienie lokalnego przejścia granicznego.

Sukces grupy inicjatywnej z Czarnej odbił się szerokim echem w całych Bieszczadach. Dołączają do niej nowi ludzie, rodzą się nowe pomysły. Ludzie z Czarnej mają świadomość niepowtarzalnej szansy i chcą ją wykorzystać. Prowadzą akcję uświadamiającą wśród mieszkańców swojej gminy. Ich program wzbogaca się z dnia na dzień o nowe inicjatywy. Akcja rozszerza się na inne miejscowości. Opracowano Zieloną Drogę – interesującą i atrakcyjną dla szkół formę poznawania Bieszczadów i bezpośredniego kontaktu z przyrodą i ludźmi zamieszkującymi ten zakątek Polski. W Polanie, miejscowości oddalonej od Czarnej 9 km, powstała stadnina „Tabun” oferująca hipoterapię. Kilkanaście osób zgłosiło chęć otwarcia galerii rzemiosła artystycznego. Projekt wspierają księża miejscowej parafii, pracownicy Urzędu Gminy, rolnicy, przedsiębiorcy i kupcy. W pierwszych dniach listopada na kolejnym zebraniu grupy inicjatywnej uczestniczyło czterdzieści osób. Pierwotny projekt dopełniono nowymi pomysłami. Między innymi zaproponowano stworzenie lokalnej gazety i „Radia Czarna.” Ludzi z Czarnej połączył wspólny cel – budowanie małej ojczyzny. W niej widzą przyszłość dla siebie i dla swoich dzieci.

Małgorzata Bartnik, sekretarz Urzędu Gminy, należy do sekcji, która zajmuje się promocją budowy Źródła oraz pozyskiwaniem sojuszników i inwestorów.

— Do pracy w grupie inicjatywnej zostałam oddelegowana przez wójta — mówi. — Pomysł popieramy wszyscy bez wyjątku. Dwa lata temu nasza gmina, przystępując w ramach Związku Gmin Pogranicza do Funduszu Współpracy z Zagranicą, opracowała podobną koncepcję.

Bartnik wierzy, że ich projekt zyska akceptację jurorów i przebije się do ścisłego finału. Nagroda w wysokości 2 miliardów złotych otworzyłaby nowe perspektywy przed ich miejscowością. Pobudziłaby do działania zastygłą w marazmie społeczność, dała asumpt indywidualnej inicjatywie, natchnęła ludzi wiarą we własne możliwości, zaś podobnym do Czarnej bieszczadzkiej wsiom wskazała drogę gospodarczego rozwoju.

— Rozważając możliwości urzędu gminy, wszystkie nasze aktywa i pasywa, doszliśmy do wniosku, że sami nie damy rady. Gdyby nawet, to trwać to będzie dziesiątki lat. Czas może zniechęcić ludzi, załamać ich, wymusić odstąpienia od pierwotnych planów — mówi Bartnik. — Dlatego przyłączyliśmy się do społecznej inicjatywy. Jeśli nie wygramy, nie załamamy rąk. Będziemy szukać innych możliwości dotąd, aż je znajdziemy. Rezygnacja na tym etapie byłaby dla nas samobójstwem. Pokazać ludziom możliwości, tchnąć w nich nadzieję i zrezygnować? Nie. W żadnym wypadku.

## Ach, te kozy

O kozach, ich charakterach, przymiotach i satysfakcji, jaką przynosi hodowla tych zwierząt, Zbigniew Takuśki potrafi snuć niekończące się opowieści.

— Weźmiesz małą kózkę na kolana, przytulisz ją, pogłaszczesz, a ona uśnie jak dziecko — twierdzi.

Jego znajomy, Nikos Manolopoulos, jeden z największych hodowców kóz w Bieszczadach, zaczynał przed laty skromnie. Pracował wtedy w Smolniku, koło Łupkowa. Kupił małą kózkę karpacką i trzymał ją na podwórku zamiast psa. Kózka tak się do niego przywiązała, że nie odstępowała go na krok. Takich dróg jak obecnie w tamtym czasie w Bieszczadach nie było, więc Nikos pokonywał bieszczadzkie bezdroża konno. Kiedy jechał do Cisnej albo Komańczy, kózka biegła za nim jak pies piętnaście kilometrów w jedną stronę.

— Zastanawia mnie, czemu w naszej religii koza przedstawiana jest jako stworzenie diabelskie, gdy tymczasem nie ma wśród zwierząt, może z wyjątkiem konia i psa, stworzenia wierniejszego od niej i bardziej przywiązanego do człowieka — dodaje Takuśki.

Zbigniew Takuśki mieszka w Hoszowczyku. Przyjechał tutaj w latach siedemdziesiątych z wałbrzyskiego. Bieszczady skusiły go wizją nieskończonych możliwości. Ziemia była tutaj za bezcen. Kredyty na warunkach o jakich rolnicy w innych regionach Polski mogli tylko pomarzyć. Do tego ulgi, maszyny i materiały budowlane poza zwyczajowym przydziałem, jak nazywano ówczesną reglamentację.

Przyjechali właściwie we trzech. Byli młodzi, hardzi i bezgranicznie naiwni, mówi z przekąsem Takuśki. Marzyli o dwóch rzeczach: niezależności i pracy na swoim. Bieszczadzka rzeczywistość okazała się dla nich bezwzględna. Po kilku latach mizერიi koledzy Takuśkiego porzucili Biesz-

czady i wrócili tam, skąd przybyli. On został. Dlaczego? Próżno go o to pytać. Nie potrafi powiedzieć. Może na złość tamtym? Może dlatego, że jest uparty i nie lubi przegrywać? A może dlatego, że jest optymistą i wierzy we własne siły? Myślał o tym tysiące razy. Tysiące razy kładł się wieczorem do łóżka przekonany, że ta noc jest jego ostatnią nocą w Hoszowczyku. Jutro wstanie, spakuje się i wyjedzie stąd bez oglądania się za siebie. Mijała noc, budził się, wychodził na podwórko, zapalał papierosa, rozglądał się po okolicznych stokach, patrzył na niebo, pola i lasy, chwycił widły i szedł do obory.

— Brało się ten swój wóz i toczyło się go przed siebie — zwierza się. — Tak było wczoraj, tak jest dzisiaj, tak będzie jutro, pojutrze.

Swoje gospodarowanie w Bieszczadach zaczął od hodowli bydła na 17 ha. Ziemia była licha, więc musiał przeznaczyć ją na pastwiska. Trzymał ponad 30 krów mlecznych i cielęta na opas. Wiodło mu się w tamtym okresie dobrze. Perspektywy na przyszłość były zachęcające, więc dokupił kilka hektarów ziemi, kawałek lasu, wyposażył gospodarstwo w sprzęt i maszyny rolnicze, zaczął budować duży dom. W latach osiemdziesiątych nastąpiło gwałtowne załamanie. Hodowla bydła stała się z dnia na dzień nieopłacalna, więc musiał ją zlikwidować. Trzy lata pracował w lesie, dorabiał również stolarką produkując boazerię, listwy, kantówki. Zajęcia te traktował jako doraźne i tymczasowe. W latach dziewięćdziesiątych założył ze znajomymi spółkę cywilną. Postanowili hodować kozy. Zmechanizowana ferma, obliczona na 300 sztuk zwierząt, produkować miała kozie mleko i jego przetwory. Rynek był duży, chłonny, zainteresowanie produktami ogromne. O zbyt byli spokojni.

Na realizację swojego pomysłu potrzebowali kredytu. Obiecано im dofinansowanie z fundacji amerykańskiej. Ponieważ procedura uznaniowa przedłużała się, Takuński kupił na przetargu kredyt dolarowy zastawiając swoje gospodar-

stwo. Kilka miesięcy później fundacja wycofała się z przyrzeczenia. Takuśki został ze stadem kóz oraz rosnącymi lawinowo odsetkami.

— Długu nie spłacam, bo nie mam z czego — tłumaczy.  
— W ubiegłym roku poprawiło się trochę. Wzrosła cena mleka na skupie. Ale znowu nie aż tak, żebym miał skakać z radości. U nas, w Polsce, sprzyjających warunków dla hodowli kóz nie było właściwie nigdy — przerywa i poprawia się. — Nie! Przepraszam. Były, tyle że bardzo krótko. Zaczęło się wszystko ładnie układać jakieś trzy lata temu, lecz ktoś wymyślił kleszcza i wszystko rozsypało się niczym domek z kart.

Rodzina Zbigniewa Takuśkiego utrzymuje się z hodowli kóz i sprzedaży koziego mleka. Pracy na farmie jest dość dla wszystkich. Najstarsza córka Zbigniewa, Małgorzata, studentka Akademii Rolniczej w Rzeszowie, wzięła urlop dziekański, ponieważ do dojenia kóz potrzebne są kobiece ręce. Syn Marcin i 14-letnia Karolina też mają przydział swoich obowiązków i żadnej taryfy ulgowej. Chyba, że nauka albo choroba, wyjaśnia Takuśki. Pomaga także brat Takuśkiego, którego ściągnęli do Hoszowczyka w ubiegłym roku.

— Pierwsze pokolenie osadników nie dorobiło się niczego — twierdzi Gośka. — Mieszkają w połemkowskich chałupach, mają małe ogródki, trzymają pojedyncze zwierzęta. Dopiero ich dzieci, które zarobiły jakieś pieniądze poza rolnictwem, postawiły murowane domy i pokupiły samochody, żyją inaczej. Ja z tatą różnię się i w poglądach, i w działaniu — mówi. — On, zanim zacznie coś robić, najpierw długo rozważa, zastanawia się i namyśla. Ja natomiast działam małymi kroczkami, ale za to szybko, spontanicznie i w zależności od sytuacji.

— Poglądy różne, cel jeden — wtrąca Zbigniew.

— Sto procent ręcznej roboty i do tego ciągle dokonywanie wyboru — dodaje Gośka. — Trzeba wymienić

w ciągniku chłodnicę, akumulator, oponę. No to robimy przegląd i mówimy: aha?! Chłodnicę się polutuje, zatka i jeszcze pochodzi. Akumulator niekoniecznie, bo ciągnik postawi się na górcę, ale bez opon pola się nie zaorze, no to kupujemy w tym miesiącu oponę.

— Nasza trudna sytuacja wynika nie tylko z powodu finansowych kłopotów. Hodowla kóz wymaga ciężkiej, wielogodzinnej ręcznej harówki — mówi Takuśki. — Taka jest jej specyfika i nic się na to nie poradzi, chociaż ludzie często mówią: co tam koza, dasz jej miotłę i też zje. Nic błędniejszego.

— Jest bardzo wybredna w doborze pokarmu. Chodzi po łące, tu skubnie jakąś trawkę, tam obgryzie gałązkę i ludziom niezorientowanym wydaje się, że zadowala się byle czym — opowiada Gośka.

— Będzie pasła się na gołym, skubała świerka, brzozę, ogryzała chwasty, z tym, że ten chwast, świerczek, brzożka mają odpowiednią wartość odżywczą i w metabolizmie kozy odgrywają ważną rolę — wyjaśnia Takuśki. — Ona zje nawet miotłę, ale tylko wtedy, gdy będzie jej brakowało jakiegoś istotnego składnika, który akurat w tej miotle będzie.

— Albo gdy będzie rzeczywiście głodna — dodaje Gośka.

— Ale z winy gospodarza — zastrzega jej ojciec — bo chcąc mieć efekty hodowlane i produkcję mleka na poziomie, trzeba tej kozie dać dużo. Pokutuje u nas na temat kóz wiele stereotypów, jak choćby ten, iż koza jest symbolem społecznego zacofania i biedy. Rozmawiałem kilka lat temu z pewnym Amerykaninem, polskiego pochodzenia, ale zasiedziałym za oceanem od dwóch pokoleń. Gadaliśmy o tym i owym, i spytał mojego współnika, ile mamy kóz. Tamten odparł, żeby go zbyć: setkę. O! Zdziwił się, to wy jesteście bogacze.

— Kózka stała się zwierzątkiem lubianym, modnym, rodzajem maskotki. Można ją zobaczyć w wielu przydomowych ogródkach. Ludzie nie trzymają jej dla mleka, ale dlatego, że ładna, że da się lubić, do zabawy z dziećmi, zamiast kota, psa, a nawet z czystego snobizmu — mówi Gośka.

— I dobrze. Ja to pochwalam — zgadza się z córką Takuśki. — Lepsza w ogródku żywa koza niż gipsowy krasnal albo bocian.





## Żadna władza nie jest wieczna

Kiedy przyjechał na to pustkowie był stan wojenny.

— Komuniści czepiali się o byle gówno — opowiada Krzysztof Bross. — Dzisiaj są inne czasy, ale władza dalej mnie nie lubi. Dlaczego mnie w Sannej nie akceptuje, tego nie potrafię zrozumieć. Ale to na nic, bo ja się stąd nie ruszę.

Krzysztof Bross mieszka z rodziną w Teleśnicy Sannej. Brossowie są jej jedynymi mieszkańcami. Sannej nie ma na żadnej mapie. Położona wzdłuż koryta Sanu wieś zalana została wodami powstałego w latach siedemdziesiątych jeziora solińskiego. Bross jednak nadal posługuje się jej dawną nazwą.

Gospodarstwo Brossa leży na cyplu, który figuruje na mapach jako półwysep nazwany jego imieniem. Mógłby więc mówić, co byłoby zgodne z prawdą, że mieszka na swoim półwyspie. Ale Bross jest uparty.

— Mieszkamy w Sannej — mówi — koniec, kropka.

Do Sannej nie da się dojechać samochodem. Powód jest prosty. Droga kończy się w sąsiedniej wsi, Teleśnicy Oszwarowej. Stąd do Brossa, na skróty, jest ponad 6 km.

— A, o! tam. Nad wodą — informuje krótko mężczyzna, który łowi ryby z drewnianego pomostu. — Zaraz za tym wzniesieniem — pokazuje porośnięte lasem wzgórze.

„Zaraz” oznacza forsowny, ponadgodzinny marsz brzegiem jeziora lub podobne w czasie, ponadgodzinne wiosłowanie Zatoką Teleśnicką w stronę Wyspy Skalistej. Każdy z tych szlaków ma swoje plusy i minusy oraz jedną, wspólną zaletę – nieomylnie prowadzi do domu Krzysztofa Brossa w jego Sannej.

Bross pochodzi ze Śląska. Pracował w Hucie Katowice. Jego zaangażowanie w „Solidarności” spowodowało, że

musiał odejść z zakładu, opuścić Śląsk i szukać dla siebie innego miejsca do życia.

— Decyzja o zamieszkaniu tutaj zapadła w osiemdziesiątym pierwszym roku — opowiada Bross. — W październiku byłem u Podkowskiego, naczelnika Ustrzyk Dolnych, który zapewnił mnie, że mogę w przyszłości liczyć na kupno Sannej.

Kiedy trzy miesiące później Bross zjawił się u Podkowskiego, ten odmówił mu sprzedaży gruntów. Po kilku latach starań Brossowi udało się nabyć na własność 25-arową działkę. Reszta półwyspu, ok. 35 ha łąk i zakrzaczeń, wziął w dzierżawę i to, jak twierdzi, tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Mijały lata. Na wszystkich szczeblach ustrzyckiej władzy następowały kolejne przetasowania. Zmieniali się ludzie, nie zmieniał się ich stosunek do Brossa i jego sprawy.

— Do dzisiaj siedzę nie na swoim — tłumaczy Bross. — Że taki stan rzeczy był na rękę komunistycznej władzy, to mnie nie dziwi. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego odpowiada również obecnym ustrzyckim demokratom. Zastępca burmistrza poprzedniej kadencji powiedział mi przy świadkach prosto w oczy, że on od zawsze mi dobrze radził, że „z cudzego konia w pół drogi złaż”.

Bross uważa, że racja jest po jego stronie.

Swoje racje ma również ustrzycka gmina. Jest prawnym właścicielem półwyspu. W 1991 roku przejęła go od Skarbu Państwa na mienie komunalne i ma w stosunku do tego kawałka ziemi określone plany. Jakże? Tego Bross nie wie. Wie natomiast, że z tych 35 ha, położonych w jednym z najbardziej atrakcyjnych miejsc nad zalewem, można wykroić kilkadziesiąt działek rekreacyjnych. Z ich sprzedażą nie byłoby kłopotów. Nawet na przetargu poszłyby jak świeże bułeczki. Nic więc dziwnego, że chociażby z tego względu Zarząd Gminy trzyma mocno w garści ten kawałek ziemi i nie chce z niego zrezygnować.

— Sam jestem sobie winny — opowiada Bross. — Podkuśiło mnie w sierpniu osiemdziesiątego dziewiątego, żeby ściągnąć tutaj burmistrzów. Pojechałem do Ustrzyk, namówiłem ich na przyjazd, pokazałem im Sannę i to był błąd. Gdybym powiedział wtedy, wiecie, jest tam takie 30 ha, takie ni to, ni sio, nie wiadomo co, to na pewno by odpuścili i Sanna byłaby dzisiaj moja. No, ale jak już przyплыnęli, jak zobaczyli ten uroczy zakątek, z miejsca zaczęły się problemy. Tak to już jest. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Bross uważa, że jego wieloletnia praca, jaką włożył w zagospodarowanie półwyspu daje mu niezaprzeczalne prawo do jego kupna. Żył tutaj jak pustelnik, harował jak wół, uprawiał ziemię, postawił dom, związał z Sanną przyszłość swojej rodziny.

— Tutaj jest moja parszywie moralna racja do tej ziemi — twierdzi. — Nie upieram się przy całości. Osiem, dziesięć hektarów uważałbym za szczyt urzędniczej łaski.

Bross chce stworzyć w Sannej wzorcowe gospodarstwo agroturystyczne, które jemu i jego dzieciom zapewniłoby przyszłość.

Przez czternaście lat gospodarowania układało mu się różnie. Pierwszą zimę po przyjeździe do Sannej przetrwał dzięki gościnności i pomocy Henryka Victoriniego. Drugą, już na swoim, w krytej papą budzie cztery na trzy metry z surowej tarcicy ocieplonej prowizorycznie watą i folią. Nie zraziły go ciężkie warunki, brak drogi, elektryczności, podchodzące nocami pod próg wilki. Zbudował dom. Hodował konie, bydło i owce. W 1990 roku jego ambitne plany rozwinięcia hodowli owiec wzięły w łeb. Skończył się zbyt na wełnę i owcze mięso. Zimą 1991 roku musiał sprzedać całe stado, co do sztuki, za bezcen. Z rolnictwa wyżyć się już nie dało. Postanowił zająć się turystyką. Z materiału zgromadzonego na budowę owczarni postawił dwa

domki campingowe. Dzisiaj są jedynym źródłem utrzymania jego rodziny.

— Sezon trwa w Bieszczadach krótko, dwa, trzy, najwyżej cztery miesiące — tłumaczy Bross. — Nie zarobią one na pozostałe, martwe turystycznie. Mam wiele pomysłów, jak ożywić Sannę, czym przyciągnąć tutaj ludzi przez cały rok. Składałem różne propozycje ustrzyckim burmistrzom. Żadna jednak nie przypadła im do gustu. Ich odpowiedź brzmi zawsze tak samo: „*to się nie da, panie Bross.*” Weźmy na przykład polowania, lecz nie takie jak w lasach ministerialnych, gdzie przyjeżdża bogaty Niemiec, strzeli do pięknego byka reproduktora i wyjeżdża — opowiada Bross.— Tu trzeba przywieźć do jednej łani dziesięciu myśliwych. Dziewięciu ją zobaczy, dziesiąty strzeli, ale wszyscy będą tutaj po pięć dni i zostawią za swój pobyt u miejscowych ludzi kupę pieniędzy.

Bross próbował zainteresować Dyрекcję Lasów Państwowych i Urząd Wojewódzki w Krośnie innym swoim pomysłem. Proponował utworzenie w Sannej wspólnego gospodarstwa łowieckiego. Jest na półwyspie gotowa baza noclegowa, zrobi się lądowisko dla awionetek, wokół 3 tys. ha dziewiczych lasów i w bród dzikiej zwierzyny.

— Na dwudziestu hektarach użytków zielonych urządzę żerowiska. Myśliwy, na przykład z Zachodu, robi międzylądowanie w Rzeszowie, a po godzinie ląduje w samym środku terenu łowieckiego. Nie spodobało się. Jaka była odpowiedź? Taka jak zwykle. To się nie da, panie Bross. Co się nie da i dlaczego, tego się już nie dowiedziałem. Trudno — wzrusza ramionami. — Poczekam na takie czasy, kiedy się da. Żadna władza nie jest wieczna.

## Ostanie rancho w mieście

— Znajomi mówią, że jestem zachłanny i chciwy. Zachłanny na pewno nie, ale chciwy tak — śmieje się przekornie Emil Gyurko. — Chciwy na robotę — dodaje. — Od szesnastego roku życia zdany byłem tylko na siebie. Nigdy jednak nie goniłem za pieniądzem, zawsze za robotą. Kto ma zdolności do robienia interesu, wykorzystałby je na moim miejscu i dorobił się majątku. Ja pieniędzy robić nie umiem.

Wbrew temu, co twierdzi, pieniądze, i to duże, mógłby zrobić w każdej chwili. Jest właścicielem sporego kawałka gruntu położonego w willowej części Sanoka. Popyt na działki budowlane jest tutaj duży. Sąsiad Gyurki wziął kilka miesięcy temu za 10-arowy plac 150 milionów<sup>1</sup>. Gyurko ma dwa i pół hektara. Kupa szmalu, wzdycha jego znajomy kręcąc przy tym głową. Gyurko jednak swojej ziemi nie sprzedaje, ponieważ nie chodzi drogą doraźnych zysków. Gyurko drepcze ścieżką własnych pomysłów i kruchej, żłudnej nadziei, że któryś z nich uda mu się w końcu zrealizować.

Urodził się w Rumunii. Do Polski przyjechał z ojcem w 1947 roku jako jedenastoletni chłopiec.

— Repatriacja prowadzona była na szeroką skalę — tłumaczy. — Wystarczyło, że miało się w swoim pochodzeniu jakiś pierwiastek polskości. Zachęcali ludzi do wyjazdu, kusili na różne sposoby. Pamiętam propagandowy chwyt mówiący, że w Polsce kiełbasy wiszą na płotach.

Przez półtora roku mieszkał z ojcem w Kędzierzynie. Potem była Warszawa, Biała Podlaska, szkoła zawodowa, a po jej ukończeniu skierowanie do pracy przy odbudowie stolicy. Po dwóch latach wrócił do Kędzierzyna. W 1964

---

1   obecnie 15 tys.

wyjechał na południe Polski i pracował przy budowie zapory w Solinie.

— Osiem lat później przenieśliśmy się do Sanoka — wspomina. — Pracowałem w „Stomilu”, „Autosanie”, Kopalnictwie Nafty i Gazu. Nigdy jednak na roli. Skąd u mnie ten sentyment do ziemi, sam nie wiem.

Dzisiaj ma 59 lat, rentę, mieszkanie w bloku w centrum miasta i trzyhektarowe gospodarstwo, które nadaje sens jego życiu. Kupił je dziesięć lat temu dla syna, który skończył szkołę rolniczą. Marzył, że wspólnie zajmą się ogrodnictwem. Mieli zacząć gospodarowanie od dwóch szklarni. Dzisiaj, zamiast nich, stoją dwa tunele foliowe. Trochę w nich pomidorów, papryki, kilkadziesiąt krzaczków bakłażana. Tyle, co na własne potrzeby.

— Nie wyszło — mówi Gyurko. — Zjadły nas kredyty, które wzięłem na zakup gospodarstwa. Żeby nie wpaść w zadłużenie i nie stracić ziemi, całą pożyczkę spłaciłem jednorazowo. Na zaplanowane inwestycje zabrakło środków. Zawiodłem się również na synu. Sądziłem, że jego zawodowe przygotowanie wystarczy. Okazało się, że trzeba czegoś innego: samozaparcia, cierpliwości, wyrzeczeń, a przede wszystkim miłości do ziemi. Tego się nie nauczy, ani nie kupi. To trzeba mieć w sobie. Z tym się człowiek rodzi.

Gospodarowanie idzie Gyurce kulawo, chociaż pomysłów mu nie brakuje. Nadal upiera się przy ogrodnictwie. Tym razem nie szklarniowym, ze względu na wysokie koszty, ale sezonowym, produkującym pod folią rzadkie w tych stronach warzywa i jarzyny. W ten sposób zapewniłby sobie ich zbyt.

— No i niewielkie stado niosek — rzuca mimochodem uwagę. — Sto kurek dawałoby pięćdziesiąt jajek dziennie. Gdybym je sprzedał, byłoby z nich sto tysięcy<sup>1</sup> złotych dochodu brutto. Sezon trwa trzysta dni, co daje w sumie trzy-

---

1   obecnie 10 zł

dziesięć milionów<sup>1</sup> złotych — tłumaczy. — Czysty zysk obliczam skromnie na piętnaście procent, czyli cztery i pół miliona<sup>2</sup>. Nie jest to dużo, ale na ulicy tego nie znajdzie.

Pieniądze są dla Gyurki sprawą drugorzędną. Ludzie będą mieli świeże jajka, on minimalny, ale przecież zawsze jakiś dochód i satysfakcję z tego, co robi. Nie będzie gnął w bloku, gapił się godzinami w telewizor i głupiał do szczytu. Będzie przebywał na świeżym powietrzu, zarabiał, miał konkretne zajęcie i dzięki niemu czuł się potrzebny innym. Dla niego są to wartości niezbywalne, stokroć ważniejsze od pieniędzy.

W ostatnich latach Gyurko miał się wszystkiego. Był czas, kiedy hodował jałówki i bukaty. Po nich przerzucił się na kozy. Wczesną wiosną tego roku miał ich dziewięć, obecnie trzy matki i koziołka.

— Trzymam je, bo wszyscy w rodzinie przepadamy za ich mlekiem — wyjaśnia. — Zwierzęta miłe, sympatyczne, towarzyskie i bardzo mocno przywiązują się do człowieka.

Gyurko próbował swoich sił w hodowli lisów. Po nich zajął się tchórzofretkami. Obydwie fermy zlikwidował ze względów ekologicznych. Przez pewien czas zastanawiał się poważnie, czy nie zająć się tuczem świń.

— Za bardzo uciążliwe dla otoczenia — wyznaje. — Hodowla mokra, ścieki, gnojowica. Sąsiedzi na pewno by mnie nie błogosławili.

Obecny rok będzie dla Gyurki rokiem przełomowym. W ubiegłym jeszcze coś planował. W tym, poprzestał na marzeniach. Uszarpał się przez te lata ze swoją ziemią ponad miarę. Coraz trudniej znaleźć mu także zrozumienie i wspólny język z najbliższymi. Powstrzymują go, odradzają mu, ganią jego pomysły.

— Gdyby wsparli mnie chociaż moralnie — wzdycha. — Niestety — rozkłada ręce — w tym roku zostałem sam.

---

1 3000 zł

2 450 zł

Gyurko jeszcze się nie poddał. Ale Gyurkę zmożą przeciwności, z którymi nie sposób wygrać. Zanosi się na to, że niedługo nic na jego rancho nie pozostanie takie, jakie jest w tej chwili.

Drewniany, wiejski dom kryty czerwoną dachówką. Obok domu rozłożysty orzech włoski obsypany owocami. Na podwórku kaczko-kurzy rozgardiasz. Pod ścianą, na stosie desek, wygrzewające się w słońcu koty. Czarny jak smoła kocur, Dziwus Ogrodnik, śpi zwinięty w kłębek przed pyskiem rozciągniętego na ziemi wilczura Bajbusa. Pręgowane kocięta baraszkują w cieniu orzecha. W ogrodzie, między owocowymi drzewami, trzy kozy skubią bez trosko trawę. Rozbrykany capek bodzie pień jabłunki.

Za ogrodem łąka wspina się na łagodne wzniesienie. Ponad jego grzbietem widać błękitne niebo. Cicho tutaj, spokojnie, urokliwie. Ale to tylko złudzenie, bowiem wystarczy spojrzeć ze zbocza w przeciwną stronę, żeby zobaczyć pełną w stronę rancho miasto.